

George Orwell

**W HOŁDZIE
KATALONII**

W HOŁDZIE KATALONII

Przełożył Leszek Kuzaj

Dygitalizacja hooltaj

Tytuł oryginału:
Homage lo Catalonia

Tekst jest wierną kopią gdyńskiego wydania z 1990 roku wydawnictwa ATEXT.
W tekście pominięte zostały przypisy. W celu ich odszukania proszę sięgnąć do oryginału.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na dzień przed wstąpieniem do milicji ujrzałem w Koszarach im. Lenina włoskiego żołnierza milicji, który stał przed oficerskim stołem.

Wyglądał na zahartowanego młodzieńca w wieku dwudziestu pięciu lub sześciu lat, był barczysty i miał rudawo-żółte włosy. Czapkę z daszkiem zawadiacko naciągnął na jedno oko. Stał bokiem do mnie, brodę oparł na piersiach i z zakłopotaną miną wlepiął wzrok w mapę rozłożoną na stole przez jednego z oficerów. W jego twarzy było coś, co mnie poruszyło do głębi. Miał oblicze człowieka, który równie łatwo popełni morderstwo, jak też poświęci swe życie dla przyjaciela — tego rodzaju rysów oczekuje się u anarchisty, a tymczasem on, co bardziej prawdopodobne, był komunistą. Zawarły się w tej twarzy szczerłość i okrucieństwo, ale nie zabrakło w niej też patetycznej czci, jaką niepiśmienni ludzie darzą swoich przypuszczalnych przełożonych. Było widoczne, że nie potrafił posługiwać się mapą — czytanie jej uważał oczywiście za niesłychany wyczyn intelektualny. Nie wiem, czemu to przypisać, ale chyba nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego, kogo obdarzyłbym równie natychmiastową sympatią. Mimo, że byli zajęci rozmową przy stole, coś jednak zdradziło moje zagraniczne pochodzenie, bo Włoch podniósł głowę i rzucił:

— Italiano?

Odpowiedziałem swoim słabym hiszpańskim:

— No, Ingles. Y tu?

— Italiano.

Kiedy wyszliśmy, przeszedł przez pokój i uścisnął mi bardzo mocno rękę. Dziwne, taka wylewność wobec obcego! To było tak, jak gdyby przez krótki moment naszym duszom udało się utworzyć wspólny pomost nad przepaścią jaką tworzyły język oraz tradycja i wejść w absolutną zażyłość. Miałem nadzieję, że polubił mnie tak bardzo, jak ja polubiłem jego. Ale wiedziałem też, że dla utrwalenia pierwszego wrażenia, jakie na mnie wywarł, koniecznym jest, abym go więcej nie spotkał — i co tu dużo mówić, tak też się stało. Tego rodzaju spotkania były w Hiszpanii na porządku dziennym.

Piszę o tym Włochu, ponieważ żywo tkwi w mojej pamięci. Jego wystrzępiony mundur i dzika, patetyczna twarz są uosobieniem szczególnej atmosfery tamtego czasu. Wiąże się on z moimi wspomnieniami z tego okresu wojny — czerwone flagi w Barcelonie, ponure pociągi pełne obdartych żołnierzy wlokące się na front, szare, dotknięte wojną miasteczka z dala od Unii frontu, błoto, lodowato zimne okopy w górach.

Pomimo, że było to pod koniec grudnia 1936 roku, nie minęło zatem nawet siedem miesięcy od momentu rozpoczęcia pisania, to jednak okres ten jawi mi się w bardzo odległej perspektywie. Późniejsze wydarzenia odsunęły go na plan dalszy niż rok 1935 lub 1905.£_Przyjechałem do Hiszpanii z zamiarem napisania artykułu do gazety, tymczasem prawie natychmiast wstąpiłem do milicji, ponieważ w tamtych dniach i w tamtej atmosferze wydawało się to jedyną rozsądną rzeczą, jaką można było zrobić. Anarchiści sprawowali faktyczną kontrolę nad Katalonią, a rewolucja znajdowała się w rozkwicie. Dla kogoś, kto był tam od początku, już nawet w grudniu lub w styczniu, zdawać się pewnie mogło, że okres wrzenia dobiega końca, lecz dla przybysza prosto z Anglii wygląd Barcelony był czymś zaskakującym i przytłaczającym. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w mieście, gdzie klasa robotnicza była u władzy. Praktycznie każdy budynek, bez względu na wielkość, był zajęty przez robotników i udekorowany czerwonymi flagami lub czerwono-czarnymi barwami anarchistów; na każdej

ścianie nabazgrany sierp i młot z inicjałami rewolucyjnych partii; większość kościołów zniszczona pożarem, a figury świętych w zgłiszczach. W wielu miejscach kościoły demolowane były przez brygady robotnicze. Na każdym sklepie i kawiarni widniał napis głoszący ich uspołecznienie, nawet pucybutów włączono do kolektywów, a ich skrzynki były pomalowane na czerwono i czarno. Kelnerzy i sprzedawcy patrzyli każdemu prosto w oczy i traktowali jak równego. Służalce i nawet ceremonialne formy okresowo zanikły. Nikt nie mówił *Señor* lub *Don* czy nawet *Usted*; zwracano się do siebie: „Towarzyszu” i „Ty”; Buenos *Dias* zostało zastąpione przez *Salud*. Od czasu Primo de Rivera prawnie zabroniono wręczania napiwków; jedno z moich pierwszych doświadczeń, to lekcja, jakiej udzielił mi dyrektor hotelu za próbę dania napiwku windziarzowi. Nie było prywatnych samochodów, wszystkie zarekwirowano, a tramwaje oraz taksówki i większość pozostałych środków transportu pomalowano na czerwono-czarno. Rewolucyjne plakaty spotykało się wszędzie, połyskiwały ze ścian soczystymi czerwieniami i błękitami sprawiając, że kilka pozostałych reklam wyglądało przy nich jak błotne bohomy. Na Ramblas, szerokiej centralnej arterii, gdzie tłumy ludzi przepływały tam i z powrotem, głośniki ryczały rewolucyjne pieśni przez cały dzień do późnej nocy. Najbardziej w tym wszystkim dziwił wygląd tłumu. Sądząc z zewnętrznych przejawów było to miasto, w którym klasa bogatych przestała praktycznie istnieć. Z wyjątkiem niewielkiej liczby kobiet oraz obcokrajowców nie spotykało się wcale „dobrze ubranych” osób. Niemal wszyscy nosili proste robotnicze ubrania lub niebieskie kombinezony, czy też różne odmiany milicyjnych mundurów. Wszystko to zdumiewało i wzruszało. Wiele w tym było czegoś, czego nie rozumiałem i co w pewnym sensie nawet mi się nie podobało, lecz szybko pojąłem, że ten stan rzeczy jest wart tego, by o niego walczyć. Wierzyłem również, że wszystko jest takie, jak mi się wydaje — że państwo jest robotnicze, że cała burżuazja albo rozpierzchła się albo ją wybito, lub ochotniczo przeszła na stronę robotników; nie zdawałem sobie sprawy, iż wielka liczba zamożnych burżujów przyczaiła się, tylko chwilowo udając proletariuszy.

Poza tym wszystkim, odczuwało się jeszcze coś ze złowieszczej atmosfery wojny. Miasto przybrało posępny, niechlujny wygląd,

drogi i budynki znajdowały się w fatalnym stanie, ulice były skąpo oświetlone w obawie przed nalotami, sklepy w większości nędzne i niemal puste. Brakowało mięsa, mleko stało się faktycznie nieosiągalne, dawały się we znaki niedobory węgla, cukru i benzyny, a najdotkliwiej chleba. Nawet w tym okresie kolejki po chleb ciągnęły się przez setki metrów. Mimo to ludzie, jak się zdawało, byli wciąż zadowoleni i pełni nadziei. Uporano się z bezrobociem, a koszty utrzymania były nadal niezwykle niskie; żyjących w głębokiej nędzy prawie się nie dostrzegało, żebracy zniknęli, z wyjątkiem Cyganów. Nade wszystko istniała wiara w rewolucję i w przyszłość, poczucie wartkiego nadciągania ery równości i wolności. Ludzie usiłowali zachowywać się prawdziwie po ludzku, a nie jak koła zębate w kapitalistycznej maszynie. W zakładach fryzjerskich wisiały wypisane rękami anarchistów napisy (fryzjerzy w większości byli zwolennikami anarchistów) uroczyście obwieszczające, iż cyrulicy nie będą już więcej niewolnikami. Kolorowe plakaty na ulicach wzywały prostytutki do zerwania z uprawianiem nierządu. Dla pochodzących z bezwzględnej i szyderczej cywilizacji anglojęzycznej, dosłowność z jaką ci idealistyczni Hiszpanie traktowali szablonowe rewolucyjne slogany trąciła patosem. W tym czasie sprzedawano na ulicach za parę centymów naiwne rewolucyjne ballady, wszystkie opiewające proletariackie braterstwo i nikczemność Mussoliniego. Nieraz widziałem niepiśmiennego milicjanta, który kupował jedną z nich i pracowicie sylabizował słowa, a kiedy już się w tym połapał, zaczynał wyśpiewywać na właściwą nutę.

Przez cały ten okres przebywałem w Koszarach im. Lenina przechodząc szkolenie bojowe. Kiedy wstępowałem do milicji, powiedziano mi, że wyślą mnie na front nazajutrz, w rzeczywistości musiałem jednak czekać na skompletowanie nowej centurii. Utworzone pośpiesznie na początku wojny przez związki zawodowe, oddziały milicji robotniczej, nie były jeszcze zorganizowane na wzór regularnego wojska. Jednostkami zgrupowania były: „drużyna” — licząca około trzydziestu ludzi, „centuria” — licząca około stu ludzi i „kolumna” — słowo to w praktyce oznaczało wielką liczbę żołnierzy. Koszary składały się z bloku okazałych, murowanych budynków, wraz z ujeżdżalnią i ogromnymi brukowanymi placami; kwatery te, przed zdobyciem ich podczas czerwcowych walk, zajmowała

kawaleria. Moja *centuria* spała w jednej ze stajni, pod kamiennymi żłobami, na których widniały jeszcze wyryte imiona wierzchowców. Wszystkie konie zostały przejęte i wysłano je na front, lecz całe otoczenie ciągle cuchnęło moczem i gnijącym owsem. Spędziłem tam tydzień. Moja pamięć utrwaliła przede wszystkim końską woń, drżące sygnały trąbki (nasi trębacze byli niewyszkoleni — hiszpańskiej sygnalizacji dźwiękowej nauczyłem się dopiero nasłuchując odgłosów zza linii faszystów), stukot podkutych butów na koszarowym placu, długie poranne apele w zimowym słońcu, szaleńcze gry w piłkę nożną — pięćdziesięciu po jednej stronie, w pokrytej piaskiem ujeżdżalni. W budynkach kwaterowało blisko tysiąc mężczyzn, około dwadzieścia kobiet, nie licząc żon milicjantów, które zajmowały się gotowaniem. Kobiety nadal służyły w milicji, chociaż nie było ich za wiele. W pierwszych bitwach walczyły ramię przy ramieniu z mężczyznami, co uchodziło za rzecz zupełnie naturalną. Rzecz taka prawie nie dziwi podczas rewolucji. Poglądy już się jednak zmieniały. Musztrowanie kobiet w ujeżdżalni wymagało trzymania milicjantów z dala od tego miejsca, bo wyśmiewali je i zniechęcali. Kilka miesięcy wcześniej nikogo nie śmieszyłby widok kobiety niosącej karabin.

Milicjanci utopili w brudzie i pograżyli w chaosie całe koszary, a także każdy zajmowany przez nich budynek, co można by uznać za uboczny produkt rewolucji. We wszystkich kątach natykał się człowiek na stosy połamanych mebli, zniszczonych siodeł, mosiężnych kawaleryjskich hełmów, pustych pochew po szablach; na rozkładające się jedzenie. Marnotrawstwo żywności było przerażające, szczególnie chleba. Z samej tylko mojej sali wyrzucano pełen kosz chleba przy każdym posiłku — jakaż to hańba wobec cywili, którzy cierpieli niedostatek. Jadaliśmy przy długich stołach na kobyłkach, z wiecznie zatłuszczonych cynowych misek, a piło się z okropnego naczynia o nazwie *porron*. *Porron* to rodzaj szklanej butli o szpiczastym dziobku, po naciśnięciu którego tryska z niej cienkim strumieniem wino; można tak pić z pewnej odległości nie dotykając wargami oraz podawać ją z ręki do ręki. Jak tylko zaczęto jej używać, rozpocząłem strajk domagając się szklanki. Jak na mój gust naczynia te nazbyt przypominały „kaczki” używane w szpitalu, zwłaszcza, że wypełniało je białe wino.

Stopniowo wydawano rekrutom mundury, ale ponieważ działo się to w Hiszpanii, więc otrzymywano je partiami, tak, że nigdy nie było wiadomo, co kto dostał, wielu zaś najpotrzebniejszych rzeczy, jak na przykład pasów, ładownic nie przydzielano aż do ostatniej chwili, to jest do momentu, kiedy już rzeczywiście czekał pociąg, by zabrać nas na front. Piszę tu o „mundurach”, czy jak kto woli o „uniformach”, co pewnie nie najlepiej oddaje istotę sprawy, bo prawda w rzeczywistości wyglądała inaczej. Może nazwa „multiform” byłaby tu najwłaściwsza. Każdy dobierał ubiór według tego samego ogólnego planu, lecz nigdy nie zdarzyło się spotkać dwóch całkiem jednakowych. W praktyce wszyscy wojskowi nosili sztruksowe bryczesy, ale na tym kończyła się jednolitość. Niektórzy nakładali owijacze, inni sztruksowe getry, a jeszcze inni sztruksowe satylpy, lub buty z cholewami. Wkładano na siebie zapinane na zamek kurtki, tyle, że jedni przywdziewali skórzane, podczas gdy pozostali wełniane, we wszystkich możliwych kolorach. Rodzajów czapek było tyle, ilu właścicieli. Przyjął się zwyczaj przyozdabiania przodu czapki odznaką partyjną, a ponadto nieomal każdy przewiązywał szyję czerwoną lub czerwono-czarną chustą. Kolumna milicji tworzyła w tych czasach zbieraninę o niecodziennym wyglądzie. Odzież jednak musiano wydawać taką, jaką w pośpiechu wykonała ta czy inna fabryka i w gruncie rzeczy, uwzględniając panujące warunki, ubiory nie były złe. Wyprodukowane wszakże z lichej bawełny koszule oraz skarpety w żadnej mierze nie chroniły przed zimnem. Aż strach pomyśleć, co ci milicjanci musieli przecierpieć kilka miesięcy wcześniej, zanim cokolwiek zdołano zorganizować. Pamiętam, jak przez przypadek natknąłem się w gazecie sprzed około dwóch miesięcy na wypowiedź jednego z przywódców POUM, który po wizycie na froncie oświadczył, iż starał się upewnić czy „każdy milicjant ma koc”. To zdanie musi wywołać dreszcz u każdego, kto choć raz w życiu spał w okopie.

W drugim dniu mojego pobytu w koszarach rozpoczęło się coś, co można by, nie bez uśmiechu, nazwać „szkoleniem”. Na wstępie rozegrały się przerażające, chaotyczne sceny. Wśród rekrutów większość stanowili szesnastoletni bądź siedemnastoletni chłopcy z bocznych uliczek Barcelony, przeniknięci rewolucyjnym zapałem, lecz zupełnie nieświadomi tego, na czym polega wojna.

Niepodobna ich było nawet ustawić w szereg. Dyscyplina nie istniała; jeżeli komuś nie spodobał się rozkaz, występował z szyku i wszczynał zażartą kłótnię z oficerem. Porucznik prowadzący ćwiczenia był sympatycznym młodym człowiekiem, o czerstwej twarzy oraz krzepkim wyglądzie, służył uprzednio w regularnym wojsku jako oficer i nadal trzymał fason poruszając się sprężystym krokiem, w mundurze jak spod igły. Dość nieoczekiwanie okazał się szczerym i żarliwym socjalistą. Bardziej nawet niż sami żołnierze kładł nacisk na pełną społeczną równość pomiędzy wszystkimi obywatelami. Przypominam sobie przykrą niespodziankę, jaka go zaskoczyła, gdy pewien nowicjusz zwrócił się do niego „Señor”.

— Co! Señor! A od kiedy to mówi się do mnie Señor? Czyż nie jesteśmy wszyscy towarzyszami?

Wątpię, czy mu to ułatwiało pracę. Tymczasem nowi rekruci odbywali szkolenie wojskowe, które nie było im w najmniejszym stopniu przydatne. Jak się dowiedziałem, cudzoziemcy nie mieli obowiązku brać udziału w „ćwiczeniach” (zauważyłem, że Hiszpanie wierzyli niezłomnie w o wiele lepszą znajomość rzemiosła wojskowego u obcokrajowców niż u swoich), ale oczywiście zgłosiłem się wraz z innymi. Ogromnie mi zależało, aby się nauczyć obsługi karabinu maszynowego. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że obchodzenie się z bronią nie wchodzi w zakres naszej nauki. Tak zwane szkolenie było zwykłą musztrą na placu apelowym w najgłupszym, staroświeckim stylu; w prawo zwrot, w lewo zwrot, maszerowanie na baczność trójkami w kolumnie i cała reszta bezużytecznych nonsensów, które poznałem w wieku piętnastu lat. Zaiste, przyjęto niezwykle, jak dla wojska partyzanckiego, formę ćwiczeń. Jest rzeczą jasną, że mając kilka dni na przeszkolenie żołnierza, należy nauczyć go rzeczy najpotrzebniejszych: jak się powinien okopać, jak nacierać w otwartym terenie, jak odbywać służbę wartowniczą, jak zbudować fortyfikację, a ponad wszystko, jak się posługiwać bronią. Tymczasem tej gromady pełnych entuzjazmu dzieci, którą za kilka dni miano przerzucić na Unię frontu, nikt nawet nie nauczył, jak strzelać z karabinu, albo jak wyciągać zawleczkę z granatu. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że spowodowane to było niedoborem broni. W milicji POUM tak rozpaczliwie brakowało karabinów, iż przybywające na front świeże

oddziały zawsze musiały je przejmować od schodzących z linii walki. W całych Koszarach im. Lenina nie znalazłby się ani jeden karabin, z wyjątkiem tych, które nosili wartownicy

Mimo, że według normalnych kryteriów nadal byliśmy kompletną zbieraniną, to jednak po paru dniach uznano nas za nadających się do publicznej prezentacji i co rano wychodziliśmy krokiem marszowym do miejskich ogrodów na wzgórzu za Plaza de Espana. Mieścił się tam wspólny plac apelowy dla oddziałów milicji ze wszystkich partii, a ponadto dla karabinierów i pierwszych kontyngentów świeżo sformowanej Armii Republikańskiej. W tych to ogrodach, na szczycie wzgórza rozgrywały się niezwykle i podnoszące na duchu sceny. Każdą alejką i ścieżką, wśród symetrycznych klombów, maszerowały tam i z powrotem wyprężone oddziały i kompanie z wypiętymi piersiami, starając się za wszelką cenę wyglądać jak prawdziwe wojsko. Wszyscy nieuzbrojeni i w niekompletnym milicyjnym umundurowaniu, a na niejednym łąta na łącie. Sposób postępowania był zawsze ten sam. Trzy godziny napuszonego marszu przed siebie i z powrotem (hiszpański krok marszowy jest krótki i szybki), potem zatrzymanie, złamanie szeregów i już spragniona gromada otaczała sklepik spożywczy w połowie wzgórza robiący świetny interes na tanim winie.

Odnoszono się do mnie bardzo przyjaźnie. Sam fakt, że byłem Anglikiem stanowił pewnego rodzaju osobliwość, w każdym razie oficerowie Karabinierów przywiązywali do tego dużą wagę i stawiali mi kolejki. Tymczasem ilekroć udawało mi się dopaść naszego porucznika, tylekroć krzykiem starałem się wymusić na nim, aby przeszkolił mnie w obsłudze karabinu maszynowego. Wydobywałem z kieszeni słowniczek Hugo'a i nacierałem na niego kalecząc hiszpański:

— Yo se manejar fusil. No se manejar ametralladora. Quiero apprender ametralladora. Quando vamos apprender ametralladora?

Odpowiedzią był zawsze zaniepokojony uśmiech i obietnica, że szkolenie odbędzie się mariana (jutro). Nie trzeba dodawać, że mariana nigdy nie nadeszło. Kilka dni przeminęło i rekruci nauczyli się wcale zgrabnie maszerować równym krokiem oraz prężyć się na baczność, i jeśli wiedzieli nadto, z której strony lufy wylatuje pocisk, to tutaj kończyła się ich wiedza. Pewnego razu, kiedy

ogłoszono postój, podszedł do nas uzbrojony karabinier i pozwolił nam obejrzeć swój karabin. Okazało się, że w całej mojej drużynie nikt poza mną nie wiedział nawet, jak załadować broń, a co dopiero mówić o celowaniu.

Cały ten czas toczyłem nieustanne zmagania z językiem hiszpańskim. Oprócz mnie był w koszarach tylko jeden Anglik, a nikt, nawet wśród oficerów, nie umiał ani słowa po francusku. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że moi współtowarzysze porozumiewali się między sobą głównie po katalońsku. Jedynym rozwiązaniem tego problemu pozostało noszenie wszędzie ze sobą słowniczka i błyskawiczne sięganie po niego w krytycznych momentach. Bardziej jednak wolałem być cudzoziemcem w Hiszpanii niż w większości innych krajów. Jakże tam było łatwo o przyjaźnie! W ciągu jednego, czy dwóch dni dwudziestu milicjantów mówiło do mnie po imieniu, wtajemniczało w miejscowe zwyczaje i wprawiało w zakłopotanie okazywaną gościnnością. Nie chodzi mi o to, żeby napisać propagandową książkę, toteż nie chcę idealizować milicji spod znaku POUM. Cały system funkcjonowania tych oddziałów posiadał poważne wady, a i ludzie byli różnego pokroju, w owym czasie bowiem zmniejszał się ochotniczy nabór i wielu najlepszych albo przebywało na froncie albo już nie żyło. Zawsze znajdował się wśród nas pewien procent zupełnie nieprzydatnych. Rodzice przyprawiali bez żenady do komisji poborowych piętnastoletnich chłopców dla dziesięciu *peset* — tyle wynosił w milicji codzienny żołd — a także ze względu na chleb, wydawany milicjantom w dużych ilościach i przemywany przez nich do rodzinnych domów. Twierdzę jednakże, iż każdy, komu przyszłoby niespodziewanie znaleźć się wśród hiszpańskiej klasy robotniczej, tak jak mnie się to zdarzyło — być może powinienem używać określenia katalońska klasa robotnicza, jako że poza kilkoma Aragończykami i Andaluzyjczykami, przestawałem jedynie z Katalończykami — byłby pod wrażeniem jej niebywałej przyzwoitości, a ponad wszystko prostolinijności i hojności. Hiszpańska szczodrość, w zwykłym rozumieniu tego słowa, bywa czasami nieco krępująca. Poprosisz o papierosa, wmuszą w ciebie całą paczkę. Ale istnieje poza tym szczodrość mająca głębszy wymiar, prawdziwa wielkoduszność, której doświadczałem raz po raz w najtrudniejszych sytuacjach. Niektó-

rzy dziennikarze i obcokrajowcy podróżujący w czasie wojny po Hiszpanii głosili, że Hiszpanie w skrytości ducha taili gorzką zawiść wobec pomagających im cudzoziemców. Mogę stwierdzić tylko, że nigdy nie zauważyłem czegoś podobnego. Pamiętam, że kilka dni przed opuszczeniem przeze mnie koszar, powróciła z frontu na przepustki grupa żołnierzy. W podnieceniu rozprawiali o swoich przeżyciach i z pełnym entuzjazmem wypowiadali się o francuskich oddziałach, które zajmowały pozycje obok nich w Huesca. Mówili, że Francuzi byli dzielni i dodawali z zapalem: — Mas valientes que nosotros! — Dzielniejsi niż my! — Oczywiście oponowałem, na co oni powiadali, że Francuzi posiadli lepszą znajomość sztuki wojennej — bieglej używali granatów, karabinów maszynowych itp. Ta uwaga jednak o czymś świadczy. Anglik prędzej da sobie rękę odrąbać niż wypowie coś podobnego.

Każdemu przybyszowi z zagranicy, który służył w milicji, kilka pierwszych tygodni upływało na nauce miłości do Hiszpanów i na irytowaniu się z powodu ich pewnych osobliwych cech. Moje rozdrażnienie na froncie sięgało niekiedy zenitu. Hiszpanie są w wielu sprawach niezastąpieni, ale wojny prowadzić nie potrafią. Wszystkich cudzoziemców jednakowo napełniała lękiem ich nieudolność, a przede wszystkim doprowadzająca do szału niepunktualność. I żaden obcokrajowiec nie zdoła uniknąć poznania tego jednego hiszpańskiego słowa: *mañana* — „jutro” (jako rzeczownik *la mañana* — rano). Wszystkie możliwe do pomyślenia sprawy na dzisiaj odkłada się *por la mañana*. Postępowanie to jest tak nagminne, że nawet Hiszpanie stroją sobie z niego żarty. I nic w Hiszpanii, od posiłku poczynawszy, a na bitwie skończywszy, nigdy nie odbywa się w zaplanowanym terminie. Z reguły wszystko zaczyna się z opóźnieniem, lecz bywa i tak — akurat wtedy, gdy ci to nawet do głowy nie przyjdzie — że coś dzieje się przedwcześnie. Pociąg odjeżdżający planowo o dziewiątej wyruszy z pewnością pomiędzy dziewiątą a dziesiątą, ale raz w tygodniu może się zdarzyć, że z racji kaprysu maszynisty odjazd nastąpi o wpół do ósmej. Takie obyczaje mogą nieźle dać się we znaki. Teoretycznie jestem nawet skłonny podziwiać Hiszpanów za to, iż nie cierpią na nerwicę „czasową” ludzi z północy, ale cóż, ja niestety cierpię.

Po nieustannych pogłoskach, *mañana* i opóźnieniach, nieocze-

kiwanie wydano nam rozkaz wyjazdu na front w ciągu dwóch godzin, a tymczasem my ciągle byliśmy niewyekwipowani. W magazynie kwatermistrza nastął sądny dzień; w rezultacie sporo żołnierzy chcąc nie chcąc wyruszało bez pełnego wyposażenia. Koszary natychmiast zapełniły się kobietami, które wyrosły jakby spod ziemi i pomagały swoim ziomkom zwijać koce oraz pakować tornistry. Upokorzyło mnie trochę, gdy hiszpańska dziewczyna, żona Williamsa, drugiego Anglika w milicji, musiała mi demonstrować, jak mam złożyć moje nowe skórzane ładownice. Była ona delikatnym, ciemnokim, pełnym kobiecości stworzeniem i mimo, że sprawiała wrażenie, jak gdyby życie upłynęło jej na huśtaniu kołyski, to w gruncie rzeczy, spisywała się dzielnie podczas czerwcowych walk ulicznych. Nosiła wówczas na ręku dziecko urodzone w dziesięć miesięcy po wybuchu wojny — pewnie powiła je u stóp barykady.

Planowy odjazd pociągu miał nastąpić o ósmej wieczorem; tymczasem dopiero około dziesięć minut po ósmej znękanym i spoconym oficerom udało się ustawić nas w szyku na koszarowym placu. Żywo tkwi w mojej pamięci scena z pochodniami — zgiełk i podniecenie, czerwone flagi łopoczące w blasku płomieni; zgromadzone szeregi milicjantów z tornistrami na plecach i ze zwiniętymi w rolkę kocami, jak bandolierzy przerzuconymi przez ramię; i krzyki, i stukot butów, i cynowe miski, a potem zatrważający, ostatecznie uwieńczony ciszą, syk; wreszcie jakiś komisarz od spraw politycznych stojący pod kołyszącym się czerwonym transparentem o ogromnych rozmiarach przemawiający do nas po katalońsku. W końcu kazano nam maszerować w kierunku dworca wybierając najdłuższą, trzy lub czteromilową trasę, tak aby pokazać nas całemu miastu. Na Ramblas zarządzono postój na czas odegrania przez wypożyczoną orkiestrę paru rewolucyjnych i innych melodii. I snów ta nadęta scena, jak z wejścia herosów — krzyki i entuzjazm, wszechobecne czerwone i czerwono-czarne flagi, przyjazne tłumy kłębiące się na chodniku, aby na nas popatrzeć, machające z okien w naszym kierunku kobiety. Jakże to wszystko wydawało się wtedy naturalne, jakże odległe i nieprawdopodobne zdaje się dzisiaj! W pociągu panowała tak gęsta ciżba, że ledwie starczało miejsca nawet na podłodze, a co dopiero na ławkach.

W ostatniej chwili wbiegła pędem na peron żona Williamsa i podała nam butelkę wina oraz wianuszek jasnoczerwonej kiełbasy, która smakuje jak mydło i działa przeczyszczające. Pociąg wytoczył się z Katalonii i piął się mozolnie ku płaskowyżowi aragońskiemu, ze zwykłą w czasie wojennym prędkością, coś poniżej dwudziestu kilometrów na godzinę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brabastro, chociaż z dala od linii frontu, robiło wrażenie niegościnnego miasta i nosiło ślady zniszczeń. Gromady obdartych milicjantów włóczyły się po ulicach usiłując się rozgrzać. Na walcącym się murze natrafiłem na afisz, z datą z poprzedniego roku, informujący, że „sześć dorodnych byków” zostanie zabitych na arenie w taki to a taki dzień. Jakże smętnie wyglądały wyblakłe kolory! Gdzież się teraz podziewają te dorodne byki i ci wspańiali torreadorzy? Okazało się, że nawet w Barcelonie prawie nie odbywały się obecnie żadne walki byków: tak się jakoś złożyło, że najlepsi matadorzy byli faszystami.

Moją kompanię wysłano ciężarówką do Sietamo, stamtąd na zachód, do Alcubierre, które leżało zaraz za linią frontu, naprzeciw Saragossy. O Sietamo walczone trzykrotnie, zanim ostatecznie zostało opanowane przez anarchistów w październiku. Jego okolice były zrujnowane przez ogień artyleryjski, a domy naznaczone bliźniami po pociskach. Znajdowaliśmy się obecnie na wysokości 500 metrów ponad poziomem morza. Panował przeraźliwy ziąb, nie wiadomo skąd nadciągnęły kłęby gęstej mgły. Pomiedzy Sietamo i Alcubierre kierowca ciężarówki pomylił drogę (była to jedna z typowych cech dla tej wojny) i godzinami błakaliśmy się w nieprzeniknionych oparach. Głęboką nocą dotarliśmy do Alcubierre. Ktoś poprowadził nas przez grzęzawiska do stajni dla mułów, gdzie

zakopaliśmy się w sieczce i natychmiast zasnęliśmy Sieczka nie jest najgorsza do spania, szczególnie gdy czysta, może nie taka dobra jak siano, ale lepsza niż słoma. Już o brzasku odkryłem, że pełno w niej było skórek od chleba, podartych gazet, kości, zdechłych szczurów i poszczerbionych puszek po mleku.

Byliśmy teraz blisko linii frontu, na tyle blisko, aby czuć charakterystyczny zapach wojny — dla mnie to woń ekskrementów i rozkładającej się żywności, Alcubierre nigdy dotąd nie dostało się pod artyleryjski ostrzał, toteż znajdowało się w lepszym stanie niż większość wiosek leżących tuż koło linii walk. Żywię jednak przekonanie, że nawet w czasie pokoju każdemu podróżującemu po tych stronach Hiszpanii rzuci się w oczy wyjątkowo głęboka nędza aragońskiej wsi. Osady są pobudowane, jak warownie: stłoczone ubogie domki (dla których błoto i kupa kamieni stanowiły budulec) otaczają kościół, i nawet wiosną kwiaty można spotkać jedynie gdzieś tam; zagrody nie mają ogródków, a tylko obejście, gdzie wrzaskliwy drób tapla się w warstwie mulego nawozu. Pogoda była ohydna, na przemian mgła i deszcz. Wąskie gruntowe dróżki zmieniły się w błotne rzeki, głębokie miejscami na pół metra, z trudem pokonywane przez ciężarówki buksujące kołami, a chłopci prowadzili swe ciężkie wozy zaprzęgnięte w muły, często aż po sześć zwierząt w jednym zaprzęgu, zawsze poustawianych w szpic. Ciągłe ruchy wojsk zrobiły z wioski potworny śmietnik. Ani teraz ani nigdy w przeszłości nie istniały tu takie udogodnienia jak ustęp, albo jakakolwiek kanalizacja, i znalezienie gdzieś metra kwadratowego powierzchni, na której można by postawić stopę, bez potrzeby spoglądania pod nogi, okazywało się niemożliwe. Kościół od dawna zmieniono w latrynę; temu samemu celowi służyły wszystkie pola w promieniu pół kilometra. Ilekroć pomyślę o pierwszych dwóch miesiącach wojny, tylekroć moja pamięć niezmiennie przywołuje te ścierniska zimową porą, gdzie źdźbła są pokryte zaskorupiałymi odchodami.

Minęły dwa dni, a karabinów nam nie wydano. Kto zaszedł do Comite de Guerra i przyjrzał się rzędowi dziur w murze — rezultat salw karabinowych, rozstrzeliwano tutaj wielu faszystów — ten poznał wszystkie osobliwości Alcubierre. Tam, gdzie biegła Unia frontu, sprawy toczyły się oczywiście spokojnie, Uczba

ranych, prawie nie rosła. Najważniejszym wydarzeniem stało się przybycie faszystowskich dezertersów przyprowadzonych pod strażą z pola walki. Wielu żołnierzy z oddziałów po drugiej stronie nie było wcale faszystami, ot zwykli, nieszczęśliwi poborowi, których wybuch wojny zastał podczas odbywania służby wojskowej, nazbyt przestraszonych, aby próbować ucieczki. Bywało, że małą grupą podejmowali ryzyko przemknięcia się do naszych pozycji. I bez wątplenia chętnych znalazłoby się więcej, gdyby nie pozostawiali swych rodzin na terytorium faszystów. Ci dezertersi, to pierwsi „prawdziwi” faszyci, jakich kiedykolwiek spotkałem. Uderzyło mnie to, że wyjąwszy noszone przez nich kombinezony w kolorze khaki, niczym się od nas nie odróżniali. Kiedy przybywali, zawsze doskwierał im dojmujący głód — co nie było niezwykle, zważywszy, że mieli za sobą dzień lub dwa krążenia po niczyjej ziemi, lecz za każdym razem stanowiło to triumfalnie obwieszczany argument na poparcie tezy, iż faszystowskie oddziały nie dojadają. Obserwowałem jednego z nich, gdy był karmiony w chłopskiej zagrodzie. Widok godny pożałowania. Wysoki chłopiec, w wieku dwudziestu lat, mocno ogorzały od wiatru, w ubraniu w strzępach, siedział w kucki opróżniając miskę pełną gulaszu z gorączkową łapczywością; przez cały ten czas obrzucał nerwowo ukradkowymi spojrzeniami krąg przypatrujących mu się milicjantów. Sądzę, że wciąż zdawał się wierzyć, iż jesteśmy łaknącymi krwi „czerwonymi” i zastrzelimy go, jak tylko skończy jedzenie; uzbrojeni strażnicy bez przerwy poklepywali go po ramieniu i uspokajali. Pewnego pamiętnego dnia pojawiła się grupa piętnastu dezertersów naraz. Prowadzono ich w zwycięskiej radości przez wieś, a przed nimi jechał mężczyzna na białym koniu. Zdołałem upamiętnić to na nieco rozmazanym zdjęciu, które mi później skradziono.

Rano, trzeciego dnia naszego pobytu, do Alcubierre nadeszły karabiny. Sierżant o nalanej, smagłej twarzy wydawał je w stajni po mułach. Doznałem silnego wstrząsu, kiedy ujrzałem, co mi wręczono. Niemiecki Mauser z 1896 roku — sprzed ponad czterdziestu lat! Zardzewiały, z opornie chodzącym rygłem, drewniana podstawa lufy popękana; jeden rzut oka do wylotu lufy ujawnił, że jest skorodowana i chyba nic jej już nie pomoże. Większość karabinów była w podobnym stanie, trafiały się nawet gorsze, a

nikt nie zadał sobie trudu, aby wydać najmożliwsze egzemplarze umiejącym strzelać. Najlepsza sztuka z tej partii, jedynie dziesięcioletnia, dostała się w ręce piętnastolatka, głupkowatego nicponia, znanego wszystkim jako maricón (pederasta). Sierżant przeprowadził pięciominutowe „szkolenie” polegające na objaśnieniu zasad ładowania i rozbierania zamka na części. Wielu milicjantów nigdy nie miało do czynienia z bronią palną, a tylko paru, jak się domyślam, wiedziało, do czego służą celowniki. Wydano naboje, po pięćdziesiąt na osobę, szeregi zostały uformowane, przypięliśmy tornistry i nastąpił wymarsz na odległy o trzy mile front.

Centuria w sile osiemdziesięciu ludzi i kilku psów wspinała się drogą w poszarpanym wachlarzu. Każdej kolumnie milicji towarzyszył w charakterze maskotki przynajmniej jeden pies. Nieszczęsne stworzenie, które szło krok w krok z nami, miało wypalone na sierści olbrzymie litery POUM i przemykało się chyłkiem, jak gdyby zdając sobie sprawę, że coś jest nie w porządku z jego wyglądem. Na czele kolumny, obok czerwonej flagi, jechał na karym koniu Georges Kopp, dzielny belgijski komendant; odrobinę z przodu młodzieniec, z wyglądającej na zbójceją milicyjnej kawalerii, hasał na swoim wierzchowcu tam i z powrotem, pokonując galopem każdą piędź wznoszącego się terenu i przybierając malownicze pozy na szczycie. Wspaniałe konie hiszpańskie, zdobyte w dużych ilościach podczas rewolucji, rozdzielono wśród milicjantów, ci zaś, rzecz prosta, zajeżdżali je na śmierć.

Droga wiała się pomiędzy żółtymi, nie użyźnionymi polami, których od ubiegłorocznych zbiorów nie tknęła ręka rolnika. Przed nami rozciągał się niski łańcuch górski, łączący Alcubierre z Saragossą. Dochodziliśmy w pobliże frontu, w pobliże granatów, karabinów maszynowych i błota. Szczerze mówiąc bałem się. Wiedziałem, że panuje tam teraz spokój, lecz w odróżnieniu od większości kolegów wokół mnie byłem wystarczająco stary, aby pamiętać I wojnę, chociaż nie dość stary, aby w niej walczyć. Wojna oznaczała dla mnie świszczące pociski i skaczące stalowe odłamki, a przede wszystkim błoto, wszy, głód oraz ziąb. Może to dziwne, ale lękałem się zimna o wiele bardziej niż przeciwnika. Myśl o chłodzie prześladowała mnie przez cały pobyt w Barcelonie; nawet budząc się nocami rozpamiętywałem zimno w okopach, okropne ranki z

alarmami, długie godziny na warcie z oszronionym karabinem, lodowate błoto, przelewające się przez cholewę buta. Przyznaję też, że ogarniało mnie coś w rodzaju przerażenia, kiedy spoglądałem na ludzi, z którymi przyszło mi maszerować. Trudno wprost sobie wyobrazić, co to była za zbieranina. Każdy postępował do przodu samopas i jako grupa byliśmy o wiele mniej zwarcia niż stado owiec; nie uszliśmy jeszcze dwóch mil, a już tył kolumny zniknął z zasięgu wzroku. Niemal połowę tych tak zwanych ludzi stanowiły dzieci — mówię tu o dzieciach w dosłownym tego słowa znaczeniu, w przeważającej większości szesnastolatkach. Mimo to czuli się szczęśliwi i podnieceni perspektywą znalezienia się w końcu na froncie. Kiedy zbliżyliśmy się do naszych pozycji, chłopcy otoczyli czerwoną flagę na przedzie i zaczęli skandować *Viva POUM!*, *Fascistas — maiicones!* i tym podobne okrzyki, które w zamyśle miały być bojowe i groźne, wychodząc jednak z dziecięcych gardeł brzmiały równie patetycznie, jak popiskiwanie kociąt. Mogło budzić niepokój to, że obrońcy Republiki, to właśnie ta hałastrza obdartej dziatwy taszczącej wysłużone karabiny, którymi nie umieli się nawet posługiwać. Pamiętam, jak się zastanawiałem, co by to było, gdyby nadleciał faszystowski samolot, czy lotnikowi chciałoby się w ogóle nurkować i oddawać w naszym kierunku salwę z karabinu maszynowego. Pewnie nawet z powietrza dostrzegłby, że nie ma do czynienia z prawdziwym wojskiem.

Ponieważ droga weszła w łańcuch górski, przy rozwidleniu skręciliśmy w prawo i rozpoczęliśmy wspinaczkę wąską ścieżką dla mułów, która biegła kręto wokół stoku. Wzniesienia w tych stronach Hiszpanii mają dziwną rzeźbę, ukształtowane są w podkowy z płaskimi szczytami i bardzo stromymi zboczami i opadającymi w głąb przepaścistych jarów. Na wyżej położonych skarpach nie rośnie nic z wyjątkiem karłowatych krzewów i wrzosów, a gdzie tylko spojrzeć sterczą białe gnaty wapienia. Linia frontu nie stanowiła w tym miejscu nieprzerwanego ciągu okopów, bo okazało się to niemożliwe w tego rodzaju górzystej okolicy; był to po prostu łańcuch ufortyfikowanych stanowisk, zawsze nazywanych „pozycjami”, usadowionych na każdym szczycie wzniesienia. W oddali można było dostrzec naszą „pozycję” na zwieńczeniu podkowy;

poszarpana barykada z worków z piaskiem, powiewająca czerwona flaga, dym z palonych w okopach ognisk. Nieco bliżej wyczuwało się przyprawiający o mdłości, słodki smród, który wypełniał mi nozdrza jeszcze przez wiele tygodni. Gromadzone miesiącami śmieci zostały zwalone do rozpadliny tuż za „pozycją” — głębokie gnijące koryta chlebowych skórek, ekskrementów i zardzewiałych puszek.

Kompania, którą luzowaliśmy, szykowała swoje tornistry. Żołnierze spędzili na froncie trzy miesiące; mundury mieli ubłocone, buty im się rozlatywały, większość twarzy pokrywały brody. Dowodzący odcinkiem kapitan o nazwisku Lewiński — lecz wszyscy zwracali się do niego Benjamin — Żyd urodzony w Polsce, posługujący się francuskim jak językiem ojczystym, wyczołgał się ze swego dołka i powitał nas. Był niskim młodzieńcem w wieku około dwudziestu pięciu lat, miał sztywne, czarne włosy, a jego bladą, pełną entuzjazmu twarz ciągle pokrywała wówczas warstwa brudu. Kilka zbłąkanych kul świsnęło wysoko ponad głowami. „Pozycja” tworzyła półkole o promieniu pięćdziesięciu metrów, otaczał ją wał wykonany częściowo z worków z piaskiem, a częściowo z wapiennych brył. Trzydzieści albo czterdzieści wykopów zagłębiało się w gruncie niczym szczurze nory. Williams, jego hiszpański szwagier i ja chyżo wskoczyliśmy do najbliższego nie zajętego dołka, który wyglądał na nadający się do zamieszkania. Gdzieś z przodu z trzaskiem wypalił pojedynczy karabin, powodując dziwne, pohukujące wśród kamienistych wzniesień, echo. Właśnie zrzuciliśmy tornistry i gramoliliśmy się z naszego wykopu, kiedy rozległ się następny trzask i jeden z chłopców z naszej kompanii runął z wału, z twarzą we krwi. Wystrzelił ze swojego karabinu, co w jakiś sposób spowodowało wybuch zamka; odłamki rozerwanej łuski rozcięły mu skórę na głowie na pasemka. Tak więc mieliśmy pierwszą ofiarę i co charakterystyczne, z powodu samookaleczenia.

Po południu trzymaliśmy naszą pierwszą wartę i Benjamin oprowadzał nas po stanowisku. Przed wałem przebiegał system wąskich okopów wykutych w skale, z nadzwyczaj prymitywnymi strzelnicami zrobionymi z kupek wapiennych kamieni. Posterunków wartowniczych było dwanaście, rozmieszczono je w różnych

punktach okopu i wewnątrz wału. Dostępu do okopu bronił rozpięty przed nim drut kolczasty oraz stok, który opadał ku niemal bezdennej rozpadlinie; po przeciwległej stronie rozciągały się nagie wzgórza, a niekiedy po prostu urwiska skalne, szare i zimne, bez jakichkolwiek przejawów życia, nawet ptak tam nie zaglądał. Patrzyłem uważnie przez otwór strzelnicy usiłując odszukać wzrokiem faszystowski okop.

— Gdzie jest wróg?

Benjamin wykonał ręką szeroki gest. — Tiam — (Benjamin mówił łamanym angielskim).

— Ale g d z i e ?

O ile znałem się cokolwiek na wojnie pozycyjnej, to faszyci powinni znajdować się pięćdziesiąt lub sto metrów od nas. Nie dostrzegłem niczego — widocznie ich okopy zostały bardzo dobrze zamaskowane. Potem, z przerażeniem w oczach, spojrzałem w miejsce, na które wskazywał Benjamin: na przeciwległym szczycie, za rozpadliną, w odległości co najmniej siedmiuset metrów rysowały się cieniutkie kontury wału obronnego i czerwono-żółta flaga — to było stanowisko faszystów. Doznałem zawodu nie do opisania. W żadnym punkcie nasze pozycje nawet się nie zbliżyły do wroga! Przy takim dystansie nasze karabiny okazywały się zupełnie bezużyteczne. Ale oto rozległ się krzyk emocji. W oddali dwóch faszystów, niczym poszarzałe posążki, gramoliło się w górę nagiego zbocza po przeciwległej stronie. Benjamin złapał karabin stojącego najbliżej żołnierza, wycelował i pociągnął za spust. Pyk! Niewypał; przyjąłem to za zły omen.

Dopóty nowe warty nie powracały do okopu, dopóki nie rozpętały okropnej kanonady, nie mierząc przy tym w jakiś konkretny cel. Dostrzegałem faszystów, maleńcy jak mrówki, przemykali tam i z powrotem za swoim nasypem, a czasem jakaś czarna kropka, która była głową, przystawała na chwilę zuchwale stercząc. Strzelanie oczywiście nie miało sensu. Wkrótce jednak wartownik po mojej lewej stronie, opuszczając swój posterunek w typowy dla Hiszpanów sposób, nerwowym krokiem zbliżył się do mnie i zaczął nalegać, abym strzelał. Usiłowałem go przekonać, że z takiej odległości i z takich karabinów można kogoś trafić jedynie przez przypadek. Lecz był jeszcze dzieckiem i wymachiwał nieprzerwanie

karabinem w kierunku jednej z kropek, szczerząc srogo zęby, jak pies, który oczekuje uderzenia kamieniem. W końcu nastawiłem celownik na siedemset i wypaliłem. Kropka zniknęła. Podejrzewam, iż kula przeszła na tyle blisko, że ktoś musiał podskoczyć. Po raz pierwszy w życiu strzeliłem z karabinu do człowieka.

Teraz, kiedy widziałem już front, czułem się do głębi zawiedziony. I oni to nazywali wojną! Przecież my na dobrą sprawę nie weszliśmy nawet w kontakt z przeciwnikiem! Nie zadawałem sobie w ogóle trudu, aby trzymać głowę na poziomie okopu. Niewiele później pocisk minął jednakże ze złowrogim świstem moje ucho i walnął w tylne obwałowanie. Niestety! Zrobiłem unik. Przysięgałem całe życie, że nie drgnę, kiedy po raz pierwszy przeleci nade mną kula; okazuje się jednak, iż jest to odruch instynktowny, i prawie każdy uczyni tak przynajmniej raz.

ROZDZIAŁ TRZECI

W czasie wojny pozycyjnej pojawia się pięć ważnych problemów: drewno opałowe, żywność, tytoń, świece i wróg. Zimą, na froncie w Saragossie, tak właśnie wyglądała hierarchia ważności — wróg na szarym końcu. Z wyjątkiem nocy, kiedy istniała możliwość ataku przez zaskoczenie, w innych porach nikt się wrogiem nie przejmował. Nieprzyjaciele byli po prostu odległymi czarnymi robaczkami, które zdarzało się dostrzegać, jak skakały tam i z powrotem. Prawdziwą troskę obydwu armii stanowiła ochrona przed utratą ciepła.

Powinienem przy okazji wspomnieć, że przez cały mój pobyt w Hiszpanii widziałem niewiele walk. Przebywałem na aragońskim froncie od stycznia do maja, a w okresie pomiędzy styczniem a marcem, z wyjątkiem zmagania w Teruelu, nie wydarzyło się nic lub prawie nic. W marcu toczyły się ciężkie boje wokół Huesca, lecz osobiście miałem w nich skromny udział. Później, w czerwcu, nastąpił potworny atak na Huesca, na skutek którego jednego dnia poległo kilka tysięcy ludzi, ale zanim do tego doszło, byłem już ranny i niezdolny do niczego. To, co zwykło się nazywać okropnościami wojny, nie przydarzyło mi się zgoła nigdy. Żaden samolot ani razu nie zrzucił bomby w moim pobliżu, nie pamiętam, aby jakiś pocisk wybuchnął kiedyś w promieniu krótszym niż pięćdziesiąt metrów ode mnie, i tylko raz wdałem się w walkę wręcz

(mógłbym rzec, że o jeden raz za dużo). Oczywiście znajdowałem się często pod ogniem ciężkiego karabinu maszynowego, lecz był on prowadzony z dalszej odległości. Nawet w Huesca można się było czuć wystarczająco bezpiecznie, jeżeli zachowywało się należyta ostrożność.

Tymczasem tutaj na wzgórzach okalających Saragossę nuda przeplatała się z niewygodami, jakie niosły ze sobą pozycyjne działania wojenne. Życie bez zdarzeń, podobne do życia urzędnika w mieście i prawie tak samo regularne. Warty, patrole, roboty ziemne; roboty ziemne, patrole, warty. Na szczycie każdego wzgórza faszysta lub lojalista, grupka obszarpanych, brudnych mężczyzn dygocących z zimna i starających się ogrzać. I we wszystkie dni i noce bezsensowne pociski przemierzały pustą dolinę, mogąc tylko jakimś nieprawdopodobnym trafem zagościć w ludzkim ciele.

Wielokrotnie wodziłem wzrokiem po zimowym pejzażu i zdumiewała mnie niedorzeczność tego wszystkiego. Brak rozstrzygnięcia w tego rodzaju wojnie! Wcześniej, gdzieś około października toczyły się bezlitosne walki o te wzgórza; potem brak żołnierzy, uzbrojenia, a szczególnie artylerii spowodował, że operacje na dużej skalę stały się niemożliwe, każda z dwóch armii okopała się i usadowiła na uprzednio zdobytych szczytach. Nad nami po prawej stronie, znajdowała się mała placówka, również POUM, zaś po naszej lewej stronie, na grzebieniu, ustawione względem nas tak jak wskazówki zegara na godzinie siódmej, mieściło się stanowisko PSUĆ, zwrócone frontem do wyższego grzebienia, na którym porozrzucano na poszczególnych wierzchołkach kilka małych posterunków faszystów. Tak zwana linia frontu przebiegała zygzakiem kreśląc wzór, który okazałby się zupełnie niezrozumiały, gdyby nad każdym stanowiskiem nie powiewała flaga. Flagi POUM i PSUĆ były czerwone, anarchistów czerwono-czarne; faszyci najczęściej wywieszali flagę monarchistyczną (czerwono-żółto-czerwoną), lecz bywało, że powiewał nad nimi sztandar Republiki (czerwono-żółto-fioletowy). Krajobraz niesłychany, trzeba by jeszcze pamiętać, że każdy górski szczyt był obsadzony przez oddziały, a więc zaśmiecony blaszanymi puszkami i pokryty skorupami odchodów. Na pewno od nas łańcuch zakręcał w kierunku południowo-wschodnim i zmierzał ku szerokiej, słojuwatej dolinie, która ciągnęła się do

Huesca. Na środku równiny leżało kilka miniaturowych sześcianów porzucanych jak kości do gry; to było Robers, miasto w posiadaniu lojalistów. Często porankami dolinę przykrywał ocean chmur, z którego wyrastały matowe i sine wzgórza, nadając pejzażowi podobieństwo do negatywu fotografii. Za Huesca rozłożyło się więcej wzniesień o podobnej rzeźbie jak nasze, ozdobionych prążkowanymi deseniami śniegu, które zmieniały się z dnia na dzień. W dali olbrzymie wierzchołki Pirenejów, gdzie śnieg nigdy nie topnieje, zdawały się unosić w powietrzu. Nawet w dole, na równinie, wszystko wyglądało na nagie i wymarłe. Wzgórza naprzeciw nas były szare i pomarszczone jak skóra słonia. Z rzadka przelatywał w górze ptak. Nie pamiętam, abym spotkał kiedyś kraj, gdzie byłaby taka skąpa ilość ptaków. Niekiedy widywało się stworzenia przypominające sroki, stada kuropatw, mogące przstraszyć nocą swoim nagłym furkotem, oraz, co zdarzało się niezwykle rzadko, unoszące się wolno orły, ścigane zazwyczaj w swych lotach kulami karabinowymi, których nie raczyły nawet zauważać.

Nocą i w mglistą pogodę wysyłano patrole do doliny oddzielającej nas od faszystów. Zajęcie to nie cieszyło się popularnością, a to z powodu dużego zimna i zbyt dużej możliwości zgubienia się, toteż, jak się wkrótce zorientowałem, pozwolenie na wyjście mogłem otrzymać na każde żądanie. W ogromnej, poszczerbionej rozpadlinie nie było jakichkolwiek traktów czy ścieżek; drogę odszukiwało się tylko dzięki kolejnym wyprawom i zapamiętywaniu coraz to nowych szczegółów terenu. Pocisk przelatujący między nami i najbliższym stanowiskiem faszystów pokonywał odcinek długości siedmiuset metrów, ale jedyna nadająca się do przejścia trasa mierzyła dwa i pół kilometra. Włóczenie się w ciemnościach dolinami, kiedy zbłąkane kule ćwierkały nad głową jak wróble, stanowiło do pewnego stopnia frajdę. Dogodniejsze od nocy były gęste mgły, które wisiały niejednokrotnie przez cały dzień, otulając szczyty wzgórz, gdy tymczasem w dolinach powietrze stawało się przejrzyste. W pobliżu pozycji faszystów należało pełznąć w żółtym tempie; poruszanie się po cichu stokami sprawiało nie lada trudność: trzaskały krzewy, podzwaniały wapienne kamienie. Trzeba było aż trzech lub czterech prób, aby udało mi się znaleźć drogę do faszystowskiej Unii. W nieprzeniknionej mgle podczołgałem się

do drutu kolczastego i zacząłem nadśluchiwać. Dobiegły mnie z tamtej strony odgłosy rozmów i śpiewów. Następnie, ku mojemu zaniepokojeniu, usłyszałem, jak kilku faszystów schodzi wzgórzem w moim kierunku. Przycupnąłem za krzakiem, który nagle okazał się niezmiernie mały, i próbowałem bezgłośnie zarepetować karabin. PoszU jednak inną drogą i nie pokazali się w zasięgu mojego wzroku. Za krzakiem, który dał mi schronienie, natknąłem się na rozmaite pozostałości po wcześniejszych walkach: kupki łusek, skórzaną, przestrzeloną czapkę i czerwoną flagę będącą oczywiście naszą własnością. Flagę zabrałem z powrotem na nasze stanowisko, gdzie, bez sentymentów, została podarta na szmatki przeznaczone do czyszczenia broni.

Wkrótce po przybyciu na front zrobiono mnie kapralem, czy też cabo, jak się mówiło, i dowodziłem strażą w sile dwunastu ludzi. Ta funkcja nie była żadną synekurą. Szczególnie na początku. Nie przeszkolona hałastrą, która tworzyła *centurię*, składała się w większości z nastolatków. Tu i ówdzie spotykało się w naszych szeregach jedenastoletnie i dwunastoletnie dzieci — zazwyczaj były one uciekinierami z terytorium faszystów — dla których wcielenie do milicji okazywało się najprostszym sposobem zabezpieczenia ich bytu. Z reguły dawano im lekką pracę na tyłach, lecz bywało, że zdołały się przekraść na Unię frontu i tu stanowiły zagrożenie dla wszystkich. Przypominam sobie małego gagatka, który „dla zabawy” wrzucił ręczny granat do ogniska w wykopie. W Monte Poceru nie było bodajże młodszych niż piętnastolatki, niemniej średnia wieku utrzymywała się dobrze poniżej dwudziestu lat. Wykorzystywanie tak młodych chłopców na froncie nie powinno nigdy mieć miejsca, brak im bowiem odporności na niedostatek snu, który stanowi nieodłączny element wojny okopowej. Prawidłowe strzeżenie naszego odcinka zdawało się na początku być niemożliwe. Jediną metodą na obudzenie tych nieszczęśliwych dzieci okazało się wywlekanie ich z wykopów za nogi, lecz gdy tylko człowiek się odwracał, chłopcy opuszczali posterunki i wślizgiwali się do swoich kryjówek, a nawet, mimo przeraźliwego chłodu, oparci o ścianę okopu, szybko zasypiali. Na szczęście wróg nie wykazywał zbyt dużej przedsiębiorczości. Zdarzały się noce, kiedy wydawało mi się, że dwudziestu uzbrojonych w wiatrówki harcerzy,

lub tyle samo harcerek, z kijankami do prania w ręku, może wziąć szturmem nasze stanowisko.

W owym czasie i jeszcze długo potem, zasady organizacyjne katalońskiej milicji pozostawały niezmienione w stosunku do tych, które obowiązywały na początku wojny. W pierwszych dniach rewolty Franco, różne związki zawodowe oraz partie polityczne pośpiesznie powołały do życia te robotnicze oddziały, z których każdy był w pierwszym rządzie organizacją polityczną podległą w równym stopniu swojej partii, jak i centralnemu rządowi. Kiedy na początku 1937 roku stworzono Armię Republikańską, „apolityczne” siły zbrojne zorganizowane na mniej lub bardziej tradycyjnych zasadach, jednostki milicji z poszczególnych partii zostały włączone do niej przynajmniej teoretycznie. Przez długi czas wszelako zmiany zachodziły jedynie na papierze; aż do czerwca 1937 roku żadne oddziały nowo powstałej Armii nie przybyły na aragoński front, a do tego okresu dotychczasowy system działający w oparciu o milicję nie uległ zmianie. Podstawowym elementem tego systemu była społeczna równość pomiędzy oficerami i żołnierzami. Wszyscy, od generała do szeregowca, otrzymywali taki sam żołd, jedli takie samo jedzenie, nosili takie same ubrania i obcowali ze sobą na warunkach całkowitej równości. Gdyby ktoś zapragnął klepnąć generała dowodzącego dywizją w plecy i poprosić go o papierosa, mógł tak uczynić i nikomu nie wydałoby się to dziwne. W każdym razie jednostki milicji nie posiadały struktury hierarchicznej, lecz demokratyczną. Było oczywiste, że rozkazów należy słuchać, ale było również oczywiste, że rozkazy wydawał towarzysz towarzyszowi, a nie przełożony podwładnemu. Byli oficerowie i podoficerowie, lecz nie było szarż w zwykłym znaczeniu; nie używano tytułów, nie naszywano stopni wojskowych, nie trzaskano obcasami i nie salutowano. Podjęto próbę wypracowania w szeregach milicji czegoś w rodzaju tymczasowego roboczego wzorca bezklasowego społeczeństwa. Oczywiście całkowita równość nie istniała, jednak osiągnięto ją w takim stopniu, z jakim się nigdy nie spotkałem, ani też nie uważałem za możliwy w czasie wojny. Przyznać jednak muszę, że na pierwszy rzut oka, obraz, który ujrzałem na froncie przeraził mnie. Jak, do licha, wojsko tego

rodzaju może wygrać wojnę? Pytanie to zadawał sobie wówczas każdy i chociaż znajdowało ono uzasadnienie w rzeczywistości, tkwiła w nim jednocześnie niedorzeczność. Przecież w panujących okolicznościach jednostki milicji nie mogły być lepsze niż były. Nowoczesna, zmechanizowana armia nie bierze się z powietrza, i gdyby rząd czekał, aż wszystkie oddziały, jakie miał do dyspozycji, zostaną przeszkolone, Franco nigdy nie napotkałby żadnego oporu. W późniejszym okresie nadeszła moda na krytykowanie milicji i w związku z tym sugerowano, jakoby przyczyną błędów był egalitarny system, a nie brak wyszkolenia oraz broni. Świeżo sformowane oddziały były rzeczywiście niezdyscyplinowaną zgrają, ale nie dlatego, że oficerowie zwracali się do szeregowców „Towarzyszu”, ale z tej przyczyny, iż „surowe” oddziały są z a w s z e niesforną hałastą. Demokratyczny, „rewolucyjny” typ dyscypliny jest w praktyce bardziej wiarygodny, niż można by się spodziewać. W robotniczym wojsku karność teoretycznie nie obowiązuje. Opiera się ona na solidarności klasowej, podczas gdy subordynacja poborowego w burżuazyjnej armii ma w ostatecznym rozrachunku za podstawę strach. (W Armii Republikańskiej, która zastąpiła milicję powstał model pośredni pomiędzy tymi dwoma typami). Nikt ani przez moment nie tolerowałby w szeregach milicji znęcania się i nadużyć spotykanych w regularnej armii. Funkcjonował normalny system kar, ale sięgano po niego w poważnych przypadkach. Gdy ktoś odmówił wykonania rozkazu, nie był karany natychmiast; należało najpierw zaapelować do niego w imię braterstwa. Osoby cyniczne, bez doświadczenia w kierowaniu ludźmi, powiedzą od razu, że taka metoda nie zda egzaminu, ale długa praktyka dowodzi czegoś innego. W miarę upływu czasu dyscyplina nawet najgorszych oddziałów milicji poprawiła się w sposób widoczny. Omal nie posiwałem, kiedy przyszło mi w styczniu przekształcić tuzin świeżych rekrutów w żołnierzy. W maju, przez krótki czas, pełniłem obowiązki porucznika, dowodząc trzydziestoma Hiszpanami i Anglikami. Spędziliśmy wszyscy niejeden miesiąc pod ogniem nieprzyjaciela i nigdy nie miałem najmniejszych trudności z egzekwowaniem rozkazów, ani też nie narzekałem na brak chętnych do niebezpiecznych zadań. „Rewolucyjna” dyscyplina zależy od politycznej świadomości — od zrozumienia d l a c z e g o nale-

ży słuchać rozkazów; wyjaśnianie wymaga czasu, ale wymaga też czasu przekształcenie człowieka za pomocą musztry na koszarowym placu w automat. Dziennikarze, którzy szydzili z opartego na milicjach systemu, rzadko pamiętali, że to oddziały robotnicze musiały stanąć na pierwszej linii, gdy tymczasem Armia Republikańska odbywała szkolenie na tyłach. I sile „rewolucyjnej” dyscypliny należy zawdzięczać, że oddziały te w ogóle stanęły do boju, nie bowiem, z wyjątkiem solidarności klasowej, nie zmusiłoby ich do prowadzenia walki aż do czerwca. Pojedynczy dezercerzy mogli być rozstrzelani — i tak się czasami robiło — lecz jeśli naraz tysiąc żołnierzy postanowiłoby opuścić front, to żadna siła nie byłaby ich w stanie zatrzymać. Wystarczyłoby wycofać żandarmerię frontową, a w takich samych okolicznościach wojsko złożone z poborowych niechybnie stopniałoby. A jednak jednostki milicji trwały na placu boju, chociaż Bóg jeden raczy wiedzieć, jak to się działo, że zdołali odnieść swe nieliczne zwycięstwa i nawet dezercje zdarzały się rzadko. W ciągu czterech lub pięciu miesięcy słyszałem jedynie o czterech uciekinierach z szeregów POUM, przy czym dwóch z nich to prawie na pewno szpiedzy, którzy wstąpili do milicji w celu zdobycia informacji. Widoczny chaos, powszechny brak przeszkolenia i fakt, że często trzeba było wyklócać się przez pięć minut, aby ktoś zechciał usłuchać rozkazu, przerażały mnie i doprowadzały na początku do wściekłości. Moje poglądy kształtowała brytyjska armia i hiszpańskie milicje w niczym z pewnością nie przypominały tamtego wojska. Uwzględniając jednakże okoliczności, okazały się one lepsze niż można się było spodziewać.

Tymczasem drewno na opał — nieustanny problem. Nie ma chyba w moim dzienniku z owego okresu zapisu, w którym nie wspominałbym o drewnie opałowym, a raczej o jego braku. Znajdowaliśmy się na wysokości pomiędzy sześćset a dziewięćset metrów ponad poziomem morza, był środek zimy i panowało zimno nie do opisania. Być może temperatura nie opadała wyjątkowo nisko — w ciągu wielu nocy nie było mrozu i bywało, że zimowe słońce świeciło przez godzinę w południe — ale jeśli nawet naprawdę nie było zimno, to każdego mogę zapewnić, że tak się wydawało. Czasami dmuchały ryczące wiatry, które zrywały czapki i targały włosy, niekiedy opadały mgły i wlewały się do okopu jak ciecz,

która zdawała się przenikać do kości; często lało, a nawet kwadrans takiego deszczu sprawiał, że warunki stawały się nie do zniesienia. Cienki naskórek z ziemi, który przykrywał wapień rychło przemieniał się w śliską maź, a jako, że poruszaliśmy się zawsze po zboczu, utrzymanie równowagi okazywało się nie lada sztuką. Podczas ciemnych nocy zdarzało mi się nieraz i pół tuzina upadków na odcinku dwudziestu metrów; pociągało to za sobą groźbę zapechania zamka karabinu błotem. W miarę upływu czasu zarówno ubrania jak i buty, koce oraz karabiny pokrywała mniej lub bardziej błotnista powłoka. Zabrałem ze sobą tyle grubej odzieży, ile tylko mogłem udźwignąć, lecz wielu żołnierzy miało na sobie przyodziewek podszyty wiatrem. Na cały garnizon, liczący około stu ludzi, przypadało jedynie dwanaście płaszczy, które każda warta zmuszona była przekazywać swoim zmiennikom, zaś większość ludzi miała tylko po jednym kocu. Pewnej mroźnej nocy sporządziłem w moim dzienniku listę ubiorów, które miałem na sobie. Jest ona do pewnego stopnia interesująca, ponieważ pokazuje, ile odzieży może udźwignąć ciało ludzkie. Miałem na sobie gruby podkoszulek i kalesony, flanelową koszulę, dwa pulowery, wełnianą marynarkę, kurtkę ze świńskiej skóry, sztruksowe bryczesy, owijacze, grube skarpety, buty z cholewami, ciepły trencz, szalik, podszyte skórą rękawice i wełnianą czapkę. Mimo tego trząsałem się jak galareta. Przyznać jednak muszę, że jestem wrażliwy na zimno.

Drewno na opał to rzecz, która się naprawdę liczyła. Kłopot w tym, że było ono praktycznie nieosiągalne. Nasza nieszczęsna góra nigdy nie miała zbyt wiele roślinności, miesiącami przemierzali ją zmarznięci milicjanci i skutek tego był taki, że wszystko, co było grubsze od palca zostało już dawno spalone. Jeżeli akurat nie jedliśmy, nie spaliśmy, nie staliśmy na warcie, czy nie wykonywaliśmy jakichś prac, to każdy myszkował po dolinie za stanowiskiem w poszukiwaniu opału. Wszystkie moje wspomnienia z tamtego okresu są związane z wdrapywaniem się na nieomal prostopadłe zbocza, z turlaniem się w dół po wyszczerbionych wapiennych skałach, które rozrywały buty na kawałki, i z łapczywym rzucaniem się na wątłe gałązki. Trzech ludzi po kilku godzinach poszukiwania mogło zebrać tyle drewna, że starczyło go na podtrzymanie ogniska w wykopie przez godzinę. Skwapliwość, z jaką zdobywaliśmy

opał, uczyniła z nas botaników. Każdą roślinę porastającą zbocze klasyfikowaliśmy według jej właściwości palnych; różnego rodzaju wrzosi i trawy, jakkolwiek nadawały się na podpałkę, to jednak spalały się po kilku minutach, dziki rozmaryn i małe kolczaste krzaki okazały się przydatne wówczas, gdy ognisko płonęło pełnym ogniem, karłowate dęby, mniejsze od krzaczka agrestu, były praktycznie niepalne. Pewien gatunek wyschniętej trzciny, bardzo dobry do rozpalenia ogniska, rósł niestety jedynie na szczycie wzgórza, na lewo od stanowiska i aby go dostać, należało przejść pod ostrzałem. Wystarczyło, że obsługa karabinu maszynowego dostrzegła chętnego, a już posyłano mu cały magazynek. Najczęściej celowali za wysoko i kule śpiewały nad głową jak ptaki, ale czasami z trzaskiem rozłupywały wapienną skałę w nieprzyjemnie małej odległości, i wtedy padało się na twarz. Mimo tego wyprawialiśmy się po trzcinę; gdy chodziło o opał, pozostałe problemy traciły znaczenie.

Wobec zimna inne niewygody zdawały się drobnostkami. Wszyscy byliśmy oczywiście ciągle brudni. Woda dla nas, podobnie jak żywność, przyjeżdżała na grzbietach mułów z Alcubierre i przydział wystarczał na mniej więcej jedną czwartą dnia. Cóż za ohydna woda, odrobinę bardziej przezroczysta od mleka. Teoretycznie przeznaczona była tylko do picia, ale zawsze co rano wykradałem miskę, aby się umyć. Jednego dnia myłem się, a następnego goliłem; wody nie wystarczało nigdy na obie czynności na raz. Stanowisko cuchnęło obrzydliwie, a tuż za małym obwałowaniem okalającym barykadę zalegały wszędzie ekskrementy. Niektórzy z żołnierzy notorycznie załatwiali się w okopie — wstrętny zwyczaj, szczególnie gdy przychodzi robić obchód w ciemnościach. Ale brud nigdy mnie nie martwił. Ludzie za bardzo przejmują się brudem. To zadziwiające, jak szybko można się przyzwyczaić do radzenia sobie bez chusteczki do nosa i do jedzenia z cynowej miski, która służy również jako miednica do mycia. Także spanie w ubraniu przestaje być uciążliwe już po jednym czy dwóch dniach. Ściąganie ubrania na noc, nie mówiąc o butach, nie było oczywiście możliwe; obowiązywała nieustanna gotowość bojowa. W ciągu osiemnastu nocy zdjąłem odzież tylko trzy razy, chociaż udawało mi się to zrobić niekiedy w ciągu dnia. Dla wszy było na razie za

zimno, ale szcurów i myszy nie brakowało. Często się mówi, że nie sposób spotkać myszy i szcurów w jednym miejscu, lecz to nieprawda, zależy to tylko od tego, czy jest dla nich wystarczająca ilość żywności.

Co do innych spraw to nie było tak źle. Jedzenie mieliśmy nie najgorsze i wina pod dostatkiem. Papierosy po jednej paczce dziennie wydawano ciągle, zapalki co drugi dzień; przydzielano nawet świece. Były one cienkie, podobne do tych, które umieszcza się na bożonarodzeniowym torcie i jak powszechnie przypuszczano, zostały wyszabrowane z kościołów. Każdemu stanowisku przysługiwała trzycalowa świeczka dziennie, co wystarczało na około dwadzieścia minut świecenia. Nadal istniała możliwość zakupu świec, a ja przywiozłem kilka kilogramów tego rarytasu. Nasze życie stało się później nieszczęśliwe z powodu głodu zapalek i świec. Człowiek nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tych przedmiotów, dopóki mu ich nie zabraknie. Na przykład podczas nocnych alarmów, kiedy każdy w wykopie rzuca się po swój karabin i stąpa po czyjejs twarży, zapalenie światła może być kwestią życia i śmierci. Wszyscy żołnierze posiadali hubki z krzesiwem i kilka metrów żółtego knota. Obok karabinu były to rzeczy najważniejsze. Hubki z krzesiwem miały tę wspaniałą zaletę, że zapalały się na wietrze, ale ponieważ tylko się tliły, nie mogły posłużyć do rozpalania ogniska. Kiedy głód zapalek osiągnął szczyt, jedyną metodą uzyskiwania płomienia okazało się wyjęcie pocisku z łuski i zapalenie prochu hubką.

Wiedliśmy życie niezwykle — niezwykle był bowiem sposób prowadzenia wojny, jeśli można to było nazwać wojną. Wszystkich irytowała niemożność działania i bezustannie głośno domagaliśmy się wyjaśnień, dlaczego nie wolno nam atakować. Lecz było zupełnie oczywiste, że nie będzie żadnej bitwy dopóty, dopóki nie rozpocznie jej wróg. Georges Kopp, podczas swoich okresowych inspekcji, wykazywał wobec nas całkowitą szczerłość.

— To nie jest wojna — zwykł mawiać — to opera komiczna, gdzie czasem zdarzy się przypadkowa śmierć.

W istocie rzeczy ten zastój na aragońskim froncie miał przyczyny polityczne, o czym wówczas nie wiedziałem; czysto wojskowe przeszkody — pomijając brak rezerwowych żołnierzy — były dla

wszystkich jasne.

Przede wszystkim charakter okolicy. Zarówno nasza jak i faszystowska linia obrony przebiegała w miejscach wyjątkowo trudno dostępnych, do których z reguły można było podejść z jednej strony. Wystarczyło zrobić kilka okopów, aby zdobycie takich miejsc przez piechotę stało się niemożliwe, chyba że nacierałaby w przeważającej ilości. Tuzin żołnierzy z dwoma karabinami maszynowymi na naszym stanowisku, czy na większości stanowisk wokół nas, mógł odeprzeć batalion. Tak jak byliśmy rozlokowani na szczytach wzgórz, stanowiliśmy znakomity cel dla artylerii; ale artylerii nie było. Czasami rozglądałem się po okolicy i tęskniłem — i to jak bardzo! — za kilkoma bateriami dział. Likwidowanie jednego za drugim stanowisk wroga szłoby równie łatwo jak rozłupywanie orzechów młotkiem. Lecz po naszej stronie artyleria po prostu nie istniała. Faszystom udawało się czasem sprowadzić jedno czy dwa działa z Saragossy i wystrzelić małą liczbę pocisków, tak małą, że nie zdołali nigdy trafić i kule lądowały nieszkodliwie w pustych wąwozach. W sytuacji gdy brak jest artylerii, a naprzeciw znajdują się karabiny maszynowe, istnieją jedynie trzy możliwości: okopać się w bezpiecznej odległości — powiedzmy czterystu metrów — nacierać w otwartym terenie i narazić się na zmasakrowanie, albo podejmować nocne ataki na małą skalę, co i tak nie doprowadziłoby do poważniejszych zmian. W praktyce pozostaje więc alternatywa: zastój lub samobójstwo.

Poza tym odczuwało się kompletny brak materiałów wojennych wszelkiego rodzaju. Trzeba nie lada wysiłku, aby uzmysłwić sobie, jak beznadziejny był wówczas stan uzbrojenia milicji. Byle oddział przysposobienia obronnego w angielskiej szkole prywatnej o wiele bardziej przypomina nowoczesną armię. Bezwartościowość naszej broni była tak niewiarygodna, że fakt ten wart jest odnotowania w szczegółach.

Całą artylerię na tym odcinku frontu stanowiły cztery moździerze i na każdy z nich przypadało po piętnaście pocisków. Oczywiście były te pociski nazbyt cenne, aby ich używać do strzelania i moździerze trzymano w Alcubierre. Mieliśmy karabiny maszynowe w proporcji mniej więcej jeden na pięćdziesięciu żołnierzy; stara broń, lecz na odległość trzystu,

czterystu metrów wcale celna. Oprócz tego posiadaliśmy zaledwie pięćdziesiąt karabinów, w większości nadających się na złom. W użyciu były trzy typy. Długie „Mausery”, najczęściej ponad dwudziestoletnie, których celowniki wykazywały przydatność równą zepsutemu szybkościomierzowi, a gwinty doszczętnie przeżarła korozja; mniej więcej jeden karabin na dziesięć okazywał się jednak sprawny. Następnie krótkie „Mausery” — muszkietony — klasyczna kawaleryjska broń. Cieszyły się one większą popularnością od innych typów ze względu na mniejszy ciężar i większą poręczność w okopie, a ponadto były stosunkowo nowe i wyglądały na sprawne. W rzeczywistości okazały się prawie bezużyteczne. Złożono je po raz drugi z części, zamki nie pasowały do karabinów i należało się liczyć z tym, że trzy czwarte egzemplarzy zatnie się po pięciu strzałach. Było również kilka „Winchesterów”. Strzelanie z nich stanowiło przyjemność, wykazywały jednak kiepską celność, a ponieważ pociski dostarczano bez magazynków, można było oddawać po jednym strzale. Amunicji mieliśmy tak niewiele, że każdemu przybywającemu na front wydzielano po pięćdziesiąt sztuk, w tym wiele podlej jakości. Powtórnie napełniane naboje produkcji hiszpańskiej powodowały zacinanie się nawet najlepszych karabinów, meksykańskie z kolei, jako lepsze, przeznaczano do karabinów maszynowych. Amunicja produkcji niemieckiej była najlepsza, ponieważ jednak pochodziła jedynie od jeńców i dezertków, nie mieliśmy jej wiele. Zawsze nosiłem w kieszeni niemiecki lub meksykański magazynek z nabojami przeznaczony do użycia w nagłych wypadkach. W sytuacjach krytycznych strzelałem jednak rzadko; nazbyt obawiałem się zacięcia! nazbyt pragnąłem zaoszczędzić na każdym niewystrzelonym naboju.

Nie mieliśmy hełmów, bagnatów, prawie żadnych rewolwerów i pistoletów, a nie więcej niż jeden granat przypadał na pięciu do dziesięciu mężczyzn. Używane wówczas granaty były czymś koszmarnym, nazywano je „bomba FAI”, a wyprodukowane zostały na początku wojny przez anarchistów. Zrobiono je na wzór bomby Millsa, ale zamiast zawlecзки przytrzymał dźwignię kawałek wstążki. Należało zerwać wstążkę, a potem jak najszybciej pozbyć się granatu. Mówiło się o tym środku bojowym, że jest „bezstronny”; zabijał zarówno rzucającego jak i tego, w kogo rzu-

cano. Było jeszcze kilka innych typów, nawet bardziej prymitywnych, ale chyba o wiele mniej niebezpiecznych — dla rzucającego oczywiście. Granat odpowiedni do miotania zobaczyłem dopiero pod koniec marca.

Oprócz uzbrojenia brakowało wszystkich pomniejszych elementów wyposażenia wojennego. Na przykład nie mieliśmy map, ani planów. Hiszpanii nigdy w pełni nie skartowano i mapy wojskowe pozostały jedynymi szczegółowymi mapami tego obszaru, prawie wszystkie jednakże znajdowały się w rękach faszystów. Nie było odległościomierzy, teleskopów, peryskopów, lornetek polowych (z wyjątkiem kilku prywatnych), raketnic i rakiet świetlnych, nożyc do cięcia drutu, sprzętu rusznikarskiego; nie starczało nawet środków konserwujących. Hiszpanie chyba nigdy nie słyszeli o wyciorach ze sznurka i ze zdziwieniem przyglądali się zrobionemu przeze mnie egzemplarzowi. Aby wyczyścić karabin szło się z nim do sierżanta, a ten używał długiego mosiężnego wyciora, wiecznie powyginanego, co powodowało uszkodzenia gwintu. Nie było nawet oliwy do broni palnej. Karabiny smarowało się oliwą z oliwek, jeśli udało się ją gdzieś zdobyć; wielokrotnie używałem do tego celu wazeliny, kremu kosmetycznego, a nawet słoniny. Ponadto nie mieliśmy ani latarni ani latarek elektrycznych — podejrzewam, że w owym czasie, w naszym sektorze frontu nie istniało nic takiego jak latarka elektryczna i bliżej niż w Barcelonie nie można jej było kupić, choć i tam była towarem poszukiwanym.

W miarę upływu czasu, w którym bezładna strzelanina rozbrzmiewała wśród wzgórz, ze wzrastającym sceptycyzmem zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle wydarzy się coś, co tchnie odrobiną życia, a raczej odrobiną śmierci, w tę wojnę z przymrużeniem oka. Nie z żołnierzami przyszło nam walczyć, a z zapaleniem płuc. Kiedy okopy są oddalone od siebie o pięćset metrów, trafienie kogoś to wyłącznie dzieło przypadku. Oczywiście mieliśmy rannych, ale w większości z powodu samookaleczeń. Pamiętam dobrze, że przyczyną obrażeń pierwszych pięciu rannych, których ujrzałem w Hiszpanii, stała się nasza własna broń — nie twierdzę, iż działali rozmyślnie, był to raczej skutek nieostrożności albo wypadku. Nasze wysłużone karabiny stanowiły źródło zagrożenia. Niektóre z nich płątały złośliwe figle strzelając po trąceniu

kolbą o ziemię; widziałem, jak żołnierz przestrzelił sobie rękę w ten właśnie sposób. Natomiast świeżo przybyli rekruci strzelali do siebie w ciemnościach. Nie zapadł jeszcze nawet zmrok, gdy pewnego wieczoru wypalił do mnie wartownik z odległości dwudziestu metrów; chybił o metr — Bóg jeden wie ile to razy poziom umiejętności strzeleckich Hiszpanów ocalił mi życie. Innym razem wyruszyłem na patrol w gęstej mgle i przezornie uprzedziłem o tym dowódcę warty. W drodze powrotnej potknąłem się o krzak, przestraszeni wartownicy podnieśli wrzawę krzycząc, że nadchodzą faszyci, a mnie spotkała średnia przyjemność przysłuchiwania się dowódcy straży, który rozkazywał wszystkim otwarcie ciągłego ognia w moim kierunku. Oczywiście położyłem się i pociski nieszkodliwie przelatywały nade mną. Nic nie przekona Hiszpana, a przynajmniej młodego Hiszpana, że broń jest niebezpieczna. W jakiś czas później robiłem zdjęcie załogi przy karabinie maszynowym, który był skierowany wprost na mnie.

— Tylko nie strzelajcie — powiedziałem pół żartem, ustawiając ostrość obrazu w aparacie.

— Skądże znowu.

W następnej chwili powstał przerażający grzmot i strumień pocisków minął moją twarz tak blisko, że ziarna prochu wbiły mi się w policzek. Nie stało się to rozmyślnie, ale załoga cekaemu uznała całe wydarzenie za dobry kawał. A przecież nie dalej niż parę dni wcześniej oglądali poganiacza mułów zastrzelonego przypadkowo przez delegata politycznego, który zabawiając się automatem, ułokował pięć kul w jego płucach.

Trudne hasła używane przez wojsko również stanowiły źródło zagrożenia, choć nie tak duże. Były to kłopotliwe pary słów połączone ze sobą na zasadzie hasło-odzew. Miały one zazwyczaj wzniosły i rewolucyjny charakter, jak na przykład: *Cultura-progreso* albo *Seremos-invencibles*, i często trudno było wymagać od niepiśmiennego wartownika, aby zapamiętał sobie te górnolotne słowa. Pewnej nocy, jak sobie przypominam, hasło brzmiało *Cataluneroica*, i Jaime Domenech, wiejski chłopak o twarzy jak księżyc w pełni, podszedł do mnie z wielce zakłopotaną miną prosząc o wyjaśnienie.

— Eroica — co to takiego ta eroica?

Powiedziałem mu, że to samo co valiente. Niewiele później natrafił przypadkowo w ciemnościach na okop i wartownik rzucił wezwanie:

— Alto! Cataluña!

— Valiente! — krzyknął Jaime, pewny, że odpowiada właściwie.

Pif — paf!

Wartownik jednak nie trafił. I tak już było podczas tej wojny, że kiedy tylko ktoś mógł w kogoś nie trafić, to zawsze mu się to udawało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po około trzech tygodniach mojego pobytu na linii walki przybył do Alcubierre kontyngent złożony z dwudziestu lub trzydziestu żołnierzy przysłany z Anglii przez ILP. Aby nie rozpraszać Anglików na froncie, Williamsa i mnie odkomenderowano do ich szeregów. Nasze nowe stanowisko znajdowało się w odległości kilku mil na zachód od poprzedniego, w Monte Oscuro, nieopodal Saragossy.

Na ostrym wapiennym grzbiecie, niczym gniazda ptaków przybrzeżnych, ciągnęły się wydrążone poziomo w urwisku jamy. Zapuszczały się one w skałę niezwykle głęboko, ich wnętrza tonęły w mroku i nie sposób było tam nawet klęknąć, nie mówiąc już o staniu w pozycji wyprostowanej — to był nasz odcinek. Na lewo od niego, na wierzchołkach, znajdowały się jeszcze dwa stanowiska POUM, przy czym w kierunku jednego z nich płynęły westchnienia wszystkich mężczyzn w tej strefie, a to z powodu trzech kobiet zajmujących się tam gotowaniem. Mimo że nie były to piękności szczególnej klasy, okazało się jednak koniecznym ustanowienie zakazu wstępu w ten rejon dla żołnierzy z innych kompanii. Na prawo od nas, w odległości pięciuset metrów, rozłokował się przy zakręcie drogi wiodącej z Alcubierre posterunek PSUC. To tu właśnie droga zmieniała właściciela. Nocą można było obserwować zarówno światła lamp naszych ciężarówek dostawczych, wspinających się ser-

pentynami z Alcubierre, jak i światła faszystowskich samochodów jadących z Saragossy. W odległości dwunastu mil na południowy zachód wzrok napotykał na cienki sznur światła, podobny do rozjarzonych iluminatorów statku — to była Saragossa. W tym właśnie kierunku biegły spojrzenia oddziałów rządowych w sierpniu 1936; z tego samego miejsca spoglądają tam nadal.

Wliczając jednego Hiszpana (Ramon, szwagier Williama) było nas około trzydziestu, do tego jeszcze tuzin hiszpańskich żołnierzy obsługujących karabiny maszynowe. Z wyjątkiem paru łobuzów — co nieuniknione, bo wojna, jak wiadomo, przyciąga różnego rodzaju męty — Anglicy stanowili wyjątkowo dobraną grupę i to zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Najlepszym chyba z naszej paczki był Bob Smillie — wnuk słynnego przywódcy górników — zginął później okrutną i bezsensowną śmiercią w Walencji. Pozytywnie świadczy o hiszpańskim charakterze to, że mimo bariery językowej Hiszpanie pozostawali zawsze w dobrej komitywie z Anglikami. Jak odkryliśmy wszyscy Hiszpanie przyswoili sobie dwa angielskie wyrażenia: „O.K., baby” oraz zwrot używany przez barcelońskie prostytutki podczas kontaktów z angielskimi marynarzami, obawiam się jednak, że redaktorzy nie zechcą go wydrukować.

I znów brak wydarzeń wzdłuż linii frontu: jedynie sporadycznie poświsły kule; niekiedy huczał faszystowski mózdzierz i wówczas wszyscy biegli do najwyższego okopu, aby zobaczyć, na którym wzgórzu pocisk eksploduje. Przeciwnik rozlokował się tym razem nieco bliżej nas, w odległości około trzystu do czterystu metrów. Ich najbardziej wysunięte stanowisko było dokładnie naprzeciw naszego, a otwory strzelnicze znajdującego się tam gniazda karabinów maszynowych stanowiły ciągłą pokusę do marnowania amunicji. Faszyści rzadko niepokoiili nas strzałami z karabinów, lecz gdy tylko ktoś się zbyt wychylił, mógł niezawodnie liczyć na celną salwę z karabinu maszynowego. Niemniej dopiero po upływie dziesięciu lub nawet więcej dni mieliśmy pierwszego ranego. Oddziały po drugiej stronie składały się z Hiszpanów, ale z relacji dezerterskich wiadomo było, że jest wśród nich również kilku niemieckich podoficerów. Kiedyś w przeszłości byli tam też Maurowie — biedaczyska, nieźle musiało im dokuczać

zimno! — teraz na niczyjej ziemi leżał trup Maura stanowiąc jedną z miejscowych osobliwości. O milę lub dwie na lewo od nas, dochodząc do położonego poniżej, gęsto pokrytego lasem terenu, Unia frontowa urywała się; obszar ten nie przynależał do żadnej ze stron. W ciągu dnia wychodziły tam patrole wysyłane zarówno przez nas jak i przez faszystów. Chociaż nigdy nie widziałem faszystowskiego patrolu w odległości mniejszej niż kilkaset metrów, to jednak trudno by uznać te wyprawy za harcerską przygodę. Po długim czołganiu się na brzuchu można było się przedrzeć w niektórych miejscach przez faszystowskie linie i dostrzec nawet wiejski dom z powiewającą nad nim flagą monarchistów, mieściło się tam dowództwo ich odcinka. Zdarzało się, że oddawaliśmy strzały w tamtym kierunku, a następnie kryliśmy się zanim obsługa karabinów maszynowych zdążyła wziąć nas na cel. Podejrzewam, że rozbiliśmy kilka okien, lecz trudno o pewność, gdyż odległość wynosiła dobrze ponad osiemset metrów, a z używanych przez nas karabinów można było przy takim dystansie nie trafić nawet domu.

Pogoda była najczęściej bezchmurna, lecz panował ziąb; czasami w południe pokazywało się słońce, ale chłód nie ustępował. Gdzieś na zboczach wyzierały z ziemi zielone dziobki dzikich krokusów lub irysów; najwyraźniej nadchodziła wiosna, ale jakże wolno. Nocami temperatura spadała bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wychodząc po północy na wartę wygarnialiśmy tłący się popiół z paleniska kuchni polowej, by potem stać na rozżarzonych węglach. Chociaż nie było to bez szkody dla butów, to jednak stopom przynosiło ulgę. Bywały wszakże poranki, kiedy widok brzasku wśród gór wart był wstawania o najbardziej nawet „nieprzyzwoitej porze”. Nienawidzę gór, nie cierpię oglądania górskich widoków. Zdarzało się jednak, że budzący się w tyle za szczytami dzień, pierwsze wąskie pasemka złota tnące jak miecze mrok, a później wzbierająca światłość i ocean karminowego obłoku rozlewający się niepomiernie w przestrzeni, zasługiwał na oglądanie nawet wtedy, gdy cała noc minęła na służbie, nogi były zdrętwiałe od kolan w dół, a myśl o tym, że następny posiłek będzie dopiero na trzy godziny wprawiała w podły nastrój. Częściej obserwowałem świt podczas tej kampanii niż w ciągu całego mojego dotychczasowego życia — podejrzewam też, że nadchodzące lata nie

dostarczą mi już podobnych okazji.

Mieliśmy „trudności kadrowe”, co oznaczało dłuższe warty i większe znużenie. Brak snu powoli zaczął dawać się nam we znaki; nie da się tego uniknąć nawet podczas najłagodniejszej wojny. Poza służbą wartowniczą i patrolami mieliśmy ciągłe alarmy nocne i stany gotowości, a przy tym wszystkim trudno się jeszcze było dobrze wyspać we wstrętnej dziurze, gdzie nogi marzną aż do bólu. W ciągu pierwszych trzech lub czterech miesięcy pobytu na froncie nie naliczyłbym chyba więcej niż dwanaście dni i nocy zupełnie bez snu; z całą pewnością jednak nocy w pełni przespanych również nie było więcej niż tuzin. Dwadzieścia albo trzydzieści godzin snu na tydzień stało się zwykłą porcją. Rezultaty tego nie były tak złe, jak można by oczekiwać; co prawda rosło otępienie, wspinanie się na wzgórza i zejścia z nich stawało się coraz trudniejsze, zamiast na odwrót, ale mimo to samopoczucie było dobre; doskwierał tylko głód, ale — mój Boże jaki głód! Jedzenie mieliśmy w zasadzie dobre, nie wyłączając nawet podawanej aż do znudzenia fasoli, na widok której każdy w Hiszpanii doznaje wcześniej czy później uczucia nienawiści. Używana przez nas woda przybywała na grzbietach mułów lub udreńczonych osiołków z miejsca oddalonego o wiele kilometrów od nas. Z niewiadomych powodów aragońscy wieśniacy odnosili się do osłów ze wzdargą, gdy tymczasem z mułami obchodzili się przyzwoicie. Jeśli tylko osioł wzbraniał się przed dalszym pochodem, to było w zwyczaju kopać go w jądra. Wydawanie świec zostało wstrzymane, a zapalki kończyły się, Hiszpanie nauczyli nas, jak wyrabiać z puszek po skondensowanym mleku, z magazynku na naboje i z kawałka szmatki lampkę oliwną. Po napełnieniu oliwą z oliwek — a to nie zdarzało się często — i po zapaleniu urządzenie to świeciło kopącym, migotliwym płomykiem, słabszym o jedną czwartą od światła świecy, wystarczającym jedynie na odnalezienie karabinu.

Nie zanosilo się na żadne autentyczne walki. Opuszczając Monte Pocero przeliczyłem swoje naboje i jak się okazało, w ciągu trzech tygodni oddałem tylko trzy strzały w kierunku nieprzyjaciela. Powiada się, że trzeba wystrzelić tysiąc pocisków, nim któryś zabije człowieka — w tej sytuacji, aby zabić pierwszego faszystę,

musiałbym czekać dwadzieścia lat. Ponieważ w Monte Oscuro pozycje znajdowały się bliżej siebie, więc strzelało się częściej, jestem jednakże całkowicie pewien, że nie udało mi się nikogo trafić.

Prawdę mówiąc na tym froncie i w tym okresie wojny prawdziwą broń stanowiły nie karabiny, lecz megafony. Nie mogąc zastrzelić wroga, krzyczało się w jego kierunku. Ten sposób prowadzenia wojny jest tak niezwykły, że wymaga szerszego objaśnienia.

Gdzie tylko pozycje znajdowały się jedna od drugiej w zasięgu głosu, tam zawsze z okopu do okopu hojnie obdzielano się okrzykami. U nas wrzeszczano: *Fascistas-maricones*. Faszyci wołali: *ViVa España! Viva Franco!* — lub, gdy tylko zorientowali się, że naprzeciw mają Anglików, pokrzykiwali: *Go home, you English! English! We don't want foreigners here!* W oddziałach rządowych, w milicjach z poszczególnych partii, okrzyki propagandowe podkopujące morale wroga awansowały do rangi działań metodycznych. Gdy tylko jakieś stanowisko nadawało się do tego, wyznaczano żołnierzy — najczęściej z obsługi karabinów maszynowych — do „okrzykowych zadań” i dostarczano im megafony. Recytowali oni zazwyczaj pełne rewolucyjnych treści zestawy haseł, mające na celu wytłumaczenie faszystom, że są zwykłymi najemnikami międzynarodowego kapitalizmu, że podjęli walkę przeciwko swojej własnej klasie itp., oraz nakłaniano ich do przejścia na naszą stronę. Żołnierze powtarzali te slogany na zmianę i trwało to niejednokrotnie prawie przez całą noc. Nie można powiedzieć, by nasze działania nie dawały rezultatów; panowała zgoda co do tego, że napływający do nas faszyci ulegali w pewnej mierze tym namowom. Jeżeli do marznącego na wartowniczym posterunku biedaka, najpewniej wcielonego do wojska wbrew swojej woli członka socjalistycznych lub anarchistycznych związków zawodowych, dobiega bezustannie w ciemnościach hasło: „Nie podejmuj walki przeciw swojej klasie!”, to należy się spodziewać, że wywrze ono na nim wrażenie i być może nie pozostanie bez wpływu na jego decyzję o dezercji. Takie postępowanie kłóci się oczywiście z angielskimi poglądami na prowadzenie wojny. Przyznaję, że kiedy po raz pierwszy spotkałem się z tymi metodami byłem zdumiony i zgorzony. Zamiast strzelania do wroga usiłowanie nawrócenia go! Obecnie

uwązam, że bez względu na wszystko były to praktyki uzasadnione. W zwyczajnej wojnie pozycyjnej, szczególnie gdy brak artylerii, niezwykle trudno powodować straty w ludziach u przeciwnika bez ponoszenia ofiar w równej liczbie po swojej stronie. Jeżeli tylko uda się wyłączyć z walki pewną ilość żołnierzy przez namówienie ich do dezercji, to już bardzo wiele; większy wszak pożytek z dezertów niż z zabitych, bo ci ostatni nie dostarczą już żadnych informacji. Na początku czuliśmy jednak rozgoryczenie; odnosiło się wrażenie, że Hiszpanie nie traktują tej swojej wojny wystarczająco poważnie. Żołnierz, który na położonym poniżej, na prawo od nas, posterunku PSUC zajmował się skandowaniem, okazał się artystą w tej dziedzinie. Zamiast wykrzykiwania rewolucyjnych sloganów, niekiedy po prostu opowiadał faszystom o wyższości naszych posiłków nad tymi, które im podawano. Jego opowieści o "rządowych racjach żywnościowych zawierały domieszkę fantazji. „Chlebuś z masłem!" — niosło echo jego głos po pustej dolinie — „Właśnie sobie tutaj siedzimy przy chlebusiu! Przy pysznych kromkach chlebusia z masłem!". Podobnie, jak reszta naszych, nie miałem cienia wątpliwości, że masła nie oglądał od tygodni albo miesięcy, ale podczas zimnej nocy wiadomość o chlebie z masłem musiała zapewne napędzić niejednemu faszycie śliny do ust. Nawet ja łykałem ślinkę, chociaż wiedziałem, że kłamie.

Pewnego lutowego dnia dostrzegliśmy nadlatujący faszystowski samolot. Jak zwykle w takich przypadkach karabin maszynowy wyciągnięto na otwartą przestrzeń, wylot jego lufy skierowano ku niebu, a wszyscy leżeli na plecach, co ułatwiało celowanie. Szkoda było bomb na nasze leżące na uboczu stanowiska i nieliczne faszystowskie samoloty z reguły omijały nas łukiem, aby uniknąć ognia karabinów maszynowych. Tym razem samolot znalazł się dokładnie nad nami, na dużej wysokości, poza zasięgiem naszej broni. Zamiast bomb wysypały się z niego koziołkując połyskujące białą przedmioty, które zakosami opadały w powietrzu. Kilka z nich sfrunęło na nasze pozycje. Były to egzemplarze *Heraldo de Aragon*, faszystowskiej gazety, podające wiadomość o upadku Malagi.

Tej nocy faszyci przypuścili zakończony fiaskiem atak. Właśnie układałem się na pół żywy z braku snu na swoim legowisku,

kiedy potężna seria pocisków przeleciała nade mną i ktoś w wykopie wrzasnął: „Atakują!”. Chwyciłem karabin i podpełznąłem w pobliże cekaemu, do posterunku, który górował nad naszym odcinkiem. Nieprzeniknioną ciemność napełniał piekielny hałas. Chyba pięć karabinów maszynowych zionęło ogniem w naszym kierunku, a miotane przez faszystów, w zupełnie idiotyczny sposób, ponad własnymi fortyfikacjami, granaty powodowały następujące po sobie mocne detonacje. Poniżej, w leżącej na lewo od nas dolinie, gdzie mały faszystowski oddział — najpewniej patrol — włączył się do walki, dojrzałem zielonkawy błysk karabinów. Kule przeszywały mrok wokół nas, huk mieszał się ze świstem. Ponad naszymi głowami przeleciało z furkotem kilka pocisków artyleryjskich, ale runęły gdzieś w oddali i (jak to w tej wojnie bywało) większość z nich nie wybuchła. Poczuję się trochę nieswojo, kiedy na naszych tyłach, ze szczytu wzgórza otworzył ogień następny cekaem — wyjaśniło się później, że karabin ten ustawiono tam dla wsparcia naszych poczynąń, w owym czasie wyglądało jednak na to, że jesteśmy okrążeni. Niedługo potem nasz karabin maszynowy zaciął się. Zdarzało się tak zawsze wtedy, kiedy amunicja była podłej jakości. Na dodatek w gęstym mroku zagubił się gdzieś wycior. W zasadzie nie pozostało nam nic innego do zrobienia, jak tylko nie ruszać się ze swojego miejsca i czekać na swoją kulę. Hiszpańska obsługa karabinu maszynowego uważała krycie się przed ogniem nieprzyjaciela za czyn godny pogardy, rozmyślnie więc stali nie osłonięci od pocisków, a ja musiałem postąpić podobnie. Niby drobna sprawa, ale jakże interesujące doświadczenie. Szczerze mówiąc po raz pierwszy w życiu znalazłem się pod ostrzałem i ze wstydem wyznaję, że oświadczył mi paniczny lęk. Podczas gwałtownego ataku, jak sądzę, doznania są zawsze takie same: człowiek nie tyle obawia się czy go trafią, ile lęka się o to gdzie i gdzie go trafią. Jest nieustannie zaprzątnięty myślą o miejscu, w które ukąsi kula, a to powoduje przykrą nadwrażliwość całego ciała.

Po godzinie czy dwóch strzelanina osłabła, by w końcu zamilknąć. Tymczasem doliczyliśmy się tylko jednej ofiary. Faszyci weszli z kilkoma cekaemami na ziemię niczyją, lecz zatrzymali się w bezpiecznej odległości, nie podejmując prób szturmowania naszych fortyfikacji. Właściwie nie był to atak, raczej zwyczajne

marnowanie amunicji, radosne hałasowanie dla uczczenia upadku Malagi. Wydarzenie to stało się dla mnie nauczką, że relacje wojenne w prasie należy czytać z większą nieufnością. Dzień, a może dwa później gazety i radio podały wiadomość o zaciekłych atakach kawalerii i czołgów (po prostopadłych zboczach!), które zostały odparte przez bohaterskich Anglików.

Pochodzącą od faszystów wiadomość o upadku Malagi uznaliśmy za kłamstwo. Nazajutrz jednak zaczęły się rozchodzić bardziej przekonywujące pogłoski i nie minęły dwa dni, kiedy zostały one oficjalnie potwierdzone. Cała upokarzająca prawda stopniowo wyszła na jaw: wyjście z miasta bez jednego strzału, wściekłość włoskich żołnierzy, która spadła nie na oddziały, bo te opuściły miasto, lecz na nieszczęsną ludność cywilną, ściganą niekiedy kilometrami i ostrzeliwaną z karabinów maszynowych. Wiadomości te wniosły przynębenie w nasze szeregi. Bez względu na to, jak było naprawdę, każdy żołnierz milicji wierzył, że utrata Malagi nastąpiła w wyniku zdrady. Po raz pierwszy byłem świadkiem rozmów o zdradzie i rozbieżnych celach. Po raz pierwszy też zrodziła się we mnie bliżej nieokreślona wątpliwość na temat tej wojny, w której podział na kolor czarny i biały wydawał się, jak dotąd, tak cudownie przejrzysty.

W połowie lutego opuściliśmy Monte Oscuro. Wysłano nas razem z oddziałami POUM z tego sektora, dla zasilenia jednostki oblegającej Huesca. Pięćdziesięciomilowy odcinek drogi, pokonywanej ciężarówką, wiódł zimową wciąż doliną, wśród przyszyżonych winnic nieozdobionych jeszcze pączkami i pędów ozimego jęczmienia wyzierających ze zbrylonej gleby. W odległości czterech kilometrów od naszych nowych pozycji zajaśniały zabudowania: małe, schludne, niczym domki dla lalek — to było Huesca. Kiedy kilka miesięcy wcześniej zdobyto Sietamo, generał dowodzący rządowymi oddziałami radośnie oznajmił: „Jutro pijemy kawę w Huesca”. Jak się okazało pomylił się. Kosztujące wiele krwi ataki na miasto nie powiodły się i powiedzenie „Jutro pijemy kawę w Huesca” obiegło wszystkie oddziały jako, dobry dowcip. Jeżeli kiedykolwiek jeszcze powrócę do Hiszpanii, to z pewnością nie omieszkam napić się kawy w Huesca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Aż do końca marca po wschodniej stronie Huesca nie wydarzyło się nic, albo prawie nic. Od nieprzyjaciela dzielił nas ponad kilometrowy dystans. Ponieważ oddziały Armii Republikańskiej, walczące w tej części frontu, po odrzuceniu faszystów do Huesca, nie wykazały nadmiernej ochoty do postępowania naprzód, Unia frontowa uformowała się na kształt kieszeni. Ten stan rzeczy wymagał w przyszłości zmian — niełatwe to zadanie pod nieprzyjacielskim ogniem — a tymczasem przeciwnika mogło na dobrą sprawę w ogóle nie być; troszczyliśmy się jedynie o to, aby nie zmarznąć i aby otrzymać należyte wyżywienie. Prawdę powiedziawszy istniały wówczas sprawy, którym okazywałem duże zainteresowanie, i którym poświęcę osobne miejsce w dalszym ciągu tej książki. Na razie jednak, aby nie odejść nadto od biegu wypadków, spróbuję ukazać sytuację polityczną panującą w obozie rządowym.

Jeśli na początku nie zwracałem uwagi na polityczną stronę tej wojny, to w tym czasie trudno już było tego uniknąć. Polityczne wątki tej relacji są pomieszczone w osobnych rozdziałach tak, aby czytelnik niezainteresowany w szczegółach partyjnych rozgrywek mógł od razu przejść do innych części tekstu. Pisanie o walkach w Hiszpanii tylko z czysto wojskowego punktu widzenia jest niemożliwe. Była to przede wszystkim wojna polityczna. Wojna, w której, dla zrozumienia zachodzących wydarzeń — przynajmniej w

pierwszym roku jej trwania — należało wnikać w międzypartyjną walkę, toczącą się wśród ugrupowań rządowych za linią frontu.

Po moim przyjeździe do Hiszpanii, i w jakiś czas potem, nie tylko nie interesowałem się sytuacją polityczną, lecz wciąż jeszcze grzeszyłem nieświadomością w tej materii. Wiedziałem, że trwa wojna, ale nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co to za wojna. Na pytanie dlaczego wstąpiłem do milicji moja odpowiedź brzmiałaby: „Aby walczyć z faszyzmem”. Zapytany o co walczę odrzekłbym: „O zwykłą przyzwoitość”. Podawaną przez *News Chronicle* i *New Statesman* wersję, jakoby ta wojna była obroną postępu przed szaleńczymi sukcesami wojsk pułkownika Blimpsa pozostającego na żołdzie Hitlera, uznałem za prawdziwą. Uległem powabom rewolucyjnej atmosfery Barcelony i nie zadałem sobie trudu, aby cokolwiek z niej rozumieć. Mozaika partii politycznych i związków zawodowych — PSUC, POUM, FAI, CNT, UGT, JCI, JSU, AIT — wszystko to po prostu mnie drażniło. Na pierwszy rzut oka odnosiło się wrażenie, jak gdyby w Hiszpanii wybuchła epidemia polegająca na skracaniu nazw. Byłem świadomy tego, że oddziały, w których służę noszą nazwę POUM — przybyłem do Barcelony z dokumentami wystawionymi przez ILP i to był jedyny powód mojego wstąpienia do tej właśnie milicji — nie przychodziło mi wszakże do głowy, że istnieją bardzo poważne różnice między partiami politycznymi. Kiedy w Monte Pocero ktoś wskazywał na stanowiska na lewo od nas i mówił: „To są socjaliści” (czyli PSUC), zaskoczony pytałem: „A czy my wszyscy nie jesteśmy socjalistami?” Uważając za idiotyzm fakt, że ludzie walczący na śmierć i życie przynależeli do oddzielnych partii, nieustannie głosiłem następujący pogląd: „Czy nie można by pozbyć się tych wszystkich politycznych nonsensów i skupić się na prowadzeniu wojny?” To było rzecz jasna poprawne, „antyfaszystowskie” stanowisko skwapliwie rozpowszechniane przez angielską prasę, głównie po to, aby uniemożliwić ludziom dotarcie do istoty partyjnych zmagania. W Hiszpanii jednak, a szczególnie w Barcelonie, taka opinia nie mogła mieć długiego żywota. Każdy w końcu, aczkolwiek niechętnie, opowiadał się za jedną ze stron. Bieg wypadków tak czy inaczej pociągał ludzi za sobą i ignorancja w sprawach partii politycznych oraz podziałów między nimi przed niczym nie

chroniła. Rola żołnierzy milicji nie ograniczała się tylko do walki z Franco, byli oni równocześnie pionkami w potężnym starciu dwóch politycznych koncepcji. Kiedy zdobywałem drewno opałowe na zboczu i zastanawiałem się, czy ta wojna jest na serio, czy też wymyślili ją redaktorzy z *News Chronicle*; kiedy umykałem spod ognia karabinów maszynowych komunistów podczas rozruchów w Barcelonie; kiedy wreszcie uciekałem z Hiszpanii mając na karku policję — to działo się tak dlatego, że służyłem w milicji POUM, o nie w oddziałach PSUC. Jakże ogromna różnica dzieli te dwa skróty!

Dla zrozumienia układu sił po stronie rządowej, konieczne jest wrócenie pamięcią do początku wojny. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że wraz z wybuchem walk 18 lipca w sercach wszystkich ludzi o poglądach antyfaszystowskich zagościła iskierka nadziei. Tutaj bowiem, w Hiszpanii, dół „zło nareszcie do otwartego przeciwstawienia demokracji faszyzmowi. Lata mijały, a tzw. kraje demokratyczne krok po kroku ustępowały pola faszyzmowi. Japończycy poczynali sobie w Mandżurii bez żadnego skrupowania. Hitler doszedł do władzy i nie zawahał się dokonać pogromu przeciwników politycznych różnych odcieni. Mussoloni bombardował Abisyńczyków, a pięćdziesiąt trzy narody (o ile dobrze pamiętam, właśnie tyle) stać było jedynie na obłudne pokrzykiwania „Precz”. Lecz kiedy Franco podjął próbę obalenia umiarkowanego rządu lewicy, Hiszpanie, wbrew wszelkim oczekiwaniom, powstali przeciw niemu. Wydawało się to — i chyba tak było — naruszeniem porządku rzeczy.

Pozostawało jeszcze kilka spraw, które umknęły powszechnej uwadze. Przede wszystkim trudno było porównywać Franco z Hitlerem, czy Mussolinim. Jego pucz wojskowy, wspierany przez arystokrację i kościół, był w swym głównym nurcie, nie tyle próbą wprowadzenia faszyzmu, co miał na celu przywrócenie feudalizmu. Oznaczało to, że w gronie oponentów Franco znalazła się nie tylko klasa robotnicza, ale też różne odłamy liberalnej burżuazji, czyli te grupy społeczne, które udzielają poparcia faszyzmowi, kiedy pojawia on się w bardziej nowoczesnej formie. Ważniejszą jeszcze sprawą był fakt, że hiszpańska klasa robotnicza nie występowała przeciw Franco — jak wyobrażano sobie w Anglii — jedynie w imię

„demokracji” i utrzymania status quo; walce tej towarzyszył — o ile nie był nawet jej istotą — otwarty wybuch rewolucji. Ziemią zawładnęli chłopię; wiele fabryk i środków transportu znalazło się w rękach związków zawodowych; kościoły zostały zniszczone, a księży wypędzono lub wymordowano. Gazeta *Daily Mail*, nie szczędząc słów otuchy dla katolickiego kleru, posunęła się do kreowania Franco na patriotę, który ratuje kraj przed zalewem zesłanych przez szatana hord „czerwonych”.

W zasadzie głównym przeciwnikiem Franco w ciągu pierwszych kilku miesięcy wojny był nie rząd a związki zawodowe. Odpowiedzią zorganizowanych robotników miejskich na wybuch rewolucji było wezwanie do strajku generalnego, a następnie żądanie wydania broni z państwowych arsenałów (zdobyli ją w końcu w wyniku walki). Gdyby nie spontaniczny i częstokroć niezależny charakter ich działań, to Franco najprawdopodobniej w ogóle nie napotkałby na opór. Nie ma oczywiście co do tego pewności, istnieją jednak podstawy do takich przypuszczeń. Rząd nie uczynił nic, albo prawie nic, aby uprzedzić od dawna przewidywany wybuch powstania. Kiedy wszakże kłopoty się rozpoczęły, stanowisku kierownictwa państwa zabrakło twardości i konsekwencji; doszło do tego, że Hiszpania miała trzech premierów w ciągu jednego dnia. Ponadto jedyna decyzja mogąca pohamować bieg wypadków, czyli wydanie broni robotnikom, została powzięta niechętnie i dopiero po gwałtownych protestach ludności. Tak więc rozdano broń i w dużych miastach wschodniej Hiszpanii dzięki ogromnemu wysiłkowi przede wszystkim klasy robotniczej, wspieranej przez tę część sił zbrojnych, która pozostała lojalna (Gwardia Natarcia itp.), faszyci zostali pokonani. Do takiego wysiłku zdolni byli prawdopodobnie jedynie ludzie, którzy przystąpili do zmagania w imię rewolucyjnych celów — na przykład w imię przekonania, że walczą o coś więcej niż tylko o utrzymanie status *quo*. Jak się szacuje, w różnych ośrodkach rewolty poległo na ulicach trzy tysiące osób w ciągu jednego dnia. Mężczyźni i kobiety uzbrojeni wyłącznie w laski dynamitu przebiegali otwarte przestrzenie placów i szturmowali budynki obsadzone przez wyszkolonych żołnierzy z cekaemami. Rozpędzone do stu kilometrów na godzinę taksówki rozbijały rozlokowane w strategicznych punktach faszystowskie gniazda kara-

binów maszynowych. Zakładając nawet nieświadomość w sprawie przejmowania ziemi przez chłopów, tworzenia lokalnych rad itd., i tak trudno byłoby dać wiarę, że stanowiący trzon sił stawiających opór, anarchiści i socjaliści, dokonywali tego rodzaju czynów w celu utrzymania kapitalistycznej demokracji, która szczególnie przez anarchistów uważana była jedynie za scentralizowaną maszynkę da oszustw.

Tymczasem robotnicy mieli broń w swoich rękach i na tym etapie dalecy już byli od jej oddania. (Nawet rok później doliczono się u anarchosyndykalistów w Katalonii 30 000 karabinów.) Posiadłości nastawionych profaszystowsko wszelkich obszarników zostały w wielu miejscach przejęte przez chłopów. Wraz z uspołecznieniem przemysłu i transportu podjęto próbę utworzenia zrębów robotniczego rządu, zastąpienia dotychczasowych, prokapitalistycznych sił policyjnych robotniczymi patrolami, sformowania milicji robotniczych w oparciu o związki zawodowe itd. Rzecz jasna proces ten nie wszędzie przebiegał jednakowo, choć w Katalonii sprawy zaszły najdalej. Istniały wszakże takie obszary, na których miejscowe władze pozostały niezmienione oraz takie, gdzie władze te urzędowały równoległe do komitetów rewolucyjnych. W niektórych okolicach anarchiści utworzyli niezależne okręgi, które przetrwały około roku, to jest do czasu kiedy zostały zlikwidowane przez rząd przy użyciu siły Wydarzenia w Hiszpanii nie miały więc w istocie charakteru wojny domowej lecz stanowiły początek rewolucji. Ten właśnie fakt szczególnie starała się ukryć antyfaszystowska prasa wychodząca poza Hiszpanią. Całe zagadnienie sprowadzono do „walki faszyzmu z demokracją” przemilczając jak tylko się dało rewolucyjny charakter tych wydarzeń. W Anglii, gdzie prasa jest bardziej scentralizowana, a czytelników łatwiej wprowadzić w błąd niż gdziekolwiek indziej, stworzono jedynie dwie wersje hiszpańskiej wojny: prawicową, przedstawiając patriotycznych chrześcijan naprzeciw ociekających krwią bolszewików, i lewicową, zgodnie z którą dżentelmeńscy republikanie tłumią wojskowy bunt. Główny problem został skutecznie zatajony.

Powodów po temu było kilka. Przede wszystkim profaszystowska prasa rozpowszechniała wierutne kłamstwa o okrucieństwach „czerwonych”, a działający niewątpliwie w dobrej wierze propa-

gandziści, przekonani, że wyświadczą w ten sposób przysługę rządowi hiszpańskiemu, zaprzeczali jakoby Hiszpania „stała się czerwona”. Jednakże główna przyczyna była taka: oto wyjąwszy niewielkie rewolucyjne grupy istniejące we wszystkich krajach, cały świat zdecydowany był nie dopuścić do przemian w Hiszpanii. Szczególnie dotyczyło to partii komunistycznej, ze stojącym za nią Związkiem Radzieckim, która zmobilizowała wszystkie swoje siły przeciwko rewolucji. Komuniści głosili tezę, że rewolucja na tym etapie miałaby zgubne skutki, gdyż zamiast doprowadzić do władzy robotników, doprowadziłaby do burżuazyjnej demokracji. Nie trzeba chyba tłumaczyć, dlaczego w tej sytuacji „liberalne” kapitalistyczne opinie były utrzymane w tym samym tonie. Zaangażowanie obcego kapitału w Hiszpanii było znaczne. Na przykład Barcelońskie Towarzystwo Transportowe posiadało dziesięć milionów brytyjskich udziałów; a tymczasem związki zawodowe przejęły w Katalonii cały transport. Gdyby więc rewolucja postępowała, nie można by wówczas Uczyć na rekompensaty, albo byłyby one bardzo niewielkie; z drugiej strony zwycięstwo kapitalistycznej republiki gwarantowało bezpieczeństwo zagranicznych lokat. Z kolei stłumienie rewolucji spowodowałoby, że udawanie, iż w ogóle do niej nie doszło, stałoby się o wiele prostsze. Tym sposobem rzeczywiste znaczenie poszczególnych wydarzeń mogło zostać zatajone; każde przejęcie władzy przez rząd centralny z rąk związków zawodowych można było uznać jako niezbędne posunięcie w przeprowadzanej wojskowej reorganizacji. Przedstawiona sytuacja była nad wyraz osobowa. Tylko nieliczni poza Hiszpanią zorientowali się, że trwa rewolucja; w Hiszpanii natomiast nikt nie miał co do tego wątpliwości. Nawet kontrolowane przez komunistów i zaangażowane do pewnego stopnia w politykę antyrewolucyjną gazety PSUC pisały o „naszej wspaniałej rewolucji”, a tymczasem zagraniczna prasa komunistyczna trąbiła o braku jakichkolwiek oznak rewolucji; przejmowanie fabryk, zakładanie robotniczych komitetów itp. nie miało miejsca — lub też, dla odmiany, miało miejsce, ale „było pozbawione politycznego znaczenia”. Według *Daily Worker* (z 6 sierpnia 1936) ci, którzy utrzymywali, że celem walki Hiszpanów jest rewolucja społeczna, albo cokolwiek innego poza burżuazyjną demokracją, są „skończo-

nymi załganymi kanalami". Z drugiej strony Juan Lopez, członek regionalnego rządu w Walencji, oświadczył w lutym 1937 roku, że „Hiszpanie przelewają krew nie za demokratyczną Republikę i jej konstytucję, lecz za... rewolucję". Wychodziłoby więc na to, że przyszło nam wspierać swą walką skończone załgane kanale, wliczając w to członków rządu. Niektóre z zagranicznych antyfaszystowskich gazet posunęły się nawet do żalosnego kłamstwa informując, że kościoły atakowano jedynie wtedy, gdy faszyci czynili z nich punkty oporu. W rzeczywistości plądrowano je gdzie się tylko dało, a powód był oczywisty: bardzo dobrze zdawano sobie sprawę z tego, że są one częścią kapitalistycznej maszyny. W ciągu sześciu miesięcy mojego pobytu w Hiszpanii widziałem jedynie dwa niezniszczone kościoły, a mniej więcej do lipca 1937 roku nie zezwolono na ponowne otwarcie świątyń i odprawianie w nich nabożeństw, z wyjątkiem jednego czy dwóch kościołów w Madrycie.

Był to wszakże dopiero początek rewolucji, a nie jej finał. Nawet jeżeli robotnicy — szczególnie w Katalonii, a pewnie i gdzie indziej — mieli możliwość dokonania przewrotu i całkowitej zmiany rządu, to jednak nie uczynili tego. Nie mogli rzecz jasna tak postąpić w sytuacji, gdy Franco dobijał się do drzwi, a odłamy klas średnich były po ich stronie. Kraj znalazł się w stanie przejściowym, mógł podążyć w kierunku socjalizmu, ale też mógł na powrót stać się typową kapitalistyczną republiką. Chłopi byli już w posiadaniu większości ziemi i zapewne nie zwróciliby jej, gdyby Franco poniósł klęskę. Cały wielki przemysł został uspołeczniony. Jednakże, to czy zachowano by nadal tę formę własności, czy też doszłoby do przywrócenia kapitalizmu miało w ostatecznym rachunku zależeć od tego, która z grup przejmie władzę. Można śmiało stwierdzić, że w początkowym okresie reprezentantem klasy robotniczej był zarówno rząd centralny, jak i Generaiite de Cataiuña (regionalny rząd kataloński posiadający częściową autonomię). Na czele rządu stał Caballero, socjalista z lewego skrzydła, a ministrowie wywodzili się z UGT (socjalistyczne związki zawodowe) oraz z CNT (związki syndykalistów, nad którymi kontrolę sprawowali anarchiści). Kataloński Generaiite został na pewien czas usunięty ze sceny przez

Antyfaszystowski Komitet Obrony skupiający głównie delegatów ze związków zawodowych. Później Komitet Obrony rozwiązano i ponownie utworzono *Generalite*, jako przedstawicielstwo związków i różnych partii lewicowych. Każde jednak następne przetasowanie w rządzie powodowało, że jego linia polityczna przesuwiała się na prawo. Najpierw z *Generalite* wykluczono POUM; sześć miesięcy później Caballero został zastąpiony przez Negrina socjalistę z prawego skrzydła; wkrótce potem usunięto z rządu CNT; następnie UGT; w dalszej kolejności CNT wyrzucono z *Generalite*; w rezultacie w rok po wybuchu wojny i rewolucji ostał się rząd złożony w całości z prawicowych socjalistów, liberałów i komunistów.

Pełny zwrot w prawo nastąpił mniej więcej około października — listopada 1936 roku, kiedy to rozpoczęły się radzieckie dostawy broni dla rządu, a władza stopniowo przechodziła z rąk anarchistów w ręce komunistów. Żaden kraj, z wyjątkiem ZSRR i Meksyku, nie okazał się na tyle dobroduszny, żeby przyjść z pomocą rządowi, a tymczasem Meksyk nie mógł z oczywistych względów dostarczać uzbrojenia w dużych ilościach. Nie dziwi przeto fakt, że Rosjanie mieli możliwość dyktowania warunków. Nie ma w zasadzie wątpliwości co do tego, że musiały się one w istocie sprowadzać do następującego ultimatum: „Albo udaremnicie rewolucję, albo nie damy broni”. Nietrudno także domyślić się, że pierwsze kroki przeciwko żywiłowi rewolucyjnemu oraz wydalenie POUM z katalońskiego *Generalite* odbyły się na rozkaz z ZSRR. Zaprzeczenia, jakie pojawiły się na temat bezpośrednich nacisków wywieranych przez rząd rosyjski nie są tu jednak najważniejsze; wiadomo bowiem, że polityka partii komunistycznych we wszystkich krajach jest w istocie polityką ZSRR. Nie doczekał się wszakże zdementowania fakt, że głównym inicjatorem działań przeciwko POUM, później przeciwko anarchistom oraz socjalistycznej frakcji Caballero i w ogóle przeciwko polityce rewolucyjnej była partia komunistyczna. Wmieszanie się Rosjan wystarczyło, aby zapewnić sukces tej partii. Przede wszystkim wzrósł niepomiernie jej prestiż, a stało się tak z powodu wdzięczności, jaką żywiono wobec Związku Radzieckiego za broń, a także dlatego, że wydawało się, iż partia komunistyczna, szczególnie po przybyciu Brygad Międzynarodowych, będzie w stanie odnieść w tej wojnie zwycięstwo. Po

wtóre rosyjska broń napływała do komunistów oraz do partii z nimi sprzymierzonych i odbiorcy ci dbali o to, aby możliwie jak najmniejsza jej ilość przedostała się w ręce ich politycznych przeciwników. Po trzecie wreszcie, ogłoszenie polityki braku zainteresowania rewolucją pozwoliło komunistom skupić wokół siebie tych wszystkich, którzy obawiali się ekstremistów. Na przykład, nie trudno było zorganizować bogatsze chłopstwo przeciw prowadzonej przez anarchistów polityce kolektywizacji. Szeregi partii powiększyły się ogromnie, a nowi członkowie rekrutowali się głównie z klas średnich — sklepikarze, urzędnicy, oficerowie wojska, dobrze sytuowani chłopcy itd. Wojna ta była w istocie walką na trzy fronty. Trzeba było prowadzić zmagania z Franco, lecz równocześnie celem rządu było odzyskanie utraconej na rzecz związków zawodowych części władzy. Zamierzenia te urzeczywistniono za pomocą polityki małych kroków — czy polityki klucza szpilką, jak ktoś to ujął — i przyznać trzeba, że na ogół poradzono sobie bardzo sprytnie. Obyło się bez poważnych i rzucających się w oczy kontrrewolucyjnych przedsięwzięć i aż do maja 1937 roku użycie siły było w zasadzie zbędne. Zawsze można było przywołać robotników do porządku posługując się argumentem, który nieomal sam się narzucał; „Jeżeli nie zrobicie tego albo tamtego, to przegramy wojnę”. Za każdym razem okazywało się, rzecz jasna, że wykonanie zadań dyktowanych wojskową koniecznością wymagało odstąpienia od zdobyczy wywalczonych w 1936 roku. Argument ten był wszak prawie nie do podważenia, żadna bowiem z rewolucyjnych partii nie pragnęła przegrania wojny; porażka oznaczała przecież, że słowa takie jak demokracja i rewolucja, socjalizm i anarchizm utraciłyby swoje znaczenie. Anarchiści, jedyna z rewolucyjnych partii, z którą liczone się ze względu na jej wielkość, zmuszeni byli ustępować krok po kroku, | Proces kolektywizacji został zahamowany, pozbyto się lokalnych komitetów, robotnicze patrole zostały rozwiązane, przywrócono natomiast poważnie wzmocnioną, uzbrojoną po zęby przedwojenną policję; kontrolowanym przez związki zawodowe przemysłem zawładnął rząd (przejęcie barcelońskiej centrali telefonicznej, które doprowadziło w maju do walk, było jednym z elementów tej polityki). I wreszcie sprawa najważniejsza — oparte na związkach zawodowych milicje robotnicze stopniowo

„okrawano" i włączano w szeregi Armii Republikańskiej, formowanej na nowo na półburżuazyjnych zasadach „apolitycznego" wojska, w którym zróżnicowano żołd, powołano uprzywilejowaną oficerską kastę itd. Pod wieloma względami był to wyjątkowo podstępny krok; jego skutki ujawniły się w Katalonii później niż gdzie indziej, ale też rewolucyjne partie były tam najmocniejsze. Kontrolowanie części sił zbrojnych pozostawało rzeczą jasną dla robotników jedyną gwarancją utrzymania zdobyczy. Nadwątlanie sił milicji odbywało się zwykle w imię zadośćuczynienia potrzebom wojskowym, tym bardziej, że nikt nie negował konieczności całkowitej reorganizacji armii.; Oczywiście, zreformowanie milicji i poprawa jej wyszkolenia bez pozbawienia związków zawodowych bezpośredniej kontroli nad nimi nie przedstawiałoby zasadniczych trudności; główny cel tej zmiany był inny: anarchiści mieli utracić swoje wojsko.; Ponadto, opanowane duchem demokracji milicje stały się wylęgarnią rewolucyjnych idei. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę komuniści i nieustannie, z zawziętością występowali przeciw zasadzie wypłacania jednakowego żołdu bez względu na stopień wojskowy. Następowła „burżuazyfikacja" i rozmyślne przeciwdziałanie egalitarnym nastrojom, towarzyszącym pierwszym kilku miesiącom rewolucji. Nurt wydarzeń był tak wartki, że osoby odwiedzające ponownie Hiszpanię po kilku miesiącach przerwy zadawały sobie pytanie, czy aby przyjechały do tego samego kraju. To co na pierwszy rzut oka i na krótką chwilę zdawało się robotniczym państwem, zmieniało się w oczach w najzwyczajszą burżuazyjną republikę, z typowym dla tej formy rządów podziałem na bogatych i biednych. „Zapewniamy poszanowanie własności prywatnej" głosił w jesieni 1937 roku w publicznych wystąpieniach „socjalista" Negrin, a członkowie Korteżów, zmuszeni na początku wojny do ucieczki z kraju, z powodu podejrzeń o profaszystowskie sympatie, wracali do Hiszpanii.

Cały proces staje się bardziej zrozumiały, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że jego źródła tkwią w doraźności sojuszu robotników i burżuazji. Ten w pewnej mierze wymuszany przez faszyzm sojusz, znany pod nazwą Frontu Ludowego, jest w istocie sprzymierzeniem wrogów i w rezultacie musi najprawdopodobniej doprowadzić do połknięcia jednego partnera przez drugiego. Jedyną osobliwością sytuacji w Hiszpanii — powodującą mnóstwo nieporozumień poza

jej granicami — pozostaje fakt, że pozycja komunistów wśród partii po rządowej stronie znajduje się nie na skrajnej lewicy, ale na skrajnej prawicy. W rzeczywistości nie powinno to być zaskoczeniem, bowiem taktyka partii komunistycznej w dowolnym kraju, a we Francji w szczególności, dowodzi niezbicie, że (przynajmniej w chwili obecnej) oficjalny komunizm należy traktować jako siłę antyrewolucyjną. Cała polityka Kominternu podporządkowana jest teraz obronie ZSRR (co staje się jasne, jeśli uwzględni się sytuację na świecie) wspierającego się systemem wojskowych sojuszy. Chodzi tu zwłaszcza o sojusz z kapitalistyczno-imperialistycznym krajem, jakim jest Francja. Jeśli francuski kapitalizm nie będzie silny, wówczas wartość tego przymierza dla Związku Radzieckiego okaże się znikoma, stąd też komuniści we Francji muszą prowadzić politykę antyrewolucyjną. Ich obecne marsze z trójkolorową flagą i śpiewanie Marsylianki nie są bynajmniej jedynym przejawem tej polityki, przede wszystkim zostali oni zmuszeni do całkowitego zaprzestania z sukcesem uprawianej agitacji we francuskich koloniach. Nie minęły trzy lata od czasu, kiedy sekretarz Francuskiej Partii Komunistycznej Thores oświadczył, że francuscy robotnicy w żadnym razie nie dadzą się zwieść i nie przystąpią do walki przeciw niemieckim towarzyszom⁴; obecnie jest on jednym z najbardziej krzykliwych patriotów we Francji. Kluczem do zrozumienia postępowania partii komunistycznej w dowolnym kraju są faktyczne lub potencjalne stosunki wojskowe tego kraju ze Związkiem Radzieckim. Na przykład w Anglii sytuacja w tym przedmiocie jest ciągle niejasna, przeto Brytyjska Partia Komunistyczna nadal przejawia wrogość wobec rządu i rzekomo przeciwstawia się zbrojeniom. Jeśli jednak założymy, że Wielka Brytania przystąpi do sojuszu z ZSRR, lub zawrze z tym krajem porozumienie wojskowe, to wówczas komuniści angielscy zmuszeni będą stać się dobrymi patriotami i imperialistami; pierwsze tego oznaki już występują. Bez wątpienia wpływ na kształtowanie się „linii” komunistów w Hiszpanii miał fakt, że sojuszniczka Rosji — Francja, przeciwstawiała się stanowczo rewolucyjnemu sąsiadowi i poruszyłaby niebo i ziemię byle tylko nie doszło do oswobodzenia hiszpańskiego Maroka. *Daily Mail* publikując swoje bajeczki o czerwonej rewolucji finansowej przez Moskwę, był jeszcze dalszy od

prawdy niż zwykle. W rzeczywistości komuniści bardziej niż ktokolwiek inny starali się przeszkodzić rewolucji w Hiszpanii. Kiedy później prawica osiągnęła pełnię władzy, komuniści wykazali się o wiele większą gorliwością w ściganiu rewolucyjnych przywódców niż liberałowie.

Podjąłem próbę naszkicowania głównego nurtu hiszpańskiej rewolucji w pierwszym roku jej trwania, aby w dowolnym momencie łatwiej było zrozumieć bieg wypadków. Nie chciałbym tym samym sugerować, że wszystkie przedstawione powyżej opinie podzielałem już w lutym. Przede wszystkim nie zaszły jeszcze wydarzenia, które najszerzej otworzyły mi oczy, a moje sympatie zwracały się nieco w innym kierunku niż teraz. Działo się tak po części dlatego, że polityczna strona wojny nudziła mnie, a poglądy jakie najczęściej wokół mnie głoszone, stawały się moimi poglądami — na przykład punkt widzenia POUM — ILP. Znajdowałem się wśród Anglików, którzy należeli głównie do ILP, choć było też między nami kilku członków partii komunistycznej i większość z tych ludzi była o wiele lepiej uświadomiona politycznie niż ja. Przez kilka tygodni z rzędu, podczas nieciekawego okresu, gdy wokół Huesca nie zachodziły żadne ważne wypadki, wrzało od dyskusji, którym nie było końca. Na naszej kwaterze, w cuchnącej, podszytej wiatrem chłopskiej stodole, w dusznym mroku wykopów, podczas chłodnych nocy za wałem fortyfikacyjnym, ciągnęło się w nieskończoność roztrząsanie przeciwstawnych „kursów” partii. Hiszpanom też nie inaczej upływał czas. Ponadto dla większości gazet, jakie wpadały nam w ręce, głównym tematem stawały się międzypartyjne waśnie. A tylko głuchy, albo dureń nie zorientowałby się, o co walczą różne partie.

Teoretycznie rzecz ujmując Uczyły się tylko trzy partie: PSUC, POUM i CNT-FAI — zwana potocznie anarchistyczną. PSUC wymieniam na pierwszym miejscu, gdyż była najważniejszą z nich; ona też odniosła w ostateczności zwycięstwo, a nawet wówczas miała widoczną przewagę.

Należy wyjaśnić, że kiedy mowa o „kursie” PSUC, w rzeczywistości chodzi o „kurs” partii komunistycznej. PSUC (Partido Socialista Unificado de Catalunya) Katalońska Zjednoczona Partia Socjalistyczna utworzona na początku wojny w wyniku połączenia się różnych ugrupowań marksistowskich, w tym również

Katalońskiej Partii Komunistycznej, przeszła jednakże pod całkowitą kontrolę komunistów i stała się członkiem Trzeciej Międzynarodówki. Trzeba zaznaczyć, że nigdzie w Hiszpanii nie doszło do formalnego zjednoczenia się socjalistów i komunistów, choć zarówno prawica socjalistyczna jak i komuniści głosili wszędzie jednakowe poglądy. Ogólnie rzecz biorąc PSUC była politycznym ramieniem UGT (Union General de Trabajadores), socjalistycznych związków zawodowych, zrzeszających teraz w całej Hiszpanii około półtora miliona członków. Związki te posiadały wiele oddziałów skupiających pracowników fizycznych, jednak w chwili wybuchu wojny masowo napłynęli do nich przedstawiciele klas średnich. W pierwszych „rewolucyjnych” dniach ludzie różnego pokroju uznali, że wstąpienie do UGT, albo do CNT może im przynieść korzyści. Doszło do połączenia dwóch bloków związkowych, z których jeden, CNT, bardziej zasługiwał na miano robotniczej organizacji. Była więc PSUC częściowo partią robotników, a częściowo drobnej burżuazji — sklepikarzy, urzędników i bogatszego chłopstwa.

„Kurs” PSUC, kolportowany przez komunistyczną i prokomunistyczną prasę na całym świecie, sprowadzał się mniej więcej do następujących tez:

„W obecnej chwili zwycięstwo w wojnie jest sprawą najważniejszą; bez tego zwycięstwa wszystko inne traci sens. Dlatego też, czas jest nieodpowiedni na rozmowy o wzniesieniu rewolucji. Nie stać nas na to, aby z powodu przymusowej kolektywizacji zrazić sobie chłopów, nie stać nas również na, wywoływanie popłochu wśród klas średnich, które walczą po naszej stronie. Niczego nie osiągniemy dopóki nie pozbedziemy się rewolucyjnego bałaganu. Potrzebny jest silny centralny rząd zamiast lokalnych komitetów i dobrze wyszkolone, w pełni uzbrojone wojsko pod zjednoczonym dowództwem. Kurczowe trzymanie się częściowej władzy robotniczej i paplanie rewolucyjnych haseł jest najgorszą z dróg; to nie tylko obstrukcja, to nawet kontrewolucja, prowadzi bowiem do podziałów, z których mogą skorzystać faszyci. Ktokolwiek usiłuje przekształcić wojnę domową w rewolucję społeczną, ułatwia zadanie faszystom, a więc jest w rezultacie zdrajcą, choćby nawet nie działał rozmyślnie.”

Linia POUM różniła się od tych poglądów we wszystkich punktach, oczywiście poza uznawaniem zwycięstwa w wojnie za sprawę najważniejszą. POUM była jedną z tych dysydenckich partii komunistycznych, które w ostatnich kilku latach pojawiły się w wielu krajach w wyniku sprzeciwu wobec stalinizmu, czyli wobec zasadniczych zmian w polityce komunistów. Jej członkowie rekrutowali się częściowo spośród byłych komunistów, a częściowo z szeregów powstałego wcześniej Bloku Robotniczo-Chłopskiego. Pomimo tego, że liczebnie była małą partią, bez większych wpływów poza Katalonią, to jednak odgrywała dużą rolę ze względu na niezwykle wysoki w jej strukturach udział ludzi politycznie świadomych. Kwatera główna POUM w Katalonii znajdowała się w Leridzie. Żołnierze mihcji POUM byli w większości zrzeszeni w CNT, lecz rzeczywiście członkowie partii należeli przeważnie do CGT. O wpływach tej partii możemy wszakże mówić jedynie w odniesieniu do CNT. Linia POUM przedstawiała się w przybliżeniu! następująco:

„Nie ma sensu przeciwstawiać faszyzmowi burżuazyjnej «demokracji». Burżuazyjna «demokracja» i faszyzm to tylko inne nazwy kapitalizmu; walka przeciwko faszyzmowi w imię «demokracji» oznacza walkę przeciwko jednej formie kapitalizmu w imię drugiej, a tymczasem przekształcenie się jednej formy w drugą może nastąpić w każdej chwili. Jediną prawdziwą alternatywą wobec faszyzmu jest władza robotników. Przyjęcie jakiegokolwiek pomniejszego celu niż ten, doprowadzi albo do zwycięstwa Franco albo, w najlepszym razie, do wpuszczenia faszyzmu tylnymi drzwiami. Tymczasem robotnikom nie wolno odstępować ani skrawka ze swoich zdobyczy; jeżeli zrezygnują z czegokolwiek na rzecz półburżuazyjnego rządu, mogą być pewni, że zostaną oszukani. Robotnicze milicje oraz policja powinny działać na dotychczasowych zasadach i należy przeciwstawić się każdemu krokowi w kierunku ich «uburżuazyjnienia». Jeżeli robotnicy nie będą kontrolować sił zbrojnych, to siły zbrojne przejmą kontrolę nad nimi. Wojna i rewolucja są nierozłączne.»

Stanowisko anarchistów jest trudniejsze do zdefiniowania.

W każdym razie nieściśłego określenia „anarchiści” używa się wobec dużej ilości ludzi o bardzo różnorodnych poglądach. Politycznym ramieniem ogromnego bloku związkowego, w którego skład wchodziła CNT (Confederacion Nacional de Trabajadores) z około dwoma milionami członków, była w FAI (Federacion Anarquista Iberica) — rzeczywista organizacja anarchistów. Nawet jednak członkowie FAI niekoniecznie byli anarchistami, w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć — jak chyba większość Hiszpanów — przesiąkli na wskroś filozofią anarchistyczną. Szczególnie początek wojny przyniósł ich większe zbliżenie do typowego socjalizmu. Zmuszeni okolicznościami obejmowali stanowiska w centralnych urzędach, a nawet odstawiając na bok pryncypia, wchodziłi w skład rządu. Różnili się jednak od komunistów zasadniczo, gdyż, podobnie jak POUM, dążyli nie do ustanowienia demokracji burżuazyjnej, lecz władzy robotników. Zgadzałi się z hasłem POUM: „Wojna i rewolucja są nierozłączne”, choć, trzeba stwierdzić, nie byli w tej kwestii aż tak dogmatyczni. Ogólnie rzecz biorąc była CNT-FAI zwolenniczką: (1) bezpośredniego kontrolowania przemysłu przez robotników zatrudnionych w poszczególnych jego gałęziach, np. w transporcie, w fabrykach włókienniczych itd; (2) rządzenia przy pomocy lokalnych komitetów oraz sprzeciwu wobec wszelkich przejawów scentralizowanego autorytaryzmu; (3) bezkompromisowego zwalczania burżuazji i Kościoła. Ten ostatni punkt, aczkolwiek najmniej precyzyjny, był jednak najważniejszy. Mimo, że ideologia anarchistów była raczej niejasno określona, łączyła ich autentyczna nienawiść do przywilejów oraz niesprawiedliwości i w związku z tym, stanowili przeciwieństwo większości tak zwanych rewolucjonistów. Z doktrynalnego punktu widzenia — komunizm i anarchizm znajdują się na przeciwległych biegunach. Jeśli chodzi o wizję przyszłego społeczeństwa, podstawowa sprzeczność między nimi sprowadza się głównie do rozłożenia akcentów, jednakże jest ona zgoła nie do pogodzenia. O ile komuniści zawsze kładą nacisk na centralizm i skuteczność, o tyle anarchiści za rzecz najważniejszą uważają wolność i równość. Głębokie zakorzenienie anarchizmu w Hiszpanii spowoduje najpewniej, że przetrwa on komunizm, gdy tylko ustaną rosyjskie wpływy, Anarchiści właśnie, w większym niż inni stopniu, zapobiegli porażce w pierwszych dwóch miesiącach

wojny, a członkowie ich milicji jeszcze długo potem, mimo niezdiscyplinowania, uchodzili wśród czysto hiszpańskich sił zbrojnych za bezsprzecznie najlepszych żołnierzy.. Mniej więcej od lutego 1937 roku istniała możliwość częściowego zjednoczenia się anarchistów i POUM w jedną organizację. Gdyby anarchiści, POUM oraz lewe skrzydło socjalistów uświadomili sobie na samym początku konieczność podjęcia takiej decyzji i prowadzili realistyczną politykę, to być może wydarzenia w tej wojnie potoczyłyby się inaczej. Lecz wówczas, u zarania działań wojennych, kiedy partie rewolucyjne zdawały się być pewne swojego zwycięstwa, było to niemożliwe. Na przeszkodzie stanęły dawne uprzedzenia. Z jednej strony, marksistowska POUM kwestionowała anarchizm, z drugiej zaś, z czysto anarchistycznego punktu widzenia, „trockizm” POUM nie był wiele lepszy od „stalinizmu” komunistów. Niemniej taktyka komunistów popychała te dwie partie ku sobie. POUM przystępując po stronie CTN do majowych walk w Barcelonie kierowała się przede wszystkim instynktem, a kiedy później doszło do zgniecenia POUM, jedynie anarchiści ośmielili się ująć za tą partią.

Taki był oto, z grubsza rzecz biorąc, układ sił. O władzę robotników walczyły CNT-FAI, POUM i część socjalistów, o scentralizowane zarządzanie zaś i o uzbrojoną armię: prawica socjalistyczna, liberałowie i komuniści.

Nietrudno zatem zorientować się, jakie przyczyny wówczas sprawiły, że bardziej odpowiadała mi polityka komunistów niż POUM. Program komunistów, precyzyjny i realistyczny, bardziej przemawiał do opinii publicznej, która widzi sprawy w perspektywie jedynie kilku miesięcy. Tymczasem na codzień, polityka anarchistów, ich propaganda i inne działania były niżej wszelkiej krytyki; w przeciwnym razie udałoby się im przyciągnąć do siebie niepomiernie więcej zwolenników. Wszelako rzecz całą przesądził fakt, że komuniści — tak mi się wydaje — wykazywali aktywność w tej wojnie, natomiast my i anarchiści staliśmy w miejscu. Takie panowało wówczas powszechne przeświadczenie. Komuniści sięgnęli po władzę, a ich szeregi wzbogaciły się o szerokie rzesze nowych członków zarówno dzięki zjednaniu sobie klas średnich przeciw rewolucjonistom, jak i dlatego, że wydawali się jedynym ugrupowaniem zdolnym do wygrania wojny. Rosyjska broń i znakomita

obrona Madrytu przez oddziały dowodzone w większości przez komunistów uczyniły ich w Hiszpanii bohaterami. Każdy rosyjski samolot — jak ktoś powiedział — który przeleciał nad naszymi głowami, to była propaganda na rzecz komunistów. Aczkolwiek dostrzegałem logikę w rewolucyjnym puryzmie anarchistów, miałem jednak wrażenie, że niewiele było z niego korzyści. Liczyło się przede wszystkim zwycięstwo w wojnie.

Tymczasem na łamach gazet, na stronicach broszur, na plakatach, w książkach i kto wie gdzie jeszcze, rozgorzała piekielna walka między partiami. Najczęściej wpadały mi wówczas w ręce gazety *La Bataija* i *Adelante*, wydawane przez POUM, w których ustawiczne strofowania PSUC za „kontrewolucyjną” postawę nudziły mnie. Uważałem je za zarozumiałstwo. Kiedy jednak później przyjrzałem się dokładniej prasie komunistów i PSUC, zorientowałem się, że wydawnictwa POUM stanowią niemal wzór wszelkich cnót w porównaniu ze swoimi oponentami. Trzeba wszakże przyznać, iż poza innymi względami, partia ta miała o wiele skromniejsze możliwości niż pozostałe. W odróżnieniu od komunistów nie posiadała ona żadnego oparcia w gazetach wychodzących poza krajem, a w samej Hiszpanii okoliczności były również dla niej wielce niesprzyjające, gdyż cenzura prasowa znajdowała się w rękach komunistów, co oznaczało, że w przypadku nieprawomyślnych publikacji, pisma POUM mogły zostać zamknięte albo ukarane grzywną. Mimo, że członkowie POUM ciągle wygłaszali kazania o rewolucji i cytowali Lenina ad *nauseam*, to jednak należy im poczytywać za zaletę, iż z reguły nie wdawali się w personalne rozgrywki, a prowadzone spory przenosili przede wszystkim na łamy gazet. Wydawane przez nich duże kolorowe plakaty, adresowane do szerokich rzesz obywateli (w związku z dużą ilością analfabetów w Hiszpanii, plakaty odgrywają tam ważną rolę), nie były skierowane przeciw rywalizującym z nimi partiom, lecz prezentowały po prostu antyfaszystowskie treści, lub szeroko pojętą tematykę rewolucyjną. Znalazły się na nich na przykład pieśni śpiewane przez żołnierzy milicji. Osobny problem stanowiły ataki przeprowadzane przez komunistów. Zajmę się tym w dalszej części książki. Na razie przedstawię jedynie pokrótce główny kierunek natarcia.

Na pierwszy rzut oka przedmiotem konfliktu pomiędzy komu-

nistami a POUM była taktyka. POUM opowiadała się za rychłym wzniesieniem rewolucji, gdy tymczasem komuniści byli odmiennego zdania. Taka różnica poglądów była rzeczą naturalną, tym bardziej, że obydwie strony dysponowały wieloma argumentami na poparcie swoich racji. Dodatkowo, komuniści utrzymywali, że propaganda POUM prowadzi do podziałów i osłabia siły rządowe, a więc zagraża zwycięstwu w wojnie. Chociaż nie podzielałem tej opinii, to również i ona mogłaby być podbudowana argumentami. W tym wszakże miejscu ujawniła się przewrotność taktyki komunistów. Najpierw ostrożnie, badając teren, później coraz głośniej, rozpoczęli oni kampanię mającą dowieść, że rozbijanie sił rządowych nie było wynikiem mylnych ocen POUM, lecz rozmyślnym działaniem. Okrzyknięto POUM ni mniej ni więcej tylko bandą zamaskowanych faszystów na żołdzie Franco i Hitlera, która forsuje pseudorewolucyjną politykę, by przysłużyć się w ten sposób faszystowskim planom. Okazała się ta partia organizacją „trockistowską” i „piątą kolumną Franco”. Wnioski stąd płynęły następujące: zarówno dziesiątki tysięcy robotników — wliczając osiem lub dziesięć tysięcy marznących w okopach na linii frontu żołnierzy — jak i setki przybyszów z zagranicy, którzy nierzadko poświęcając swoje zarobki i narażając się na utratę obywatelstwa przyjechali do Hiszpanii, wszyscy oni byli zwykłymi zdrajcami opłacanymi przez wroga. Wersję tę rozpowszechniono przy użyciu plakatów, wzdłuż i wszerz Hiszpanii; powielały ją także w nieskończoność komunistyczne i prokomunistyczne gazety na całym świecie. Gdybym zapragnął zebrać same cytaty, to wystarczyłoby ich na pół tuzina książek.

Takich oto doczekaliśmy się określeń: trockiści, faszyści, zdrajcy, zbrodniarze, tchórze, szpiedzy i co tam jeszcze. Nie było to miłe, przyznaję, szczególnie gdy się myślało o tych, którzy tę kampanię rozpętali. Nieprzyjemne uczucia rodzą się w człowieku, kiedy widzi hiszpańskiego chłopca, o półprzutomnej bladej twarzy wyzierającej spod koca, transportowanego z linii frontu na noszach, a równocześnie oczyma wyobraźni patrzy się w kierunku demagogów w Londynie i Paryżu skrobiących swoje paszkwile mające udowodnić, że chłopak ten jest zamaskowanym faszystą. Cała wojenna propaganda, wszystkie te pokrzykiwania, kłamstwa, wyrazy

nienawiści, uprawiana każdorazowo przez ludzi, którzy nie wążają prochu, jest jedną z najokropniejszych cech wojny. Żaden z żołnierzy PSUC poznanych przeze mnie na froncie, żaden z komunistów z Brygady Międzynarodowej, których zdarzało mi się spotykać, nigdy nie nazwał mnie ani trockistą ani zdrajcą: takimi sprawami zajmowali się dziennikarze na tyłach. Pisząc na nas paszkwile i szkalując nas w gazetach siedzieli bezpiecznie w domach, albo w najgorszym razie w pokojach redakcyjnych w Walencji, oddaleni o setki kilometrów od kul i błota. Całą propagandową sieczkę na wojnie — demagogię, szumne frazesy, oczernianie wroga — z wyjątkiem napaści w międzypartyjnych porachunkach — produkowali jak zwykle ludzie trzymający się z dala od pól bitewnych, ludzie którzy częstokroć woleliby czmychnąć na koniec świata, byle tylko nie stanąć do walki. Jedną z najsmutniejszych nauk, jaką przyszło mi wynieść z tej wojny, jest przekonanie, że lewicowa prasa w niczym nie ustępuje w swej kłamliwości i niegodziwości prawicowej. Nieodparcie wierzę, że wojna, którą my — to jest strona rządowa — prowadziliśmy, była odmienna od typowych, imperialistycznych wojen; charakter wojennej propagandy wszelako sprawił, że nie można się było tego domyśleć. Ledwo zaczęły się walki, a już posypały się obelgi; już, jak na komendę, ze szpalt lewicowej i prawicowej prasy polały się pomyje. Wszyscy mamy w pamięci zarówno plakat *Daily Mail*: „CZERWONI MALTRE-TUJĄ ZAKONNICE” jak i doniesienia *Daily Worker*, że oddziały Legii Cudzoziemskiej Franco „składały się z morderców, handlarzy żywym towarem, narkomanów i szumowin ze wszystkich krajów Europy”. Jeszcze w październiku 1937 roku *New Statesman* raczył nas bajkami o faszystowskich barykadach, zrobionych z ciał żywych dzieci (wielce nieporęczny budulec do wznoszenia barykad), a Arthur Bryant oznajmiał, że „odcinanie nóg konserwatywnym związkowcom piłą” było w lojalistycznej Hiszpanii „na porządku dziennym”. Tak samo dzieje się na każdej wojnie; żołnierze biją się, dziennikarze urządzają kocią muzykę, a żaden prawdziwy patriota nigdy nie zbliży się do frontowych okopów, chyba że zabiorą go na krótki propagandowy objazd. Często sprawia mi przyjemność myśl, że samolot odmienna sytuację na wojnie. Jeśli dojdzie do wybuchu następnej wielkiej wojny być może zobaczymy, po raz

pierwszy w historii, podziurawionego pociskami pseudopatriotę, który nawoływał do nienawiści.

Gdyby spojrzeć na tę wojnę od strony zmagających prasowych, to hałaśliwością propagandy w niczym nie odbiegała ona od innych wojen. Było wszakże coś, co stanowiło o jej odmienności. Z natury rzeczy dziennikarze przeznaczają najbardziej miażdżące obelgi dla wroga, w tym przypadku jednak, w miarę upływu czasu, komuniści i POUM pisywali z większą zaciekłością o sobie nawzajem niż o faszystach. W owym czasie nie traktowałem tych spraw poważnie. Choć międzypartyjne rozgrywki irytowały mnie, a nawet napawały niesmakiem, to przecież uznawałem je za rodzinne waśnie. Byłem przekonany, że nic one nie zmieniają, że nie ma takich różnic politycznych, których nie dałoby się usunąć. Pojąłem, że komuniści i liberałowie postanowili zatrzymać rozwój rewolucji, ale gdzieżby mi przyszło do głowy, że mogą posunąć się do z a w r ó c e n i a jej biegu.

Były jednakże po temu powody. Przebywałem wówczas nieprzerwanie na froncie, a tam atmosfera polityczna i stosunki między ludźmi pozostawały bez zmian. Na początku stycznia wyjechałem z Barcelony i aż do końca kwietnia nie korzystałem z przepustki. Przez cały ten czas — a nawet jeszcze potem — w kontrolowanej przez oddziały anarchistów i POUM Kotlinie Aragońskiej panowały, przynajmniej na pierwszy rzut oka, warunki niezmiennie. Utrzymywała się ta sama rewolucyjna atmosfera, z jaką zetknąłem się na początku. Generał i szeregowiec, chłop i żołnierz milicji, wszyscy oni ciągle jeszcze mieli poczucie równości; pobierali taki sam żołd, tak samo się ubierali, spożywali takie samo jedzenie, a do siebie zwracali się „Ty” i „Towarzyszu”; nie było kasty panów, kasty: poddanych, żebraków, prostytutek, prawników, księży; płaszczenia się, salutowania. Sam oddychałem powietrzem równości, a to już mi wystarczyło, aby uznać, że tak samo jest w całej Hiszpanii. Nie docierało do mnie, że głównie za sprawą przypadku przyszło mi się znaleźć w obozie najbardziej rewolucyjnego odłamu hiszpańskiej klasy robotniczej.

Chciało mi się zatem śmiać z moich bardziej politycznie uświadomionych towarzyszy, kiedy przekonywali mnie, że na wojnę nie można patrzeć jedynie z czysto wojskowego punktu widzenia, i że

mamy tylko dwa wyjścia: albo rewolucja albo faszyzm. Podzielałem w całej rozciągłości poglądy komunistów, które można by krótko ująć następująco: „Na rozmowy o rewolucji przyjdzie czas, kiedy wygramy wojnę”, natomiast poglądy POUM sprowadzające się do stwierdzenia: „Musimy iść naprzód, bo inaczej będziemy się cofać” nie odpowiadały mi. Kiedy później doszedłem do wniosku, że słuszność była po stronie POUM, a w każdym razie ta partia miała więcej racji niż komuniści, to nie stało się tak z powodu dociekań teoretycznych. Na papierze program komunistów prezentował się nieźle; problem wszelako polegał na tym, że jego praktyczna realizacja rodziła wątpliwości co do słuszności intencji. Każdy zwykły żołnierz milicji PSUC gorliwie wierzył w wielokrotnie powtarzane hasło: „Najpierw wojna, potem rewolucja” i był szczerze przekonany, że po wygraniu wojny nastąpi rozkwit rewolucji. Slogan ten okazał się jednak mydleniem oczu. Zabiegi komunistów nie miały na celu odsunięcia rewolucji w czasie lecz uzyskanie pewności, że nie odbędzie się ona nigdy. W miarę upływu czasu postępowanie to nabierało wyrazistości: władza klasy robotniczej stawała się coraz słabsza, a więzienia coraz bardziej zapełniały się rewolucjonistami różnego autoramentu. Każde posunięcie motywowano wymogami wojskowymi, taka bowiem wymówka była najwygodniejsza, a w istocie szło o wyparcie robotników z korzystnych pozycji na takie, z których po zakończeniu wojny stawianie oporu wobec przywracanego kapitalizmu byłoby niemożliwe. Chciałbym zwrócić uwagę, że nie kieruję swojej krytyki przeciw szeregowym członkom partii komunistycznej, a już w najmniejszym stopniu przeciw tysiącom komunistów, którzy bohatercko polegli na przedpolach Madrytu. Oni nie decydowali o polityce partii. Ci, którzy trzymali ster w rękach, wyżsi funkcjonariusze, wiedzieli dobrze co czynią i nie mam co do tego żadnych złudzeń.

Tak czy inaczej warto było pokusić się o zwycięstwo w tej wojnie, choćby nawet rewolucja miała zostać pogrzebana. W końcu jednak zacząłem powątpiewać, czy polityka komunistów na dłuższą metę do tego rzeczywiście prowadzi. Nikt zgoła nie brał pod uwagę, że różne etapy wojny mogą wymagać odmiennej polityki. Jeśli nawet anarchiści zapobiegli porażce w ciągu pierwszych dwóch miesięcy, to jednak stawianie skutecznego oporu przekroczyło w

pewnym momencie ich zdolności organizacyjne; jeśli nawet komuniści uratowali sytuację w okresie od października do grudnia, to wcale nie wynikało z tego, że odniosą oni pełne zwycięstwo w tej wojnie. Polityka prowadzona przez komunistów podczas zmagania w Hiszpanii przyjmowana była w Anglii bez zastrzeżeń. Działo się tak zarówno z powodu niedopuszczania do druku krytycznych ocen na ten temat, jak i dlatego, że jej główne założenia — zlikwidowanie rewolucyjnego bałaganu, przyspieszenie produkcji, uzbrojenie armii — wydawały się realistyczne i mogły gwarantować skuteczność. Warto wobec tego ukazać tkwiące w niej słabe punkty.

Powstrzymanie wszelkich rewolucyjnych dążeń oraz nadanie tej wojnie w możliwie największym stopniu wymiarów zwykłych działań wojennych wymagało rezygnacji z korzystnych ze strategicznego punktu widzenia okazji, które nadarzały się w praktyce. Opisywałem już, jak byliśmy uzbrojeni, a raczej nieuzbrojeni na aragońskim froncie. Fakt rozmyślnego wstrzymywania dostaw broni w obawie, aby nie trafiła ona do rąk anarchistów, którzy mogliby później spożytkować ją dla rewolucyjnych celów, nie budził w zasadzie wątpliwości. Skutkiem tego wielka ofensywa na froncie w Aragonii, mająca w zamierzeniu doprowadzić do odrzucenia wojsk Franco spod Bilbao, a może i nawet spod Madrytu, nigdy nie nastąpiła. Była to wszakże sprawa o pomniejszym znaczeniu. Daleko ważniejszy problem stanowiło ogłoszenie hiszpańskiej kampanii jedynie „wojną o demokrację”, w tej sytuacji bowiem odwoływanie się do klasy robotniczej za granicą z jakimikolwiek apelami o wsparcie straciło podstawy. Wymowa faktów prowadzi nas niechybnie do wniosku, że robotnicy na całym świecie podchodzili obojętnie do wydarzeń w Hiszpanii. O ile dziesiątki tysięcy osób przybyło, aby stanąć do wędki, o tyle dziesiątki milionów pograżone było w apatii. Jak się szacuje na różnego rodzaju „fundusze pomocy dla Hiszpanii” wpłynęło od całego angielskiego społeczeństwa, w ciągu pierwszego roku trwania wojny, około ćwierć miliona funtów, czyli chyba o połowę mniej, niż wynoszą wydatki na kino w jednym tygodniu. Rzeczywiste poparcie ze strony klasy robotniczej w demokratycznych krajach dla hiszpańskich towarzyszy mogłoby przybrać formę strajków i bojkotów w przemyśle. Do takich akcji nigdy jednak nie doszło. Zarówno przywódcy

laburzystów jak i komunistów określali je przy każdej okazji jako nie do pomyślenia i — bez wątpienia — mieli rację. Nie mylili się również i wtedy, gdy podniesionymi głosami wykrzykiwali, że „czerwona” Hiszpania nie jest „czerwona”. Echa „wojny o demokrację” z lat 1914-1918 nadal pobrzmiwały ponuro. Wszak nie kto inny, jak tylko sami komuniści uświadamiali w minionych latach wojowniczych robotników we wszystkich krajach, że „demokracja” jest jedynie układną nazwą kapitalizmu. Wbijanie najpierw do głów, że „demokracja to oszustwo”, by potem nawoływać do „walki o demokrację!”, nie jest zaiste dobrą taktyką. Gdyby Związek Radziecki z całym swoim ogromnym prestiżem, zamiast posługiwać się hałasem „demokratycznej Hiszpanii”, zaapelował do robotników całego świata w imię „hiszpańskiej rewolucji”, to trudno sobie wyobrazić, by pozostało to bez odzewu.

Najważniejszą sprawą było wszakże uderzenie na tyły Franco, jednak prowadzona polityka nie wzniecania rewolucji spowodowała, że manewr ten był trudny, o ile w ogóle możliwy do wykonania. Wiosną 1937 roku Franco sprawował władzę nad większą liczbą ludności niż rząd — przewaga ta wzrośnie, jeśli uwzględni się kolonie — chociaż obydwie strony posiadały mniej więcej tyle samo oddziałów. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że zapewnienie sprawnego działania wojska na polu walki, w sytuacji gdy na zapleczu frontu zamieszkuje wrogo nastawiona ludność, wymaga dysponowania drugą armią o podobnej sile — zabezpieczającą łączność, przeciwdziałającą aktom sabotażu itd. Niestety, na tyłach Franco nie istniał żaden Uczący się ruch ludowy. Trudno dopuścić myśl, aby mieszkańcy tych terenów, w końcu robotnicy miejscy oraz uboższe warstwy chłopstwa, darzyli sympatią Franco lub też go wręcz popierali, jednakże rząd, wraz z każdym krokiem ku prawicy, zmniejszał swoją przewagę. Całości obrazu dopełnia sytuacja w Maroku. Dlaczego nie wybuchła tam rewolucja? Franco usiłował zaprowadzić swe nikczemne dyktatorskie rządy, gdy tymczasem Maurowie w rzeczywistości opowiadali się za nim, a nie za Frontem Ludowym! Naga prawda przedstawia się następująco: nikt nigdy nie próbował rozpałić pochodni buntu w Maroku, mogłoby to oznaczać bowiem, że wojna ma rewolucyjne podłoże. Pierwszym posunięciem, które przekonałoby Maurów o dobrej woli rządu, powinno

być ogłoszenie niepodległości Maroka. I nie trudno sobie wyobrazić, jakie w tej sytuacji mieliby miny Francuzi! Żłudne nadzieje na „ugłaskanie” francuskiego i angielskiego kapitalizmu doprowadziły do zmarnowania najlepszej w tej wojnie szansy o strategicznym znaczeniu. Cała polityka komunistów nastawiona była na sprowadzenie kampanii hiszpańskiej do rozmiarów najzwyczajszej w świecie wojny, której nie towarzyszy rewolucja i w której rząd znalazł się na nieomal przegranych pozycjach. Tego rodzaju działania wojenne wygrywa się wszakże przy użyciu środków bojowych, czyli przede wszystkim dzięki nieograniczonym dostawom broni; tymczasem geograficzne położenie Związku Radzieckiego, głównego dostarczyciela uzbrojenia dla strony rządowej, było bardzo niekorzystne w porównaniu z Włochami i Niemcami. Chyba hasło POUM i anarchistów: „Wojna i rewolucja są nierozłączne” okazało się bardziej prorocze niż to się wydawało.

Przedstawiłem powody, które legły u podstaw mojej ujemnej oceny antyrewolucyjnej polityki komunistów, póki jednak wpływa ona nadal na wydarzenia wojenne, nie tracę nadziei, że się mylę. Pragnę tego stokrotnie. Bez względu na wszystko chciałbym doczekać się wygranej w tej wojnie. Trudno rzecz jasna przewidzieć, co się jeszcze wydarzy. Rząd może dokonać zwrotu na lewo, Maurowie mogą samorzutnie wzniecić bunt, Anglia może zastąpić Włochy w ich roli, zwycięstwo może być odniesione przy użyciu prostych środków bojowych — nie wiadomo. Niech więc podane wyżej sądy pozostaną takimi jakie są, niech czas pokaże w jakim stopniu mylę się, a w jakim mam rację.

W lutym 1937 roku widziałem te sprawy doprawdy odmiennie. Drażnił mnie zastój na aragońskim froncie i mój udział w walkach zdawał mi się nazbyt skąpy. Ciągle powracałem myślą do plakatu werbunkowego w Barcelonie, który zwracał się do przechodniów z oskarżycielskim pytaniem: „Jaki jest Twój wkład w demokrację?”. Wiedziałem, że mogę odpowiedzieć: „Pobrałem racje żywnościowe”. Wstępując do milicji obiecałem sobie, że zabiję jednego faszystę — przecież jeśli każdy z nas zabiłby jednego, to wkrótce byśmy się ich pozbyli — lecz wówczas jeszcze nikogo nie zabiłem i nie było nawet sprzyjających po temu okoliczności. Rzecz jasna chciałem jechać do Madrytu. Wszyscy w naszym wojsku, bez

względu na zapatrywania polityczne, wciąż tego pragnęli. Oznaczałoby to przejście do Brygady Międzynarodowej, gdyż w Madrycie znajdowało się w owym czasie bardzo niewiele oddziałów POUM, a i jednostek anarchistów było mniej niż poprzednio.

Oczywiście na razie trzeba było pozostać na linii frontu. Zapowiedziałem jednak wszystkim, że gdy tylko otrzymamy przepustki i nie będzie przeszkód, przeniosę się do Brygady Międzynarodowej, co pociągnęłoby za sobą oddanie się pod rozkazy komunistów. Wiele osób próbowało odwieść mnie od tego zamiaru, nikt wszakże nie usiłował pokrzyżować mi szyków. Trzeba uczciwie przyznać, że w szeregach POUM nagonki na nieprawomyślnych prawie w ogóle się nie odbywały, choć może należało poważniej się tym zająć, zważywszy na szczególną sytuację tej partii. Wygłaszanie błędnych poglądów politycznych nie było karane, chyba, że chodziło o sympatie profaszystowskie. Mimo, iż podczas mojej służby w milicji wypowiedziałem wiele krytycznych uwag na temat „Kursu” POUM, to jednak nigdy nie miałem z tego powodu kłopotów. Nie wywierano nawet żadnych nacisków, aby wstępować do partii, chociaż, jak mi się wydaje, większość żołnierzy milicji do niej należała. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie zdecydowałem się zostać jej członkiem, aczkolwiek później po zlikwidowaniu POUM, trochę tego żałowałem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tymczasem codzienne — a raczej conocne — obowiązki, zwykła szara robota. Warty, patrole, budowa umocnień; błoto, deszcz, ryczące wiatry, a czasami śnieg. Dopiero gdzieś koło kwietnia noce stały się odrobinę cieplejsze. Jakże tutaj, na płaskowyżu, te marcowe dni, kiedy niebo było modre, a wiatr groźnie pomrukiwał, przypominały marzec, w Anglii. Ozimy jęczmień sięgał powyżej kostek, na drzewkach wiśni pękały szkarłatne pączki (front przebiegał w tym miejscu przez opustoszałe sady i ogrody warzywne), w rowach natomiast kryły się fiołki i dzika odmiana hiacyntów, podobnych do pośledniejszego gatunku dzwonków. Od chwili przybycia na miejsce walk dopiero tutaj po raz pierwszy napotkałem przezroczystą wodę: tuż za linią frontu kipiał cudowny, zielony strumyk. Pewnego dnia zacisnąłem zęby i zanurzyłem się w jego nurcie. Była to pierwsza kąpiel od sześciu tygodni, powiedzmy raczej krótkotrwałe zamoczenie, gdyż pochodząca ze stopionego śniegu woda miała temperaturę nieco przekraczającą punkt zamrażania.

I nadal bez zmian, kompletny zastój. Anglicy ciągle powtarzali, że to nie jest wojna, to tylko krwawa pantomima. Rzadko kiedy byliśmy narażeni na bezpośredni ogień faszystów. Jedyne niebezpieczeństwo stanowiły zbłąkane kule, które nadlatywały z różnych kierunków, gdyż po obydwu stronach linie okopów biegły zygzakiem. Te kule właśnie były przyczyną wszystkich strat w ludziach, jakie wówczas ponieśliśmy. Przypadkowy pocisk strzaskał

Arthurowi Clintonowi lewy bark i unieruchomił rękę — obawiam się, że na zawsze. Ogniem artyleryjskim w zasadzie nas nie raziło, jeżeli jednak już do tego doszło, był on wyjątkowo niecelny. Poświstywania i wybuchy kul armatnich witaliśmy poniekąd z radością, jako pewnego rodzaju urozmaicenie. Żadna z nich nigdy nie spadła na nasze umocnienia. W odległości kilkuset metrów od nas, na zapleczu, stał wiejski dom — La Granja, jak go nazywano — a przy nim, okazałych rozmiarów zabudowanko gospodarcze. Mieściły się tam magazyny, sztab i kuchnia obsługujące ten odcinek frontu. Upodobali sobie to miejsce faszystowscy artylerzyści. Oddaleni jednak o pięć albo sześć kilometrów od celu, osiągnęli mizerne rezultaty, tak, że wybite szyby i odłupany tynk były jedyymi uszkodzeniami, jakie udało im się wyrządzić. Niebezpieczeństwo mogło pojawić się tylko wówczas, gdy ktoś podchodził drogą i tam akurat zaskoczyła go kanonada. Kule armatnie były wtedy pola po obu stronach idącego. Tajemna sztuka rozpoznawania miejscach upadku po dźwięku jaki wydawały, stawała się dostępna niemal natychmiast. Faszystowska artyleria strzelała w owym czasie pociskami podłej jakości. Mimo że miały one kaliber 150 mm, to jednak po wybuchu żłobiły lej o szerokości zaledwie około dwóch metrów i głębokości jednego metra, ponadto co czwarty z nich nie wybuchał. Jak zwykle w takich przypadkach, tak i wówczas, krążyły fantastyczne bajeczki o sabotażu w faszystowskich fabrykach oraz o niewypałach, w których zamiast ładunku wybuchowego, znajdowano rzekomo ulotki z napisem „Czerwony Front”. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy takiej ulotki nie widziałem. Tymczasem, prawdę powiedziawszy, były to pociski niewymownie stare; komuś udało się znaleźć mosiężne denko zapalnika z wybitą na nim datą, był to rok 1917, Faszyci mieli działa o takiej samej konstrukcji i tego samego kalibru jak nasze, toteż niewypały często poddawano regeneracji i później, ponownie używano do strzelania. Mówiło się nawet o pewnym starym pocisku artyleryjskim z wypisanym na nim imieniem, który latał rzekomo codziennie tam i z powrotem nigdy nie wybuchając.

Istniał zwyczaj wysyłania nocą, na ziemię niczyją, małych patroli, które miały za zadanie nasłuchiwać odgłosów (sygnałów

trąbki, klaksonów samochodowych itp.) mogących świadczyć o ruchach wojsk w Huesca. Ponieważ oddziały faszystowskie ustawnie się przegrupowywały, można było, na podstawie relacji zwiadowców, w przybliżeniu zorientować się co do ich liczebności. Byliśmy ponadto zobowiązani do każdorazowego meldowania o biciu dzwonów kościelnych, gdyż, jak przypuszczano, zawsze przed wyruszeniem do walki nasi przeciwnicy brali udział w mszy. Na polach i w sadach stały gdzieniegdzie opuszczone lepianki. Po zasłonięciu okien i zapaleniu zapalki można było w nich poszperać po kątach bez narażania się na niebezpieczeństwo. Bywało, że natknął się tam człowiek na cenny łup w postaci siekiery, albo też na manierkę, jakiej używali faszyci (bardzo poszukiwane naczynie, gdyż były lepsze od naszych). Takie myszkowania mogły się też odbywać w ciągu dnia, wówczas należało jednak chodzić na czworakach. Zaiste dziwne to uczucie przemykać się chyłkiem żyznymi polami, na których czas zatrzymał się tuż przed rozpoczęciem żniw. Zeszłoroczne uprawy leżały nietknięte. Nieprzycięte pędy winorośli wiły się po ziemi, kukurydziane kolby na stojących łodygach stwardniały na kamień, przejrzałe buraki pastewne i cukrowe osiągnęły rozmiary dużych klocków drewna. Łatwo sobie wyobrazić, jak chłopci musieli przeklinać obydwie armie! Niekiedy grupy żołnierzy wypuszczały się na ziemię niczyją, aby nakopać ziemniaków. Na prawo od naszych pozycji, w odległości około jednej mili, w miejscu gdzie linie okopów były bliżej siebie, znajdowało się poletko z tymi roślinami, odwiedzane zarówno przez nas jak i przez faszystów. My chodziliśmy tam w ciągu dnia, oni zaś tylko po ciemku, bowiem nasze cekaemy broniły dostępu, póki było widno. Tymczasem pewnej nocy, ku naszej wściekłości, faszyci wylegli en masse i „oczyścili” z ziemniaków cały ten skrawek ziemi. Udało nam się wprawdzie znaleźć inne poletko, położone dalej, ale było zupełnie odsłonięte, tak, że aby wykopać ziemniaka, należało położyć się na brzuchu. Praca ta była męcząca tym bardziej, że wystarczyło, iż amator tych roślin został zauważony przez obsługę karabinów maszynowych, a już kilka metrów za nim pociski wzbijały w powietrze grudki ziemi, gdy tymczasem on sam musiał leżeć plackiem wijąc się jak szczur pod drzwiami. Ale gra ta była wówczas warta świeczki. Ziemniaków zaczynało brakować coraz

bardziej. Za pełen ich worek dostarczony do kuchni można było otrzymać manierkę kawy.

I nadal zastój, na nic się nawet nie zanosilo, „Kiedy przystąpimy do ataku? Dlaczego nie atakujemy?” — takie oto pytania padały we dnie i w nocy zarówno z ust Hiszpanów, jak i Anglików. Ktokolwiek zdaje sobie sprawę z tego, co oznacza walka, temu pewnie wyda się dziwne, że żołnierze jej pragną, a jednak tak jest naprawdę. Podczas wojny pozycyjnej każdy z nich ma trzy marzenia: bitwa, więcej papierosów i przepustka na tydzień. Uzbrojenie mieliśmy teraz nieco lepsze niż poprzednio. Amunicji wypadalo po sto pięćdziesiąt sztuk na osobę, a poza tym stopniowo zaczęto nam wydawać bagnety, stalowe hełmy i po kilka granatów. Nieustannie rozchodziły się pogłoski o zbliżającej się bitwie, podejrzewałem jednak, że rozsiewano je dla podtrzymania w oddziałach bojowego ducha. Nie trzeba było wszakże być znawcą problematyki wojskowej, aby zorientować się, że przynajmniej w owym czasie po tej stronie Huesca do rozstrzygającej batalii nie dojdzie. Miejscem o strategicznym znaczeniu była droga do Jaca, ale biegła ona po drugiej stronie miasta. Kiedy anarchiści przypuścili później atak w tamtym rejonie, my jedynie dokonywaliśmy ataków pozorowanych, zmuszając oddziały faszystów do odwrócenia uwagi od głównego pola bitwy.

Przez cały tamten okres, czyli około sześciu tygodni, na odcinku frontu, na którym walczyłem, doszło tylko do jednego starcia. Nasze Oddziały Szturmowe uderzyły na Manicomio, dawny zakład dla obłąkanych, zamieniony przez faszystów w twierdzę. W POUM służyło kilkuset niemieckich uciekinierów. Tworzyli oni specjalny batalion, zwany Battallon de Choque i, z wojskowego punktu widzenia, byli zorganizowani na innych zasadach niż reszta milicji. W istocie bardziej przypominali prawdziwe wojsko aniżeli którąkolwiek z formacji, jakie widziałem w Hiszpanii, z wyjątkiem Gwardii Natarcia i niektórych oddziałów Brygady Międzynarodowej. Tymczasem, jak zwykle, atak został spartaczony. Jestem ciekaw ile to operacji wojskowych, przeprowadzonych podczas tej wojny przez rząd, udało się nie spartaczyć? Oddziały szturmowe gwałtownym uderzeniem zdobyły Manicomio, wszelako jednostka, nie pamiętam już której milicji, zobowiązana do zajęcia sąsiedniego

wzgórza, które broniło dostępu do twierdzy i udzielania w ten sposób wsparcia nacierającym — zawiodła na całej linii. Dowodzący nią kapitan był jednym z tych oficerów regularnej armii, którym rząd tak chętnie powierzał stanowiska w wojsku, a których lojalność pozostawała pod znakiem zapytania. Tak czy inaczej, albo z powodu strachu, albo była to zdrada, dość, że rzucił bombę w momencie, kiedy od wroga dzielił ich dystans dwustu metrów. Z przyjemnością donoszę, że został na miejscu zastrzelony przez swoich podkomendnych. Niemniej atak przez zaskoczenie nie był już dłużej niespodzianką i żołnierze milicji rażeni huraganowym ogniem zostali wyparci ze wzgórza, gdy tymczasem oddziały szturmowe po zapadnięciu zmroku zmuszone były do opuszczenia Manicomio. Całą noc, jedna za drugą, zjeżdżały sanitarki drogą do Sietamo podskakując na wybojach, na skutek czego co ciężiej ranni umierali.

Wszyscy byliśmy wówczas zawszeni; mimo, że nadal panował ziąb, to dzięki tym stworzeniom robiło się człowiekowi gorąco. Zdawało mi się, że wiele wiem o różnego rodzaju insektach pasożytujących na ludzkim ciele, wszelako obrzydzenie, jakie budzi wesz przerosło całą moją dotychczasową wiedzę na ten temat. Inne owady, na przykład komar, aczkolwiek powodują więcej cierpień, przynajmniej nie z a m i e s z k u j ą na człowieku. Wesz ludzka do pewnego stopnia przypomina maleńkiego homara i gnieździ się głównie w spodniach. Spalenie całej odzieży to jedyny sposób, aby się jej pozbyć, niczego lepszego nie wymyślono. Składa ona w szwach spodni białe błyszczące jajeczka niczym ziarenka ryżu, z których wylęgają się nowe osobniki, a te z kolei rozmnażają się dalej w zawrotnym tempie. Przypuszczam, że powiększone zdjęcia wszy mogliby z powodzeniem wykorzystywać pacyfiści jako ilustrację do swoich broszur. Podczas wojny wszyscy żołnierze są zawszeni, przynajmniej wtedy, kiedy jest w miarę ciepło. Dotyczyło to bez wyjątku również tych, którzy walczyli pod Verdun, pod Waterloo, pod Flodden, pod Senlac, pod Termopilami — każdemu z nich wszy spacerowały po jądrach. Do pewnego stopnia tępiłszy te ohydne stworzenia paląc ich jajeczka i biorąc kąpiele tak często jak tylko byliśmy w stanie wytrzymać. Żadna siła, z wyjątkiem wszy, nie zmusiłaby mnie do wejścia do lodowatego strumienia.

Wszystkiego zaczynało brakować — butów, odzieży, tytoniu, mydła, świec, zapalek, oliwy z oliwek. Nasze mundury rozpadały się na kawałki, a wielu żołnierzy nosiło zamiast obuwia zrobione z podeszwy i sznurka sandały. Na każdym kroku można było spotkać stosy zniszczonych butów. Pewnego razu, posługując się nimi jako głównym materiałem opałowym, podtrzymywaliśmy przez dwa dni płomień w ognisku rozpalonym w wykopie i trzeba przyznać, że nieźle nadawały się do tego celu. W owym czasie moja żona przebywała w Barcelonie i przysyłała mi stamtąd herbatę, czekoladę, a nawet cygara, jeśli tylko można je było dostać. Herbatę uważałem za dar niebios, choć nie mieliśmy mleka, a i cukier bywał nieczęsto. Do żołnierzy angielskiego kontyngentu wysyłano nieustannie paczki, cóż z tego, skoro nigdy nie dochodziły. Żywność, odzież, papierosy były albo konfiskowane przez Francuzów, albo urząd pocztowy odmawiał ich przyjęcia. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że jedyną firmą, której udawało się dostarczać z rąk mojej żony paczuszki z herbatą — nawet na pewną pamiętą okazję puszkę herbatników — były Składy Zaopatrzeniowe Wojska i Marynarki. Pocziwa, stara firma! Woleli by pewnie, by te towary trafiały do frankistów, na drugą stronę barykady, a jednak wykonywali swoje obowiązki sumiennie. Brak tytoniu doskwierał nam najbardziej. Na początku otrzymywaliśmy paczkę papierosów dziennie, później zmniejszono tę rację do ośmiu sztuk, a potem do pięciu. W końcu nastąpiło dziesięć dokuczliwych dni, kiedy w ogóle przestano je wydawać. I tak oto po raz pierwszy w czasie mojego pobytu w Hiszpanii ujrzałem widok, który w Londynie nie jest niczym niezwykłym — ludzi zbierających niedopałki.

Pod koniec marca przytrafiło mi się zakażenie ręki i wymagało to interwencji chirurgicznej oraz założenia opatrunku. Musiałem więc udać się do szpitala. Ponieważ było to jednak drobne schorzenie, nie wysłano mnie do Sietamo, ale pozostałem w Monflorite w tak zwanym szpitalu, który okazał się zwykłym lazaretem polowym. Spędziłem tam w sumie dziesięć dni, z tego część przeleżałem w łóżku. *Practicantes* (pomocniczy personel szpitalny) ukradli mi wszystkie cenne przedmioty, jakie posiadałem wliczając w to aparat fotograficzny i wszystkie zdjęcia. Na froncie kradł każdy, było to nieuniknione z powodu istniejących

braków, wszelako personel szpitalny zawsze prześcigał innych w tym procederze. Przebywając później w szpitalu w Barcelonie rozmawiałem z pewnym Amerykaninem, który przyjechał drogą morską do Hiszpanii z zamiarem wstąpienia do Brygady Międzynarodowej. Otóż, opowiadał mi on zarówno o tym, jak się z nim obchodzono, kiedy po storpedowaniu jego statku przez włoską łódź podwodną został ranny i transportowano go na brzeg, oraz o noszowych, którzy podnosząc go do sanitarki zwędzili mu z ręki zegarek.

Ponieważ rękę nosiłem ciągle na temblaku, mogłem spędzić kilka beztroskich dni wałęsając się po okolicy. Monflorite była to po prostu kupa błota, ze stojącymi w niej murowanymi domkami, ponadto były to wąskie kręte uliczki tak długo rozjeżdżane przez ciężarówki, aż przybrały wygląd księżycowych kraterów. Był tam też mocno zrujnowany kościół, który służył teraz jako wojskowa kantyna. W całej okolicy znajdowały się jedynie dwa w miarę duże folwarki, Torre Lorenzo oraz Torre Fabian i również dwa okazałej wielkości budynki, będące rzecz jasna własnością ziemian, którzy niegdyś byli panami na tych terenach. Bogactwo owych właścicieli ziemskich uwypuklało się szczególnie na tle biednych chłopskich chałup. Tuż za rzeką, w pobliżu linii frontu, można było napotkać ogromny wiatrak z przylegającą do niego wiejską chatą. Widok kosztownej maszynierii, która stała bezużytecznie zżerana przez rdzę oraz porąbanej na podpałkę rynny do zsypywania mąki, zakrawał na skandal. Później zdobywanie drewna na opał dla następnych oddziałów odbywało się w ten sposób, że wysyłano grupy żołnierzy ciężarówkami, a oni metodycznie dewastowali to miejsce. Łamanie desek w izbie polegało na wrzuceniu do niej granatu. La Granja, nasz magazyn i nasza kuchnia, musiał chyba kiedyś być klasztorem. Znacznych rozmiarów podwórzec i przybudówki zajmowały powierzchnię ćwierć hektara, o ile nie więcej, a stajnie mogły pomieścić trzydzieści do czterdziestu koni. Architektura wiejskich domków w tej części Hiszpanii jest nieciekawa, jednak i tu można napotkać godne podziwu budowle: pobielane wapnem zabudowania folwarczne, z łagodnymi łukami i wspaniałymi belkami stropowymi, wzniesione na niezmiennym chyba od wieków planie. Zdarzało się, że patrząc jak milicja obchodzi się

z posiadłościami, które przejęła, ogarniało człowieka nieklamane współczucie dla byłego właściciela — faszysty. Każda izba w La Granja, jeśli tylko nie była używana, została zamieniona w latrynę — niesamowita orgia połamanych mebli i ekskrementów. Ściany przyfolwarcznego kościółka były podziurawione pociskami, a podłogę pokrywała gruba na kilka centymetrów warstwa odchodów. Zardzewiałe puszki po konserwach, błoto, muli nawóz, gnijąca żywność na obszernym podwórku, gdzie kucharze wydzielali jedzenie, napawały wstrętem. Przywodził ten widok na myśl starą wojskową piosenkę:

*Gonią szczury, szczury,
Szczury jak kocury,
W szopie kwatermistrza!*

Te, które gnieździły się w La Granja, w rzeczywistości niewiele ustępowały wielkością dużym kotom, o ile w ogóle można było mówić o jakiejś różnicy. Wielkie i opasłe, szkaradne plugastwo kroczyło balansując tułowiem, zbyt zuchwałe, aby czmychnąć, chyba, że się do niego strzelało.

W końcu zawitała prawdziwa wiosna. Lazur nieba stawał się delikatniejszy, a powietrze nagle przemieniło się w uśmierający balsam. Z rowów dobiegały donośne odgłosy żabich godów. Śliczne zielone żabki, które spotkałem wokół przeznaczonego dla mułów wodopoju, równe były wielkością jednopensówce; ich blask sprawiał, że młoda trawa wyglądała przy nich jak matowa. Chłopska młódź wyprawiała się z koszykami na ślimaki, by piec je potem Śywcem na kawałkach cynowej blachy. Wraz z poprawą pogody wylegli z domów na pola wieśniacy, bo pora już była na wiosenną orkę. Hiszpańska rewolucja agrarna charakteryzuje się tym, że owiewa ją nieprzenikniona mgła i z tego też powodu nie mogłem ustalić z całą pewnością, czy tutejsze ziemie dosięgła kolektywizacja, czy może, najzwyczajniej w świecie, sami chłopci podzielili je między siebie. Odnoszę wrażenie, że przynajmniej teoretycznie, nastąpiło na tych terenach uspołecznienie, były przecież pod kontrolą POUM i anarchistów. Tak czy owak ziemianie odeszli, pola nie stały odłogiem, chłopci natomiast wyglądali na zadowolonych. Nigdy nie mogłem nadziwić się życzliwości, jaką obdarzali nas wieśniacy. Starsi wiekiem włościanie musieli chyba uważać wojnę

za bezsensowne przedsięwzięcie, w sposób widoczny niosła ona bowiem za sobą niedostatek wszystkiego i ziejące nudą i smętkiem dni, przerywane w najlepszym razie pobytami oddziałów na kwatery, czego jednak nienawidzili. Wszelako niezmiennie okazywali serdeczność — brało się to, jak podejrzewam, stąd, że mimo, iż mogliśmy się dać im nieźle we znaki, to przecież w końcu staliśmy pomiędzy nimi a ich byłymi panami. Wojna domowa to zagadka. Do Huesca było nie więcej niż pięć mil, ci ludzie mieli tam targ, krewnych; tydzień w tydzień, przez całe życie, udawali się do tego miasta, aby wystawić na sprzedaż drób i warzywa. Tymczasem od ośmiu miesięcy na ich drodze stała zaporą nie do przebycia: drut kolczasty i karabiny maszynowe. Bywało, że o niej zapominali. Wolałam się kiedyś w rozmowę z pewną starą kobietą, która niosła maleńką żelazną lampkę, w jakich Hiszpanie palą oliwę z oliwek.

— Gdzie mógłbym kupić taką lampkę? — zagadnąłem ją.

— W Huesca — odrzekła bezmyślnie i wtedy oboje roześmieliśmy się.

Wiejskie dziewczyny były to przemiłe, pełne wigoru stworzonka o kruczoczarnych włosach, poruszające się tanecznym krokiem, a przy tym bezpośrednie i szorstkie w obejściu, co mogło stanowić ślad pozostawiony przez rewolucję.

Za zaprzęgami mułów, które strzygły rytmicznie uszami, posuwali się na polach oracze ubrani w postrzępione niebieskie koszule czarne bryczesy i słomkowe kapelusze z szerokimi rondami. Ich podniszczone pługi odgarniały jedynie glebę nie krając jej, przeto zagłębienia między skibami w niczym nie przypominały bruzdy. Wysokie ceny metali sprawiały, że wszystkie narzędzia rolnicze nadawały się tylko do muzeum. Na przykład, na połamanych lemieszach, które reperowali bez końca, brakowało już niekiedy miejsca na nowe łaty — można by rzec — łata na łacie. Grabie i widły były drewniane. Ci ludzie, którzy najczęściej nie mieli butów, nie znali łopat; do kopania używali prymitywnych motyk, podobnych do tych, którymi posługują się chłopcy w Indiach. Coś, co przypominało bronę, musiało pochodzić jeszcze z końca epoki kamiennej. To coś składało się z połączonych desek i miało mniej więcej wielkość stołu kuchennego; w deskach były setki prostokątnych dziur i w każdą z nich wetknięty był obciosany kamień

o kształtach, jakie nadawano dziesięć tysięcy lat temu. Jak sobie przypominam, doznałem niemal szoku, kiedy na ziemi niczyjej, w opuszczonej chacie, natknąłem się po raz pierwszy na takie urządzenie. Dobrą chwilę przyszło mi się zastanawiać, zanim zorientowałem się, że jest to brona! Ciarki mnie przeszły na myśl ile pracy trzeba było włożyć w zrobienie takiego sprzętu i jaka musiała być bieda, skoro zamiast stali używano kamienia. Od tego czasu z większą sympatią odnoszę się do polityki uprzemysłowienia. Równocześnie w wiosce stały dwa nowoczesne traktory, zarekwirowane bez wątpienia w dużych posiadłościach ziemskich.

Raz czy dwa wybrałem się na mały, otoczony murem cmentarz, leżący jakąś milę za wioską. Zabitych na froncie odwożono do Sietamo, tu zaś spoczywali miejscowi zmarli. Jakże odmienny był ten cmentarz od tych, które spotyka się w Anglii. Żadnej czci dla nieboszczyków! Cały ten teren porastały krzaki i zielsko, na każdym kroku walały się ludzkie kości. Największym jednakże zaskoczeniem był nieomal zupełny brak religijnych napisów na płytach nagrobnych, mimo, że daty wskazywały, iż położono je przed rewolucją. Może tylko raz widziałem wyryte „Pomódl się za duszę takiego a takiego”, jak się zwykło pisać na katolickich grobach. Większość inskrypcji miała charakter świecki, były to -mieszne wierszyki, sławiące cnoty zmarłego. Mniej więcej jedna mogiła na cztery lub pięć miała mały krzyż bądź wypisane zdanie, nieśmiało napomykające o niebie; takie napisy były najczęściej poszczerbione dłutami gorliwych ateistów.

Zaskoczyło mnie, że mieszkańcy tej części Hiszpanii byli chyba autentycznie pozbawieni wierzeń religijnych — ściślej mówiąc, chodzi mi o brak pobożności. Dziwne to, ale w ciągu całego mojego pobytu w Hiszpanii ani razu nie widziałem nikogo kto by się przeżegnał; a przecież zdawałoby się, że jest to odruch instynktowny i rewolucja nie ma tu nic do rzeczy. Rzecz jasna hiszpański Kościół nie odszedł na dobre (porzekadło mówi: *noce i jezucici* zawsze powracają), wszelako wybuch rewolucji podciął bez wątpienia jego fundamenty i dokonał takich spustoszeń, że nie można sobie nawet wyobrazić, aby w podobnej sytuacji taki sam los mógł kiedyś spotkać dogorywający Kościół Anglikański. I chyba duża popularność i niewątpliwie religijne zabarwienie anarchizmu spowodowały, że

ta ideologia wyparła w pewnej mierze wiarę chrześcijańską.

W dniu mojego wyjścia ze szpitala przesunęliśmy linię frontową o około jeden kilometr naprzód; wzdłuż strumyka przepływającego naprzeciw pozycji faszystów, od którego dzielił ich dystans kilkuset metrów. Nowe miejsce było korzystniej położone i należało wykonać ten manewr już miesiąc wcześniej. Przeprowadzono go jednak teraz, gdyż anarchiści atakowali drogę do Jaca i nasze natarcie z tej strony mogło związać rozlokowane przed nami oddziały wroga.

Ponieważ na służbie spędzaliśmy bez snu sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt godzin, moje wspomnienia z tamtego okresu spowija gęsta mgła, z której wyłaniają się jedynie pojedyncze obrazy. Nasłuchiwanie na ziemi niczyjej w odległości stu metrów od Casa Francesca, warownego folwarku, który był częścią linii obronnej faszystów. Siedem godzin leżenia w ohydny trzęsawisku, w przesiąkniętej zapachem trzciny wodzie, w której człowiek stopniowo zapadał się coraz głębiej: woń trzciny, paraliżujący ruchy żąb, czarne niebo z nieruchomymi gwiazdami, jazgotliwe rechotanie żab. Nie pamiętam tak zimnej nocy w Hiszpanii, a przecież był już kwiecień. Nieopodal, w odległości stu metrów za naszymi plecami, bezgłośnie uwijały się przy robotach fortyfikacyjnych oddziały żołnierzy, a głęboką ciszę mącił jedynie żabi chór. Raz tylko dobiegł mnie hałas — był to znajomy uszom dźwięk ubijania łopata worka z piaskiem. Swoją drogą zaskakujące jest, jak Hiszpanie potrafią co jakiś czas wykazać się wspaniałym talentem organizacyjnym. Całe przedsięwzięcie było znakomicie zaplanowane. Nie minęło siedem godzin i sześciuset żołnierzy wykonało okop i wał fortyfikacyjny o długości tysiąca dwustu metrów, a wszystko to działo się w odległości stu pięćdziesięciu i trzystu metrów od faszystowskiej linii, i tak cicho, że wróg nic nie usłyszał. W ciągu tej nocy mieliśmy tylko jedną ofiarę, następnego dnia oczywiście poległych przybyło. Praca była rozplanowana, każdy wiedział co ma robić, i nawet pomocnicy kucharza, zgodnie z harmonogramem, przynieśli zaraz po skończonej robocie kosze wina z dodatkiem koniaku. A potem nadszedł świt i faszyści nagle dostrzegli nas na nowym miejscu. Białe czworobok Casa Francesca, mimo, że oddalony o dwieście metrów, zdawał się górować nad nami. Umieszczone w

jego górnych oknach, na workach z piaskiem, karabiny maszynowe wymierzone były jakby w okop. Staliśmy ze wzrokiem wlepionym w folwark, nie mogąc pojąć dlaczego faszyci nas nie widzą. Po czym wysypał się brzęczący rój kul i każdy zaczął kopać zapamiętane, byle tylko pogłębić okop, byle wygrzebać niewielką kryjówkę w jego bocznej ścianie. Nie mogłem pracować łopata, bo rękę miałem nadal zawiniętą w bandażę, przeto przez większość owego dnia oddawałem się lekturze kryminału pod tytułem *The Missing Money-lender (Zaginiony lichwiarz)*. Już sobie nie przypominam, o czym była ta książka; w mojej pamięci wszelako zachowały się te chwile, kiedy czytałem rozparty na dnie okopu; siedzenie w lepkiej glinie, ustawiczne usuwanie nóg, by nie blokować przejścia uwijającym się, pochylonym żołnierzom; poświstujące o kilkadziesiąt centymetrów nad głową pociski. Kula przeszła górną część uda Thomasa Parkera, który skwitował tę ranę powiedzeniem, że przybliżyła go ona do niechcianego medalu. Co prawda zabici padali wzdłuż całej linii frontu, niemniej ich liczba nie mogłaby się równać ze stratami, jakie przysłoby nam ponieść, gdyby tak wróg zaskoczył nas podczas nocnego manewru. Dowiedzieliśmy się później od dezertera, że pięciu faszystowskich wartowników, oskarżonych o zaniechanie obowiązków, zostało rozstrzelanych. Wystarczyło, żeby przeciwnicy sprowadzili kilka moździerzy, a nawet teraz mogliby urządzić nam krwawą łaźnię. Transportowanie ранego wąskim, zatłoczonym okopem nie było łatwym przedsięwzięciem. Widziałem, jak pewien biedak, ubrany w ciemne splamione krwią bryczesy, wypadł z noszy i rzeźił w agonii. Poszkodowanych trzeba było nieść bardzo daleko — co najmniej jedną milę — nigdy bowiem sanitarki nie docierały w bezpośrednie sąsiedztwo frontu, chociażby nawet do miejsca walk dochodziła droga; podjeżdżając zbyt blisko narażały się zwykle na ostrzał ze strony faszystów — zrozumiałe, że podczas nowoczesnej wojny wozi się amunicję w sanitarkach bez żadnych skrupułów.

A potem nadeszła następna noc i w Torre Fabian wyczekiwaliśmy na sygnał do ataku, gdy tymczasem, w ostatniej chwili, drogą radiową odwołano akcję. W stajni, gdzie szykowaliśmy się do natarcia, klepisko zalegała gruba warstwa kości ludzkich i bydłych, zmieszanych ze sobą, cienko przykrytych sieczką. Gnieździły

się tam szczury. Na każdym kroku te ohydne szkarady wylaziły stadami z ziemi. Nic bardziej nie budzi mojego wstrętu, niż przebiegający po mnie w nocy sznur. Niemniej miałem też swoją chwilę radości: złapałem jednego z nich i mocnym kopniakiem umożliwiłem mu naukę latania.

A potem w odległości pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu metrów od wału fortyfikacyjnego faszystów, czekanie na rozkaz rozpoczęcia ataku. Z rowu irygacyjnego wзираły bagnety, siedzieli tam w kucki, w długim rzędzie, żołnierze — połyskując w ciemnościach białkami oczu. Kopp i Benjamin, wraz z telegrafistą taszczącym na plecach radiostację, przycupnęli za nami. Na zachodzie, ponad linią horyzontu, rozbłyskiwały różowe pociski armatnie i po kilkusekundowych przerwach dochodziły stamtąd odgłosy potężnych wybuchów. Naraz zaterkotała radiostacja i w ślad za nią podany szeptem rozkaz nakazał nam wyjście z rowu, gdy tylko pole będzie wolne. Wycofaliśmy się, trochę jednak za wolno. Świt zaskoczył dwunastu chłopców z JCI (Młodzieżowa Liga POUM, odpowiednik JSU w przypadku PSUC), którym wyznaczono stanowiska zaledwie około czterdziestu metrów od wału ziemnego faszystów, i nie mogli już uciekać. Musieli tam leżeć cały dzień schowani jedynie za kępami trawy i na każdy ich ruch odpowiedzią były strzały nieprzyjaciela. O zmroku siedmiu już nie żyło, natomiast pozostała piątka, korzystając z ciemności, zdołała czołgając się opuścić to miejsce.

A potem jeszcze wiele poranków witało nas odgłosami walk z drugiej strony Huesca, gdzie nacierali anarchiści. Gama dźwięków była wciąż jednakowa. Bywało, że nagle po północy, na rozpoczęcie koncertu, dochodził grzmot wybuchów kilkudziesięciu granatów równocześnie — makabryczny, przeszywający łoskot, mimo wielomilowej odległości — po czym następował nieprzerwany huk prażących ciągłym ogniem cekaemów i salw karabinowych, donośne dudnienie zadziwiająco podobne do odgłosów walenia w bębny. Strzelanina stopniowo ogarniała wszystkie odcinki frontów okalających Huesca, gdy tymczasem każdy z nas pędził potykając się, byle tylko dopaść okopu, bo tam można już było spokojnie oprzeć głowę o nasyp, nic sobie nie robiąc z niegroźnych kul przelatujących ze świstem nad głowami.

W ciągu dnia działa grały od przypadku do przypadku. Folwark Torre Fabian, gdzie obecnie mieściła się nasza kuchnia, dostał się pod ostrzał i uległ częściowemu zniszczeniu. W przypatrywaniu się z bezpiecznej odległości kanonadzie z armat kryje się coś dziwnego. Otóż człowiek zawsze pragnie, aby artylerzysta trafił w cel, nawet gdy tym celem jest jego własny obiad, bądź obiad towarzyszy. Owego ranka faszyści mierzyli precyzyjnie; być może u dział stanęli niemieccy kanonierzy. Torre Fabian, ich cel, został „obrysowany” wybornie. Pierwszy pocisk spadł za daleko, drugi za blisko, a potem bach! Rozerwane krokwie wzbity się w górę, wstęgi azbestowego dachu opadły w powietrzu niczym rozrzucone karty. Następny pocisk oderwał naroże budynku tak równo, że wyglądało, jak gdyby jakiś olbrzym odkroił je nożem. Kucharze jednak ugotowali obiad na czas — wieczna chwała im za to.

W miarę upływu czasu, niewidoczne dla oczu, ale napełniające uszy hukami działa nabierały coraz wyraźniejszych cech indywidualnych. Dwie baterie rosyjskich „siedemdziesiątekpiątek”, które strzelały nieopodal z naszego zaplecza, kojarzyły mi się z grubasem uderzającym piłkę golfową. Niska trajektoria lotu i bardzo duża prędkość ich pocisków sprawiały, że wystrzał, świst i wybuch słyszało się prawie jednocześnie. Za Monflorite ustawiono dwa wielkokalibrowe działa, które zionęły ogniem kilka razy dziennie, wydając przy tym przytłumiony ryk, niczym ujadanie oddalonych potworów na łańcuchach. Na szczycie góry Aragon, w średnio-wiecznej warowni, o którą w poprzednim roku toczyły boje oddziały rządowe (jak powiadano, nikt przedtem nie zdobywał tej twierdzy), i która strzegła jednej z dróg do Huesca, była armata pamiętająca chyba jeszcze dziewiętnasty wiek. Wystrzeliwane z niej kule leciały tak wolno, że zdawało się, iż można biec obok nich z taką samą szybkością, a dźwięki wydawały niczym przejeżdżający rowerzysta, któremu zachciało się gwizdać. Jednakże źródłem najbardziej złowieszczych odgłosów były niewielkie przecież moździerze. Amunicja do nich to coś, co bardzo przypomina torpedę ze statecznikami, i co ma kształty podobne do strzałek używanych do gry w piwiarniach, i co wreszcie jest wielkości ćwiartkowej butelki. Wylatywał taki pocisk z piekielnym, metalicznym zgrzytem, jaki zwykle towarzyszy rozplaszczaniu młotem na kowadle pokaźnych

rozmiarów bryły kruchego żelaza. Niekiedy nasze przelatujące samoloty rzucały „cygara” z lotkami, których przeraźliwe, powtarzane przez echo wycie, powodowało drżenie ziemi nawet w promieniu dwóch mil. Wybuchy pocisków z działek przeciwlotniczych potrafiły upstrzyć niebo obłoczkami spotykanymi jedynie na kiczowatych akwarelach, wszelako bliżej niż jeden kilometr od samolotu nigdy tych małych chmurek nie dostrzegłem. Spod pikującego samolotu, którego cekaem pluje ogniem, wydobywa się dźwięk zbliżony do odgłosu furkotania skrzydeł.

Tymczasem na naszym odcinku frontu zdarzeń było niewiele. Ze wzniesienia, gdzie ulokowali się faszyci, z odległości dwustu metrów na prawo od nas, kule snajperów dosięgły kilku towarzyszy. Z kolei o dwieście metrów od naszych stanowisk w przeciwnym kierunku toczyło się coś w rodzaju pojedynku: nasi żołnierze, wznoszący betonową barykadę na kładce przez strumień, ostrzeliwali się w odpowiedzi na ogień moździerzy nieprzyjaciela. Bzz-bach! Bzzz-bach!, mknęły brzęczące kąśliwe kulki, czyniąc piekielny hałas, który ulegał zdwojeniu, gdy kończyły swój lot na asfaltowej drodze. Wystarczyło oddalić się o kilkaset metrów, by — absolutnie bez żadnego ryzyka — móc przypatrywać się słupom ziemi i dymu, pnącym się ku niebu, niczym konary czarodziejskich drzew. Nieboracy przy kładce natomiast, póki było widno, siedzieli skuleni w małych norach wygrzebanych w bocznej ścianie okopu. Wbrew oczekiwaniom, nie ponieśli wielu ofiar i coraz wyżej rosła barykada: betonowy mur, gruby na pół metra, z otworami strzelniczymi na dwa cekaemy i małe polowe działko. W celu wzmocnienia cementu używali stelaży ze starych łóżek, które najwidoczniej okazały się jedynym dostępnym źródłem żelaza.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pewnego popołudnia Benjamin oznajmił nam, że potrzebuje piętnastu ochotników. Odwołany poprzednim razem atak na faszystowską redutę miał się odbyć nocą. Naoliwiłem moich dziesięć meksykańskich naboju, zaczerniłem bagnet (może zdradzić pozycję żołnierza, gdy się zanadto błyszczy) oraz spakowałem pajdę chleba, długi jak palec kawałek czerwonej kielbasy i przysłane z Barcelony przez żonę cygara, które chomikowałem od dłuższego czasu. Rozdano granaty, po trzy na osobę. Hiszpański rząd zdołał w końcu uruchomić produkcję przyzwoitych granatów. Ich konstrukcja oparta była na bombie Millsa, wszelako zamiast jednej zawlecзки miały dwie, których wyciągnięcie powodowało wybuch w ciągu siedmiu sekund. Podstawowa wada tego środka bojowego polegała na tym, że jedna zawlecзка była umocowana bardzo sztywno, a druga bardzo luźno. Należało się zatem zawsze zdecydować wcześniej, czy wrywać je dopiero w chwili zagrożenia, ryzykując, iż ta sztywna się zatnie, czy też ją właśnie wyciągnąć zawczasu, a potem trząść się ze strachu, aby całe urządzenie nie eksplodowało w kieszeni. Mimo wszystko, ten mały granat nieźle nadawał się do rzucania.

Tuż przed północą nasza piętnastka zeszła pod dowództwem Benjamina do Torre Fabian. Od wieczora nieustannie zaciął deszcz. Rowy irygacyjne przepelnione były wodą i kto w nie wpadł, ten przemakał aż do pasa. Z egipskich ciemności, z ulewy, wyłoniły się na podwórku rozmazane kontury żołnierskich sylwetek. Czekali. Przemówił do nas Kopp i najpierw po hiszpańsku,

a potem po angielsku przedstawił plan ataku. Zakręcające tutaj, faszystowskie pozycje tworzą literę „L” i nasze uderzenie pójdzie w kierunku znajdującego się na wzniesieniu wału fortyfikacyjnego, tam gdzie spotykają się ramiona tej litery. Trzydziestu z nas, w połowie Anglicy, w połowie Hiszpanie, przechodzi pod rozkazy Jorge Roci, dowódcy naszego batalionu (batalion milicji składał się z około czterystu żołnierzy), oraz Benjamina. Podczołgujemy się, aby poprzecinać zasieki; Jorge rzuca pierwszy granat, który jest sygnałem dla nas, po czym my częstujemy faszystów lawiną granatów, wypieramy ich z wału fortyfikacyjnego i zajmujemy go zanim zdążą uporządkować szeregi. W tym samym czasie siedemdziesięciu żołnierzy z oddziałów szturmowych przypuszcza atak na położone o dwieście metrów na prawo stanowisko połączone z wałem okopem komunikacyjnym. Aby w ciemnościach nie doszło do strzelaniny między swoimi, każdy założy białą opaskę. W tym momencie przybył łącznik z informacją, że nie ma białych opasek. Z mroku odezwał się strapiony głos z propozycją: „Nie dałoby się tak załatwić, żeby to faszyci założyli białe opaski?”

Do rozpoczęcia akcji pozostała godzina albo dwie. Ogień artyleryjski poczynił tyle szkód w stodole nad stajnią dla mułów, że poruszanie się tam bez światła było niemożliwe. Spadający pocisk urwał pół stropu tworząc sześciometrową przepaść, na której dnie leżały gruzy. Ktoś znalazł kilof, wyrwał nim popękana deskę z podłogi i tak oto, po kilku minutach, nasze przemoczone ubrania parowały już przy ognisku, podczas gdy ktoś inny wyciągnął pudełko z kartami. Rozeszła się plotka — jedna z tych tajemniczych plotek, tak charakterystycznych dla każdej wojny — że zaraz będą wydawać kawę z koniakiem. Jeden za drugim rzuciliśmy się w dół na złamanie karku po ledwie trzymających się schodach na ciemny podwórzec, gdzie wszyscy rozbiegli się rozpytując o kawę. Nic z tego! — kawy nie było, zwołano natomiast zbiórkę. Stanęliśmy w pojedynczym szeregu, po czym Jorge i Benjamin ruszyli żywo w mrok, a my za nimi.

Nadal deszcz i nieprzejrzana ciemność, chociaż wiatr osłabł. Błoto nie do opisanego. Wiodące przez buraczane pola ścieżki przemieniły się po prostu w bagno, śliskie jak namydlony słup. Co

krok stały na nich ogromne bajora. Każdy z nas kilkakrotnie się przewracał i nasze karabiny były upačkane rozmokłą ziemią, nim wreszcie dotarliśmy do naszego wału fortyfikacyjnego skąd czekała nas dalsza droga. Przy nasypie stała już grupa żołnierzy — nasz odwód — lekarz i rząd noszy. Wychodziliśmy przez dziurę w umocnieniu, a za nią trzeba było pokonać następny rów irygacyjny. Chlup-chlup! I znów w wodzie po pas, i znów brudny szlam przelewał się przez buty z cholewami. Po drugiej stronie stał Jorge i czekał aż wszyscy się przeprawią, po czym, nieomal zgięty we dwoje, powoli ruszył do przodu. Wał fortyfikacyjny faszystów był w odległości około stu pięćdziesięciu metrów i żeby go osiągnąć, nie wolno nam było wywołać najmniejszego hałasu.

Byłem na przodzie wraz z Jorge i Benjaminem. Z plecami zgiętymi w kabłak, z głowami uniesionymi do góry wypelzaliśmy w nieprzenikniony mrok i każdy następny metr przebywaliśmy coraz wolniej. Deszcz delikatnie zacinał prosto w twarz. Odwróciłem się i dostrzegłem znajdującą się najbliżej mnie gromadkę żołnierzy, a raczej garbatych postaci, które niczym kolonia czarnych grzybów— olbrzymów leniwie posuwała się do przodu. Ilekroć uniosłem głowę do góry, tylekroć tuż zza pleców stanowczy głos Benjamin szeptał mi do ucha: „Czmać głowa dół! Cimać głowa dół!” Miałem mu nawet odpowiedzieć, żeby się nie martwił, wiedziałem bowiem skądinąd, że w ciemną noc nie widać człowieka na odległość dwudziestu kroków. Ale przede wszystkim należało zachować ciszę. Jeśli dobiegłby do wroga jakikolwiek hałas, bylibyśmy zgubieni. Wystarczyło, żeby rozproszyli mrok ogniem cekaemu, a wówczas trzeba by uciekać, albo czekałaby nas masakra.

Rozmokły grunt nie sprzyjał jednak bezszelestnemu poruszaniu się. Człowiek starał się jak mógł, ale stopy grzęzły w błocie i po każdym kroku rozchodziły się odgłosy chlupania. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wiatr ucichł i z wyjątkiem szumu deszczu noc była bardzo spokojna. Głosy niesło na odległość wielu mil. Przeżyłem chwilę trwogi, kiedy kopnąłem jakąś puszkę i opanowała mnie myśl, że nie ma chyba takiego faszysty w promieniu kilku kilometrów, który by tego nie usłyszał. Nie było jednak żadnej reakcji, nic, najmniejszego dźwięku, ani strzału, ani poruszenia w okopach wroga. Czołgaliśmy się dalej, coraz wolniej i wolniej. Nie

potrafię opisać, jak gorąco pragnąłem się tam dostać. Chociażby na odległość rzutu granatem, zanim nas usłyszą! W takiej chwili nie ma nawet mowy o strachu, ogarnia tylko przemożna, rozpaczliwa chęć pokonania pola rozdzielającego obydwaj wojska. Podchodzenie dzikiego zwierza wywołuje u mnie takie samo uczucie; taką samą palącą żądzę, by zbliżyć się na odpowiednią odległość, taką samą uludną pewność, że jest to niemożliwe. Jakże odległość może się wydłużyć! Znałem ten teren nieźle, mierzył ledwie sto pięćdziesiąt metrów, tymczasem zdawało się, że ma on co najmniej jedną milę. Kiedy człowiek czołga się z taką szybkością jak mrówka, dostrzega ogromne różnicowanie terenu, po którym się porusza: a to cudowną kępkę delikatnej w dotyku trawy, a to ohydną łąkę grząskiego błota, a to wysoką szumiącą trzcinę, którą trzeba ominąć, a to wreszcie kupę kamieni — przeszkodę, która nieomal pozbawia nadziei, że uda się ją bezgłośnie pokonać.

Czołganie trwało już całe wieki i zacząłem podejrzewać, że pobłądził. Naraz ukazały się słabo widoczne, czarniejsze od panującej ciemności, cienkie kreski biegnące równolegle względem siebie. To były zewnętrzne zasieki (faszyści ustawili dwie linie zasieków). Jorge przyklęknął i zaczął szperać w kieszeni. Miał on jedyną posiadaną przez nas parę nożyc do cięcia drutu. Pyk, pyk — pękło splątane żelastwo; zaraz potem delikatnie je rozchylono. Czekaliśmy, aż znajdujący się w tyle żołnierze podejść bliżej. Wydawało się, że okropnie hałasują. Od faszystowskiego wału dzieliło nas teraz mniej więcej pięćdziesiąt metrów. I dalej naprzód, zgięci w kabłąk. Powoli, krok za krokiem, skradaliśmy się. Stopy dotykały podłoża tak miękko, jak czyni to kot, gdy podchodzi do mysiej dziury; potem chwila postoju, nasłuchiwanie i znów następny krok. W pewnym momencie uniosłem głowę; Benjamin złapał mnie bezszelestnie za szyję i gwałtownie zgiął mi ją w dół. Wiedziałem, że od wewnętrznych zasieków do wału jest co najwyżej dwadzieścia metrów. To chyba niemożliwe, pomyślałem, aby trzydziestu żołnierzy mogło tam podejść, i aby nikt tego nie usłyszał. Przecież sam fakt, że oddychamy musi nas zdradzić. A jednak, w jakiś dziwny sposób, podeszliśmy. Faszystowski wał fortyfikacyjny był teraz widoczny: czarny niewyraźny nasyp mający wysoko nad nami. Jorge ponownie klęknął i sięgnął do kieszeni. Pyk, pyk.

Za nic w świecie nie dało się tego żelastwa ciąć po cichu.

Tak więc byliśmy przy wewnętrznych zasiekach. Przeszliśmy przez nie na czworakach i nieco szybciej. Niestety nie mieliśmy teraz czasu na rozwinięcie szyku. Jorge i Benjamin przeczołgali się i byli po prawej stronie. Wszelako rozproszeni żołnierze, którzy znajdowali się z tyłu, musieli ustawić się jeden za drugim, aby przejść przez wąską dziurę w zasiekach i wtedy właśnie na faszystowskim wale błysnęło i rozległ się huk. W końcu usłyszała nas warta. Jorge oparł się na jednym kolanie i machnął ręką jak serwujący zawodnik w krykiecie. Bum! Jego granat wybuchnął gdzieś za nasypem. Wtem, prędzej niż wydawało się to możliwe, dobiegł z wału łoskot ognia dziesięciu, bądź dwudziestu karabinów. Mimo wszystko musieli na nas czekać. W jednej chwili można było dostrzec w bladym świetle każdy worek z piaskiem. Część granatów rzucanych przez żołnierzy znajdujących się za daleko z tyłu, upadała przed nasypem. Wydawało się, że z otworów strzelniczych tryskają fontanny płomieni. Nigdy nie jest to miłe kiedy strzelają do człowieka w ciemnościach — każdy błysk z lufy karabinu bierze on za strzał prosto w niego — najgorsze były jednak granaty. Tylko ci, w pobliżu których nastąpił w mroku wybuch granatu, wiedzą dobrze co to za potworna broń; kiedy jest widno słychać jedynie detonację, natomiast po ciemku dochodzi do tego jeszcze oślepiające czerwone światło. Przy pierwszej eksplozji padłem na ziemię. Leżąc na boku, w grząskim błocie, nerwowo mocowałem się z zawleczką. Ta przekłeta zapinka *n i e c h c i a ł a* wyjść, W końcu zdałem sobie sprawę, że kręcę nią w odwrotnym kierunku. Wyciągnąłem zawleczkę, uniosłem się na kolana, cisnąłem granat i z powrotem padłem. Wybuch nastąpił na prawo ode mnie, na zewnętrznej stronie wału; ze strachu chybiłem. Nagle następny granat rozerwał się przede mną po prawej stronie i to tak blisko, że poczułem powstałe przy eksplozji ciepło. Przyłgnąłem do ziemi i wcisnąłem głowę w błoto z taką siłą, że skaleczyłem sobie szyję i w związku z tym uznałem, że jestem ranny. Zza pleców dobiegł mnie spokojny głos, który po angielsku powiedział: „Dostałem”, Jak się okazało granat ten poranił kilku żołnierzy w pobliżu mnie, a ja nie zostałem nawet draśnięty. Podniosłem się na kolana i rzuciłem drugi granat. Nie pamiętam już gdzie upadł.

Z przodu prażyli ogniem faszyści, z tyłu nasi, a ja raptem zrozumiałem, że jestem pośrodku. Uczułem podmuch wystrzału i zdałem sobie sprawę, że tuż za mną ktoś strzela. Wstałem i wrzasnąłem na niego: „Nie strzelaj do mnie, przeklęty baranie!” Naraz, w odległości mniej więcej dziesięciu lub piętnastu metrów, dostrzegłem Benjamina, który wymachiwał ręką w moim kierunku. Puściłem się do niego biegiem, przecinając linie tryskających płomieniami otworów strzelniczych. Pędząc uderzyłem się lewą ręką w policzek; idiotyczny odruch — jak gdyby można było zatrzymać ręką pocisk! — cóż, skoro okropnie się bałem trafienia w twarz. Benjamin klęczał na jednym kolanie i mierzył starannie ze swojego automatu w miejsca, gdzie rozbłyskiwały strzały karabinowe. Na jego twarzy malował się szatański uśmiech. Jorge został ranny zaraz na początku, kiedy tylko otwarto ogień, i znajdował się gdzieś poza zasięgiem wzroku. Klęknąłem obok Benjamina, wyrwałem zawleczkę z mojego trzeciego granatu i rzuciłem go. Nareszcie! Tym razem nie było już wątpliwości. Wybuchł po drugiej stronie wału, tam gdzie zakręcała linia okopu, dokładnie -przy gnieździe karabinu maszynowego.

Ogień faszystów zaczął jakby gwałtownie słabnąć. Benjamin zerwał się na równe nogi i ryknął: „Naprzód! Do ataku!” Skoczyliśmy co żywo na niewielką urwistą skarpe, na której szczycie wznosił się wał fortyfikacyjny. Piszę „skoczyliśmy co żywo”, aczkolwiek „brnęliśmy” byłoby tu lepszym określeniem; rzecz w tym, że ktoś, kto jest przemoczony, oblepiony błotem od stóp do głów i obciążony ciężkim karabinem z bagnetem oraz stu pięćdziesięcioma sztukami amunicji, nie może poruszać się szybko. Z góry założyłem, że na szczycie będzie na mnie czekał faszysta. Jeśli do mnie wystrzeli, to z takiej odległości nie chybi. Potrafiłem sobie jednak w jakiś sposób wytłumaczyć, że tak się nie stanie, że natrze z pewnością bagnetem. Już zawczasu zacząłem przeżywać tę chwilę, kiedy skrzyżują się nasze bagnety i nurtowało mnie pytanie, czy moja ręka okaże się silniejsza, czy jego. Faszysty jednak nie było. Poczulem niewysłowioną ulgę, wał bowiem był niski i worki z piaskiem stanowiły dobre oparcie dla stóp. Zwykle pokonywanie wałów stanowi nie lada trudność. Wewnątrz wszystko było porzucane w drobny mak, dookoła leżały porzucane belki i jak

okiem sięgnąć walały się płaty azbestu. Nasze granaty zniszczyły każdą ziemiankę i każdy wykop. I wciąż nie napotkałem żywej duszy. Przyszło mi na myśl, że mogli się przyczaić gdzieś pod ziemią, krzyknąłem więc po angielsku (język hiszpański uleciał mi w owej chwili z głowy): „Wychodzić! Poddajcie się!” Nie odpowiedział nikt. Naraz jakiś człowiek, jakaś niewyraźna sylwetka, która mignęła mi w półmroku, dała susa na dach jednej ze zburzonych ziemianek i czmychnęła w lewo. Rzuciłem się za tym człowiekiem kłując bagnetem po ciemku, lecz na próżno. Za rogiem ziemianki ujrzałem kogoś, kto gnał okopem komunikacyjnym, prowadzącym do innego stanowiska faszystów. Nie jestem pewien czy ten ktoś, to była ta sama osoba, którą przedtem zobaczyłem. Musiała nas dzielić niewielka odległość, gdyż widziałem go wyraźnie. Głowę miał odkrytą i chyba nie miał na sobie nic z wyjątkiem narzuconego na ramiona koca, który kurczowo trzymał w rękach. Wystarczyło, żebym pociągnął za spust, a zrobiłbym z niego sito. Nakazano nam jednakże — w obawie, abyśmy nie strzelali do siebie — że gdy znajdziemy się w okopie, mamy się posługiwać wyłącznie bagnetem. Tak czy owak nie wpadłem nawet na to, że można by do niego wypalić. Myśl moja natomiast pomknęła dwadzieścia lat w przeszłość do szkoły, gdzie nasz instruktor boksu bardzo obrazowo demonstrował, jak zakuł bagnetem Turka pod Dardanalami. Uchwyciłem zatem kolbę karabinu w najważniejszym miejscu i wykonałem atak z wypadu mierząc w plecy owego człowieka. Nie dosięgnąłem go. Następne pchnięcie: znowu nic z tego. Przez dalszych kilka metrów sytuacja nie uległa zmianie, on na dole, w okopie, rwał jak szalony, ja zaś z góry zadawałem ciosy w jego łopatki, nie mogłem jednak ciągle trafić. Miło wspominać to zabawne zdarzenie, aczkolwiek podejrzewam, że jemu nie było do śmiechu.

Rzecz jasna znał teren lepiej ode mnie i wkrótce mi się wymknął. Wróciłem na zdobyte stanowisko, a tam pełno już było wydających okrzyki żołnierzy. Odgłosy strzelaniny nieco osłabły. Faszyci nadal zasypywali nas lawiną kul, niemniej strzelano z dalszej odległości. Na razie udało nam się ich wyprzeć. Przypominam sobie, że wyrokowałem, iż: „Możemy utrzymać to miejsce przez nie więcej niż pół godziny”. Dlaczego akurat pół godziny, nie wiem.

Ponad wałem, po prawej stronie, niezliczone zielonkawe błyski wystrzałów karabinowych rozpruwały ciemność: dzieliła je wszakże od nas spora odległość. Teraz przyszła pora na przeczesanie reduty, na branie łupów — na branie wszystkiego, co miało jakąś wartość. Benjamin wraz z innymi myszkował między ruinami jakiejś dużej ziemianki czy wykopu w środku stanowiska. Naraz wyskoczył jak oparzony przez zniszczony dach i chwiejnym krokiem powłókł za sobą linę zaczepioną z drugiego końca do uchwytu skrzynki z amunicją.

— Towarzysze! Amunicja! Tutaj jest mnóstwo amunicji!

— Nie potrzeba nam amunicji — odezwał się jakiś głos — potrzebujemy karabinów.

I miał rację. Połowa naszych karabinów była zapchana błotem i nie nadawała się do użytku. Mogliśmy je wyczyścić, ale wyciąganie zamka w ciemności jest ryzykowne; można go gdzieś położyć i potem nie odnaleźć. Na szczęście miałem przy sobie małą latarkę, którą moja żona, nie bez trudności, kupiła w Barcelonie, inaczej bowiem bylibyśmy w ogóle bez światła. Kilku żołnierzy ze sprawnymi karabinami otworzyło bezładny ogień w kierunku odległych błysków. Bali się strzelać zbyt szybko, ponieważ nawet najlepsze karabiny mogły się zaciąć, gdy były nadmierne rozgrzane. Za wałem było nas szesnastu, wliczając jednego czy dwóch rannych. Przeszkolony w niesieniu pierwszej pomocy Patrick O'Hara, Irlandczyk z Belfastu, biegał tam i z powrotem z paczkami bandażu i opatrywał rannych żołnierzy. Za każdym razem, gdy wracał do reduty, strzelano do niego i nic mu nawet nie pomogły wydawane oburzonym głosem okrzyki „Po-u-m!”.

Zaczęliśmy przetrząsać stanowisko. Tu i ówdzie leżało kilku zabitych, ale nie obszukiwałem ich, poszedłem dalej. Marzyłem o znalezieniu karabinu maszynowego. Kiedy leżałem jeszcze przed nasypem chodziło mi cały czas po głowie pytanie, dlaczego cekaem milczy. Zapaliłem latarkę wewnątrz gniazda karabinu maszynowego. Cóż za gorzkie rozczarowanie! Nie było go tam. Stał trójnog, stało wiele skrzynek z amunicją i z częściami zapasowymi, ale cekaem zniknął. Nic innego tylko rozkręcili go i wynieśli, gdy ogłoszono pierwszy alarm. Nie ulegało wątpliwości, że działali na rozkaz, był to jednakże głupi i tchórzliwy rozkaz, wystarczyło

wszak, żeby karabin pozostał na swoim miejscu, a mogliby nam urządzić krwawą łaźnię. Byliśmy wściekli. Tak bardzo pragnęliśmy zdobyć cekaem.

Poszperaliśmy jeszcze to tu, to tam, ale nic cennego nie udało się nam znaleźć. Dookoła leżało mnóstwo porzrzuconych byle gdzie dość kiepskich faszystowskich granatów, które wybuchały po pociągnięciu za sznurek. Kilka z nich schowałem do kieszeni na pamiątkę. Panująca w wykopach skrajna nędza robiła wrażenie. Takich rzeczy jak części garderoby, książki, żywność, różne osobiste drobiazgi, które zaśmiecały każdy nasz wykop, nie było tu wcale. Ci biedni, nieopłacani rekruci, poza kocami i kilkoma bochenkami zakalcowatego chleba nie mieli chyba nic na własność. Powyżej, w odległym końcu reduty, znajdowała się mała, wystająca nieco ponad poziom gruntu, ziemianka z maleńkimi okienkami. Zaświeciliśmy przez nie latarką i oto nagle zapanowała radość. O ścianę stał oparty jakiś cylindryczny przedmiot w skórzanym pokrowcu, wysoki na ponad jeden metr i o średnicy przekraczającej piętnaście centymetrów. Rzuciliśmy się do wejścia z drugiej strony ziemianki, wpadliśmy do środka i tam okazało się, że w futerale zamiast cekaemu było coś innego, coś co dla naszego ubogiego w broń wojska przedstawiało nawet większą wartość. Był to potężny teleskop, powiększający obraz co najmniej sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt razy, ze składanym statywem. Takich teleskopów nie mieliśmy wcale, chociaż były niezwykle potrzebne. Wynieśliśmy go triumfalnie i oparliśmy o nasyp, skąd miał być później zabrany.

Ktoś naraz krzyknął, że nadchodzą faszyci. Rzeczywiście wzmógł się hałas wystrzałów. Wiadomo było, że nie przeprowadzą kontrataku z prawej strony, gdyż musieliby wówczas przejść przez ziemię niczyją i zdobywać swój własny wał. Jeśliby wykazali choć odrobinę rozsądku, to natarli by na nas z głębi frontu. Obszedłem ziemianki, które były w środku reduty, i znalazłem się po ich drugiej stronie. Całe stanowisko przypominało kształtem końską podkowę, toteż z lewej strony osłaniał nas wał. Z tego właśnie kierunku sypał się grad kul, nie stanowiły one jednak większego zagrożenia. Słaby punkt znajdował się natomiast dokładnie na wprost, gdzie nie byliśmy niczym chronieni. Strumienie pocisków przelatywały tuż nad głowami. Faszyci strzelali najpewniej z

drugiego, dalszego stanowiska położonego na wzniesieniu; chyba więc oddziały szturmowe nie zdobyły go. Tym razem huk był ogłuszający. Moje ucho nawykło już do nieprzerwanego, podobnego do bicia w bębny, łoskotu skoncentrowanego ognia karabinów, który dobiegał z niewielkiej odległości; oto po raz pierwszy znalazłem się w samym środku palby Rozprzestrzeniła się ona teraz wzdłuż linii frontu na odcinku wielu mil. Oparty o nasyp Douglas Thompson strzelał jedną ręką w kierunku błysków, gdy tymczasem druga, zraniona ręką dyndała mu bezwładnie u boku. Karabin dla niego ładował jakiś inny żołnierz, któremu zacięła się jego własna broń.

Było nas czterech lub pięciu po tej stronie. Wiedzieliśmy dobrze co mamy robić. Worki z piaskiem trzeba było przenieść z nasypu na przodzie reduty i ustawić z nich w nieosłoniętym miejscu barykadę. I musieliśmy się spieszyć. Na razie kule faszystów przelatywały wysoko, lecz w każdej chwili mogli oni zacząć strzelać niżej; błyski, których pełno było wokół, pozwoliły mi się zorientować, że nacierało na nas stu albo dwustu żołnierzy. Chwytałyśmy gwałtownie sflaczałe worki, taszczyliśmy je dwadzieścia metrów do przodu i ciskaliśmy bezładnie na kupę. Paskudna praca. Worki te były duże, ważyły po pięćdziesiąt kilogramów i podniesienie takiego przesypującego się ciężaru, pochłaniało całą energię; ponadto przegniły materiał, z którego zostały uszyte, pruł się i mokra ziemia zsypywała się po niosącym, po jego piersiach, po rękach. Nie zapomniałem tych strasznych chwil, tego zamieszania, ciemności, przeraźliwego jazgotu, nieustannego ślizgania się w błocie, zmagania z dziurawymi workami i jeszcze na dodatek ani na moment nie mogłem zdjąć karabinu, który utrudniał ruchy, bałem się bowiem, że go później nie odnajdę. Wrzasnąłem nawet do jakiegoś żołnierza, który wraz ze mną, chwiejnym krokiem, niósł jeden z tych worków: „To jest właśnie wojna! Czyż nie jest mordercza?”. Tymczasem przez wał zaczął niespodziewanie przeskakiwać sznurek wysokich postaci. Kiedy zbliżyły, się dostrzegłem, że mają na sobie mundury oddziałów szturmowych. Powitaliśmy się; przybyły posiłki, pomyślałem. Było ich wszakże tylko czterech, trzech Niemców i jeden Hiszpan. Dowiedzieliśmy się w końcu, jaki los spotkał oddziały szturmowe. Nie znali terenu i poprowadzono ich w ciemnościach w niewłaściwe miejsce, a tam zaplątali się w zasieki faszystów i wielu

z nich zginęło od kul. Ta czwórka zaś pobłądziła i to ich uratowało. Niemcy nie znali w żąb ani angielskiego, ani francuskiego, ani też hiszpańskiego. Nabiedziliśmy się niemało, by, głównie za pomocą gestów, wyjaśnić im co robimy i by nam pomogli w budowaniu barykady.

Faszyści podprowadzili teraz cekaem. Widać go było w odległości stu czy dwustu metrów, jak pluł ogniem niczym fajerwerk; kule przelatywały nad nami z jednostajnym, przenikliwym gwiżdżem. Rzucane przez nas worki wnet utworzyły niski wał i garstka żołnierzy w tej części reduty mogła już położyć się i strzelać pod jego osłoną. Klęknąłem za nimi. Naraz następne zagrożenie — z furkotem przefrunął pocisk z moździerza i rozerwał się gdzieś na ziemi niczyjej; potrzeba jednak było trochę czasu, aby zdołali się wstrzelać. Teraz, kiedy zmagania z tymi przeklętymi worami mieliśmy już poza sobą, sytuacja w zasadzie nie przedstawiała się tak źle; huk, mrok, coraz bliższe błyski i strzelający w ich kierunku nasi żołnierze. Starczyło nawet czasu na rozmyślenia. Pamiętam, jak usiłowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy się boję i stwierdziłem, że nie. Poza redutą, gdzie pewnie groziło mi mniejsze niebezpieczeństwo, byłbym sparaliżowany strachem. Wtem znów ktoś krzyknął, że nadchodzą faszyści. Tym razem nie było już złudzeń, błyski karabinów były tuż tuż. Ledwie dwadzieścia metrów ode mnie roziskrzył się jeden z nich. Posuwali się bez wątpienia okopem komunikacyjnym. Oddaleni byli o dwadzieścia metrów, czyli znajdowali się w polu rażenia granatami; my zaś, w ośmiu czy w dziewięciu, byliśmy zbici w kupkę i wystarczył jeden celnie rzucony granat, aby rozerwało nas na kawałki. Bob Smilkie, któremu z małej remy na twarzy ciekła krew, zerwał się na kolana i rzucił granat. Przyłgnęliśmy do ziemi czekając na huk. Jego zapalnik syczał i jarzył się na czerwono, szybując w powietrzu, lecz wybuch nie nastąpił. (Co najmniej jedna czwarta z tych granatów okazywała się niewypałami). Mnie pozostały już tylko granaty faszystów, cóż z tego, skoro nie wiedziałem, jak się nimi posługiwać. Krzyknąłem do reszty żołnierzy w nadziei, że ktoś mi pożyczycy jeden granat, Douglas Moyle sięgnął do kieszeni i podał mi swój. Rzuciłem go i padłem na twarz. Tylko niesłychanemu szczęściu, takiemu które uśmiecha się do człowieka

czasami jedynie raz w roku, mogę przypisać, że udało mi się trafić nieomal dokładnie w miejsce, gdzie błysnął wystrzał karabinowy. Nastąpił grzmot wybuchu i zaraz po nim rozległy się wycia i jęki. Tak czy owak jeden z nich musiał dostać; może zginął, może nie, lecz bez wątplenia był ciężko ranny. Nieszczęśnik! Serce mi się krajało, gdy słyszałem jego krzyki. W tej samej chwili, w mdłym świetle wystrzału, zobaczyłem, albo zdawało mi się, że zobaczyłem, jakąś sylwetkę, która stała nieopodal miejsca, gdzie mignął błysk. Uniosłem karabin i wypaliłem. I znów krzyk, nie jestem jednak pewien, czy nie był to ciągle ten sam krzyk, spowodowany wybuchem granatu. Następne błyski, jakie widzieliśmy, były już oddalone o co najmniej sto metrów. Udało się zatem ich odeprzeć, przynajmniej na razie.

Wszyscy przeklinali na czym świat stoi nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie wysłano nam posiłków. Wystarczył przecież jeden erkaem, bądź dwudziestu ludzi ze sprawnymi karabinami i moglibyśmy utrzymać to miejsce, nawet gdyby nacierał batalion. Raptem Paddy Donovan, zastępca Benjamina, którego wysłano po rozkazy, przeskoczył wał.

— Czołem! Wyłazić! Wycofujemy się natychmiast!

— Co?

— Odwrót! Wyłażcie!

— Dlaczego?

— Takie są rozkazy. Wszyscy, co sił w nogach, wracamy na nasze pozycje.

Żołnierze już przechodzili przez przedni nasyp. Kilku dźwigało ciężkie skrzynki z amunicją. Myśl moja pobiegła w kierunku teleskopu opartego o wał po drugiej stronie reduty. W tej chwili dostrzegłem jednak czterech żołnierzy z oddziałów szturmowych, którzy, jak przypuszczam, stosując się do jakichś zagadkowych, wcześniej wydanych rozkazów, znikali właśnie w okopie komunikacyjnym, prowadzącym do innego stanowiska faszystów. Gdyby tam dotarli, czekała ich pewna śmierć. Sylwetki tych żołnierzy rozmazywały się już w ciemnościach. Ruszyłem za nimi próbując sobie przypomnieć, jak jest po hiszpańsku „odwrót”; w końcu zacząłem krzyczeć *Atras! Atras!*, co chyba znaczy to samo. W każdym razie był wśród nich Hiszpan, który zrozumiał i zawrócił

resztę. Na nasypie czekał Paddy.

— Pośpiesz się, pośpiesz.

— A co z teleskopem!

— Co tam teleskop! Benjamin czeka za walem.

Przeleźliśmy przez nasyp, Paddy rozchylił dla mnie druty. Opuszczenie faszystowskich umocnień, które stanowiły dobrą osłonę, oznaczało wejście pod piekielny grad nadlatujących kul, jak się zdawało, ze wszystkich kierunków. Jestem pewien, że część z nich pochodziła z naszych stanowisk, strzelano bowiem wzdłuż całej linii frontu. Gdziekolwiek skręciliśmy, mknął za nami następny rój kul, przepędzając nas w mroku jak stado owiec ku coraz to nowym szlakom. Pochód opóźniały zdobyczne skrzynki z amunicją — jedna skrzynka zawierała 1750 naboí i ważyła około pięćdziesięciu kilogramów — poza tym skrzynka z granatami i kilka karabinów. Choć minęło ledwie parę minut, a odległość między wałami wynosiła mniej niż dwieście metrów i znaliśmy teren, to jednak pobiłdaliśmy. Ślizgając się po błotnistym polu zatraciliśmy wszelkie poczucie kierunku, wiadomo było jedynie, że pociski nadlatują z obydwu stron. Według księżyca nie mogliśmy iść, bo się nie pojawił, za to niebo stało się jaśniejsze. Nasze pozycje leżały na wschód od Huesca; uważałem, że lepiej nie ruszać się z miejsca, póki pierwszy brzask nie wskaże nam, gdzie wschód a gdzie zachód; inni wszelako byli odmiennego zdania. Brnęliśmy zatem dalej, tracąc równowagę na śliskim gruncie i kilkakrotnie wybieraliśmy nową drogę, luzując wtedy niosących skrzynki z nabojami. Wreszcie zamajaczyły nam przed oczami niskie, spłaszczone kontury wału fortyfikacyjnego. Nie było tylko wiadomo, czy wał jest nasz, czy faszystów; nie mieliśmy zielonego pojęcia, gdzie się znajdujemy. Benjamin przeczołgał się na brzuchu przez jakieś wysokie białawe zielsko i spróbował wywołać wartownika. Odpowiedział mu okrzyk „Poum!”. Zerwaliśmy się z ziemi i ruszyliśmy odnalezioną drogą wzdłuż wału — jeszcze tylko przeprawa przez pełny wody rów irygacyjny — chlup-chlup! — i już byliśmy bezpieczni.

Kopp wraz z kilkoma Hiszpanami oczekiwał nas po drugiej stronie nasypu. Lekarza i noszy już nie było. Okazało się, że wszyscy ranni znajdowali się na miejscu, brakowało tylko Jorgego i jednego żołnierza z naszej angielskiej grupy o nazwisku Hiddle-

stone. Kopp miał bladą twarz i nerwowo przechadzał się tam i z powrotem. Poblady nawet fałdy tłuszczu na jego karku. Nie zwracał w ogóle uwagi na deszcz kul przelatujących nad niskim nasypem i gwizdających mu koło głowy. Większość z nas natomiast przykucnęła chroniąc się za wałem. Jorge! Cogno! Jorge! — pomrukiwał Kopp. Za chwilę wymamrotał po angielsku: „Jeśli Jorgemu coś się stało, to strasne, strasne!” Jorge był jego bliskim przyjacielem, a poza tym najlepszym oficerem. Chwilę później, zwrócił się do nas z pytaniem, czy znajdzie się pięciu ochotników, dwóch Anglików i trzech Hiszpanów, którzy by poszli poszukać zaginionych. Zgłosił się Moyle, zgłosiłem się ja i jeszcze trzech Hiszpanów.

Gdyśmy tylko wyruszyli, Hiszpanie zaczęli szeptać, że robi się niebezpiecznie jasno. Rzeczywiście: niebo już siniało. Z faszystowskiej reduty rozchodził się donośny gwar podniesionych głosów. Musieli najwidoczniej ponownie zająć to miejsce wysyłając tym razem liczniejsze siły. Zbliżyliśmy się na odległość sześćdziesięciu, czy siedemdziesięciu metrów do wału i wówczas chyba nas zauważono bądź usłyszano, gruchnęła bowiem nagle potężna salwa, a my padliśmy na twarze. Ktoś zza nasypu rzucił granat — oczywisty objaw paniki. Leżeliśmy w trawie wyczekując na dogodny moment, aby posuwać się dalej, gdy tymczasem albo usłyszeliśmy, albo nam się tylko tak wydawało — nie mam teraz wątpliwości, że był to wytwór wyobraźni, ale wtedy sądziłem inaczej — iż głosy faszystów dochodzą z dużo mniejszej odległości. Przeszli przez nasyp i ruszyli na nas. Uciekać! — wrzasnąłem do Moyle'a i poderwałem się z ziemi. Mój Boże, ależ uciekałem! A przecież jeszcze trochę wcześniej, jeszcze tej samej nocy byłem przekonany, że człowiek przemoczony do suchej nitki, objuczony karabinem i nabojami, nie jest w stanie biec; teraz już wiedziałem, że ktoś przeświadczony, iż ma na karku pięćdziesięciu lub stu uzbrojonych żołnierzy, z a w s z e może biec. Pędziłem szybko, ale inni jeszcze szybciej. Gdy tak gnałem bez tchu coś przemknęło obok mnie, coś co musiało najpewniej być deszczem meteorytów. To byli trzej Hiszpanie, którzy, kiedyśmy leżeli, znajdowali się z przodu. Nawet nasz własny wał fortyfikacyjny nie zdołał ich zatrzymać, ja natomiast nie starałem się ich dogonić. Cały ten wyścig brał się

stąd, że byliśmy kłębkim nerwów. Jeśli jednego człowieka trudno dostrzec w półmroku, to pięciu jest już widocznych. Wiedząc o tym zawróciłem samotnie. Udało mi się dotrzeć do zewnętrznych zasieków i możliwie jak najdokładniej przeczesać teren, co nie było takie proste, leżałem bowiem na brzuchu. Żadnego śladu po Jorge i Hiddlestone nie znalazłem. Wyruszyłem zatem w powrotną drogę czołgając się. Później się wyjaśniło, że zarówno Jorgego, jak i Hiddlestone'a zabrano wcześniej do punktu opatrunkowego. Jorge miał niegroźnie skaleczone plecy. Hiddlestone natomiast otrzymał ciężką ranę: pocisk przeszedł mu wzdłuż lewego ramienia i zgruchotał kość w kilku miejscach; poza tym, gdy leżał bezradnie na ziemi wybuchnął obok niego granat, powodując dalsze obrażenia. Z radością donoszę, że wyzdrowiał. Jak mi później wyznał, część drogi przebył czołgając się na plecach, a potem natknąwszy się na jakiegoś rannego Hiszpana, wrócił z nim razem przy wzajemnej pomocy.

Dniało. Wzdłuż całego frontu, w promieniu wielu mil, po-brzmiewały grzmoty wystrzałów, których znaczenie nie większe było od deszczyku padającego zwykle po burzy. Moja pamięć przechowała przygnębiający obrazek: połacie grzędawisk, topole ociekające kroplami deszczu jak łzami, żółta woda na dnice okopów; i wyczerpane twarze żołnierzy, nieogolone, upstrzone błotem, poczerniałe po oczy od dymu. Wróciłem do swojego wykopu, a tam trzech żołnierze — moi współmieszkańcy — zwalili się z nóg i sen zmorzył ich błyskawicznie. Padli na ziemię tak jak stali, w pełnym rynsztunku, kurczowo ściskając ubłocone bagnety. Wilgoć była wszędzie, zarówno w wykopie, jak i na zewnątrz niego. Szczęściem, po długich poszukiwaniach, znalazłem suche drzazgi, tyle akurat, że wystarczyło na rozpalenie malutkiego ogniska. A potem zapaliłem cygaro, mój ukrywany skarb, który co najdziwniejsze, nie połamał się owej nocy.

Dowiedzieliśmy się później, że nasza akcja okazała się poniekąd sukcesem. Był to najzwyczajniejszy wypad dla ściągnięcia na siebie uwagi faszystowskich oddziałów z drugiej strony Huesca, gdzie ponawiali swoje natarcia anarchiści. Kontratakując, faszyci rzucili przeciw nam, jak oceniałem, stu albo dwustu żołnierzy. Dowiedzieliśmy się wszakże później, z ust pewnego dezertera, że było

ich sześciuset. Chyba jednak łągał — dezerterzy, z oczywistych względów, często pragną się przypochlebić. Szkoda było tylko teleskopu. Myśl o zaprzepaszczeniu tego wspaniałego łupu nie daje mi spokoju nawet dzisiaj.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dni stały się cieplejsze, a nawet i w ciągu nocy temperatury były znośne. Na okaleczonym kulami drzewie, które rosło przed naszym wałem wysypały się grube kiście wiśni. Kąpiel w strumieniu nie wywoływała już agonalnych drgawek, była niemalże przyjemnością. Wokół Torre Fabian, nad lejami po kulach armatnich, wybijały dzikie róże o wielkich jak spodki, czerwonych kwiatach. W pobliżu frontu można było spotkać chłopów z dzikimi różami wsadzonymi za uszy. Wyprawiali się oni co wieczór z zielonymi sieciami na przepiórki. Polowanie na te ptaki przebiegało następująco: należało najpierw rozpiąć sieć ponad źdźbłami traw, potem trzeba było się położyć i naśladować głos samicy; jeśli jakiś samiec w okolicy usłyszał te dźwięki, biegł wówczas w ich kierunku i kiedy był już pod siecią, rzucało się kamień, aby go przestraszyć; wzbijał się wtedy w powietrze, zaplątując w sieć. Łapały się jednak tylko samce, co wydawało mi się niesprawiedliwe.

Mieliśmy teraz na Unii frontu obok siebie grupę Andaluzyjczyków. Nie bardzo wiem skąd się tutaj wzięli. Mówiło się wówczas, że uciekli z Malagi i to w takim popłochu, iż przeoczyli Walencję, gdzie się mieli zatrzymać; tak — rzecz jasna — utrzymywali Katalończycy, którzy spoglądali na nich jak na półdzikusów. W rzeczy samej nie byli oni rozgarnięci. Być może paru z nich umiało czytać, choć i to nie jest pewne, i chyba nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, o czym wiedziało w Hiszpanii każde dziecko — do jakiej mianowicie należą paitii. Sądziło, że są anarchistami, ale nie byli

o tym do końca przekonani; nie należało również wykluczać ich przynależności do komunistów. Mieli sękaty paluchy, wiejskie rysy, i musieli być pastuchami albo też wyrobnikami w gajach oliwnych. Ich twarze były spalone ostrym słońcem dalekiego południa. Tym niemniej okazali się dla nas bardzo przydatni, posiadli bowiem niepospolitą umiejętność zręcznego skręcania papierosów z wysuszonego hiszpańskiego tytoniu. Papierosów już nie wydawano, jednakże udawało się niekiedy kupić w Monflorite paczkę najtańszego gatunku tytoniu, który wyglądem i konsystencją przypominał krajaną sieczkę, wydzieliał on raczej znośny aromat, ale był tak suchy, że gdy nawet skręcenie papierosa się powiodło, to i tak tytoń zaraz z niego wypadał, a w ręku pozostawała pusta tutka. A jednak Andaluzyjczycy potrafili zwinąć przedniego papierosa i opanowali poza tym specjalną technikę zawijania jego końców.

Udar słoneczny ściał z nóg dwóch Anglików, Z owego okresu szczególnie utkwily mi w pamięci — skwarne słońce w południe i znojna praca przy noszeniu worków z piaskiem, które raniły złuszczone od lejącego się z nieba żaru plecy; zawszone ubrania oraz rozpadające się, dosłownie na kawałki, buty; wysiłki, aby udobruchać muły, które dźwigały na grzbietach nasz prowiant i którym nie przeszkadzał ogień karabinowy, ale płoszyły się, gdy w powietrzu rozerwał się szrapnel; i wreszcie komary (właśnie nadeszła ich pora), i szczury — plaga szczurów, które pożerały nawet skórzane pasy i ładownice. Poza tym, na froncie nie działo się prawie nic, jedynie od czasu do czasu ktoś został trafiony kulą snajpera. Niekiedy strzelała artyleria i dokonywano nalotów na Huesca. Teraz, kiedy drzewa okryły się gęstymi liśćmi, zbudowaliśmy na topolach, które rosły przy linii okopów, platformy dla snajperów podobne do myśliwskich ambon. Po drugiej strony Huesca ataki ustawały. Anarchiści ponieśli ciężkie straty i nie udało im się uzyskać pełnej kontroli nad drogą do Jaca. Usadowili się co prawda po obydwu jej stronach i mogli z niedużej odległości ostrzeliwać ją z karabinów maszynowych tak, że paraliżowali na niej wszelki ruch pojazdów. Cóż z tego jednak, skoro dystans dzielący naprzeciwległe pozycje anarchistów wynosił jeden kilometr i faszyci przekopali wzdłuż drogi wąwóz — coś w rodzaju poszerzonego i pogłębionego okopu — którym przejeżdżały ciężarówki. Jak wynikało z relacji

dezerterów, w Huesca zgromadzono co niemiara środków bojowych, zapasy żywności były natomiast skromne. Tyle, że nie zanosilo się na zdobycie tego miasta. Być może piętnaście tysięcy źle uzbrojonych żołnierzy nie było w stanie przesądzić o jego upadku. Ale przecież później, w czerwcu, rząd ściągnął oddziały z madryckiego frontu i liczba oblegających Huesca wzrosła do trzydziestu tysięcy, mimo to miasto broniło się nadal.

Kiedy dostaliśmy przepustki miałem za sobą sto piętnaście dni pobytu na froncie, jak wówczas sądziłem, sto piętnaście najbardziej zmarnowanych dni w ciągu całego mojego życia. Wstąpiłem do milicji, aby walczyć z faszyzmem, gdy tymczasem, do owej chwili, ledwie powąchałem prochu. Byłem najzwyklejszym „figurantem”, który nawet nie kiwnął palcem w zamian za otrzymywane racje żywnościowe, chyba, że uwzględni się cierpienia spowodowane zimnem i brakiem snu. Być może taki już jest los większości żołnierzy podczas większości wojen. Dzisiaj jednak, patrząc na tamten okres z perspektywy czasu, jawi mi się on inaczej, już nie tak żałośnie. Oczywiście, boleję nad tym, że rząd hiszpański miał ze mnie niewielki pożytek, wszelako z mojego punktu widzenia — z punktu widzenia ewolucji własnych poglądów — przyznać muszę, iż owe pierwsze trzy albo cztery miesiące na froncie, okazały się mniej stracone niż pierwotnie sądziłem. Był ów okres pewnego rodzaju przełomem w moim życiu, był nowym doświadczeniem, zupełnie odmiennym od wszystkiego co wcześniej przeżyłem i pewnie też odmiennym od tego co mnie jeszcze czeka. Wyniosłem z niego naukę, której w inny sposób nie mógłbym otrzymać.

Przede wszystkim byłem odcięty od reszty świata — każdy na froncie był niemal zupełnie pozbawiony jakichkolwiek wiadomości z zewnątrz: nawet o wydarzeniach w Barcelonie dochodziły jedynie mętne wieści i cały czas upływał mi wśród ludzi, których określano, może nie nazbyt precyzyjnie, jako rewolucjonistów. Przyczyny tego stanu rzeczy leżały w zasadach organizacyjnych milicji, obowiązujących na aragońskim froncie nieprzerwanie, bez żadnych gruntownych zmian, mniej więcej aż do czerwca 1937 roku. Oparcie milicji robotniczych na związkach zawodowych i fakt, że zrzeszały one ludzi o podobnych zapatrywaniach politycznych spowodowało, iż w jednym miejscu doszło do skupienia się wszystkich

najbardziej rewolucyjnych idei w całym kraju. Trafiłem trochę przez przypadek do nie mającej odpowiednika w zachodniej Europie społeczności, wśród której polityczna świadomość, w odróżnieniu od jej braku, oraz niewiara w kapitalizm, w odróżnieniu od zaufania do tej ideologii — były czymś naturalnym. Tutaj, na aragońskim froncie, otaczały człowieka dziesiątki tysięcy ludzi, w większości — choć nie tylko — pochodzenia robotniczego, żyjących w takich samych warunkach i obcujących ze sobą na zasadach równości. Teoretycznie osiągnięto równość doskonałą, w praktyce również bardzo się do niej zbliżono. Można by rzec, iż miało się przedsmak socjalizmu, przez co rozumiem, że większość umysłów była owładnięta ideami socjalistycznymi. Wiele postaw życiowych charakterystycznych dla rozwiniętych społeczeństw, takich jak snobizm, pogoń za pieniędzmi, lęk przed przełożonymi, przestało tutaj w naturalny sposób istnieć. Zatarły się zwykłe podziały klasowe i to w stopniu prawie niewyobrażalnym dla mieszkańca zdeprawowanej przez pieniądz Anglii; byli tylko chłopi i byliśmy my, i nikt nie był niczym panem. Rozumie się, że taka sytuacja nie mogła utrzymywać się wiecznie, że był to po prostu stan — przejściowy i o lokalnym znaczeniu — w grze o wysoką stawkę, która toczy się na całym świecie. Trwał on jednakże na tyle długo, że zdążył odcisnąć piętno na każdym, kto w nim uczestniczył. Choć niejeden miał wówczas przekleństwa, to przychodziła wszakże później chwila, kiedy ten i ów zdawał sobie sprawę z tego, że zetknął się z czymś niezwykle cennym. Należało się do społeczności, dla której życie nadzieją było bardziej naturalne niż skłonność do apatii i cynizmu, i dla której słowo „towarzysz” oznaczało braterstwo, a nie jak w większości krajów — oszustwo. Oddychało się atmosferą równości. Wiem doskonale, że stały się teraz modne opinie, jakoby socjalizm nie miał nic wspólnego z równością. Na całym świecie zastępy partyjnych karierowiczów i niewydarzonych profesorów pochłonięte są „udowadnianiem”, że socjalizm to nic innego tylko planowy kapitalizm państwowy, w którym nadal istnieje wyzysk; na szczęście jest jeszcze zupełnie odmienna wizja tej ideologii. „Duszą” socjalizmu, powodem, dla którego lgną do niego zwykli śmiertelnicy, gotowi za socjalizm nadstawić karku, okazuje się idea równości. Dla ogromnej większości ludzi socjalizm oznacza

bezklasowe społeczeństwo, albo w ogóle nie oznacza nic. I dlatego właśnie, te parę zaledwie miesięcy spędzonych na służbie w milicji miały dla mnie tak duże znaczenie. Milicje były bowiem, póki ich nie zlikwidowano, czymś w rodzaju mikrokosmosu, w którym istniało bezklasowe społeczeństwo. Były wspólnotą, gdzie nikt nie gonił za zyskiem, gdzie, mimo, że brakowało wszystkiego, nie było płaszczenia się i przywilejów. Były też miejscem, gdzie każdy widział na własne oczy, chociażby w ogólnych zarysach, jak mogą wyglądać pierwsze etapy socjalizmu. I co tu dużo mówić, pomimo rozczarowań, ta wizja mnie porwała. Zapragnąłem tedy mocno ujrzeć socjalizm o wiele bardziej niż dotąd urzeczywistniony. Być może stało się tak dlatego, że szczęśliwym trafem znalazłem się wśród Hiszpanów, którzy, dzięki wrodzonej przyzwoitości, doprawionej zawsze szczyptą anarchizmu, mogliby sprawić — gdyby taką możliwość mieli — że nawet pierwsze etapy socjalizmu stałyby się znośne.

Rzecz jasna, nie bardzo zdawałem sobie w owym czasie sprawy ze zmian, jakim ulegały moje poglądy. Jak wszyscy wokół mnie, tak i ja zwracałem uwagę przede wszystkim na nudę, gorąco, zimno, brud, wszy, niedostatki i, od czasu do czasu, na grożące niebezpieczeństwo. Teraz wszystko widzę inaczej. Tamten okres — tak bezowocny i pozbawiony wydarzeń dużej wagi, jak wówczas sądziłem — jawi mi się obecnie, jako niezwykle ważny. W żaden sposób nie przypomina on czegokolwiek z mojego dotychczasowego życia. Nabrały owe chwile zagadkowych właściwości charakterystycznych dla najgłębszych pokładów pamięci, zapełnionych wiele lat temu. Jakże okropne były te wydarzenia, kiedy się dokonywały, i jakże chętnie teraz do nich wracam myślą. Szkoda, że nie mogę w pełni oddać atmosfery tamtych dni. Być może udało mi się to poniekąd zrobić we wcześniejszych rozdziałach tej książki. Moje myśli uparcie krążą wokół zimowego chłodu, obdartych mundurów żołnierzy milicji, owalnych twarzy Hiszpanów, karabinów maszynowych stukających niczym telegraf nadający alfabetem Morse'a, woni moczu i gnijącego chleba, blaszanego smaku gulaszu z fasolą, pożeranego z wilczym apetytem z niedomytych misek.

Cały tamten okres utrwalił mi się w pamięci z zadziwiającą ostrością. Wszelako w moich wspomnieniach przechowały się tylko

pojedyncze zdarzenia, na tyle drobne, że mam wątpliwości, czy warto po nie teraz sięgać. Oto — leżę w wykopie w Monte Pocero, na wapiennym występie skalnym, który służy jako łóżko, a młody Ramon wcisnąwszy nos między moje łopatki, chrapie. Idę otulony mgłą niczym kłębam zimnej pary i wpadam do błotnistego okopu. Wspinam się żlebem, aby wyrwać korzeń dzikiego rozmarynu, i walczę o utrzymanie równowagi. Wysoko nad głową śpiewają przypadkowe pociski.

Leżę ukryty wśród małych jodełek na nizinie, na zachód od Monte Oscuro, a przy mnie są trzej Hiszpanie, Kopp i Bob Edwards. Na prawo od nas wspina się na nagą, szarą górę rząd faszystów podobnych do mrówek. Opodal, w przedzie, faszystowskie pozycje. Rozbrzmiewa stamtąd sygnał trąbki. Kopp łowi moje spojrzenie i w sztubackim geście gra na nosie w kierunku dochodzących dźwięków.

A teraz La Granja: rozmokły podwórzec, stoję w tłumie, który oblepił kocioł z gulaszem, a żołnierze przepychają się z blaszanymi miskami. Tęgi kucharz o zniekanej twarzy opędza się przed nimi chochlą. W pobliżu, przy stole, jakiś brodac z przytroczonym do pasa okazałym pistoletem automatycznym kraje bochenki chleba na pięć części. Za moimi plecami ktoś z podmiejskim londyńskim akcentem (to Bob Chamber, z którym sprzeczałem się nielecho i który później poległ na przedpolach Huesca) wyśpiewuje:

*Gonią szczury, szczury,
Szczury jak kocury,
W ...*

Z rykiem nadlatuje pocisk artyleryjski. Piętnastoletni chłopcy przylegają twarzami do ziemi. Kucharz umyka za kocioł. Wybuch następuje w odległości stu metrów i wszyscy podnoszą się ze zbaraniałymi minami. Przechadzam się tam i z powrotem pod konarami topoli wzdłuż posterunków wartowniczych. Przed naszymi umocnieniami, w przepelnionych wodą rowach, baraszkują szczury, hałasując niczym wydry. Z tyłu, za naszymi pozycjami, wstaje żółty świt i zakutany w szynel andaluzyjski wartownik zaczyna śpiewać. Naprzeciw, za ziemią niczyją, w odległości stu, bądź dwustu metrów, słyhać wartownika faszystów, on również śpiewa.

25 kwietnia, jak zwykle po wielu *manana*, zluzował nas inny

oddział. Przekazaliśmy karabiny, spakowaliśmy tornistry i nastąpił wymarsz z powrotem do Monfiorite. Nie było mi żal opuszczać frontu. Wszy rozmnażały się szybciej aniżeli nadążyłem je zabijać, już od miesiąca nie miałem skarpetek, a w moich butach pozostały resztki podeszw i stąpałem po ziemi nieomal bosymi stopami. Marzyłem o gorącej kąpieli i o nocy w pościeli tak bardzo, że nie sędzę, aby ktoś prowadzący normalne, cywilizowane życie mógł czegokolwiek równie mocno pożądać. Po kilku godzinach snu w stodole w Monfiorite załadowaliśmy się po północy na ciężarówkę. Następnie, w Barbastro wsiedliśmy do odchodzącego o godzinie piątej pociągu, i — a szczęście nam dopisało, gdyż udało się o trzeciej po południu złapać w Leridzie pociąg pospieszny — 26 kwietnia, przyjechaliśmy do Barcelony. I wtedy zaczęły się kłopoty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z Mandalay w Górnej Birmie, do Maymyo, położonej w górach na krawędzi płaskowyżu Shan, głównej stacji prowincji, można dojechać pociągiem. Prawdę powiedziawszy, jest to niezwykle przeżycie. Wyruszając w tę podróż zabiera się ze sobą, że tak powiem, do przedziału kolejowego nienaruszony kawałek dalekowschodniego miasta, kawałek jego atmosfery, do której się przywykło: pałace słońce, zakurzone palmy, zapach ryb, korzeni i czosnku, mięsiste tropikalne owoce i mrowie istot o czarnych twarzach. Kiedy pociąg zatrzymuje się w Maymyo, około tysiąc dwieście metrów ponad poziomem morza, myśli ciągle jeszcze pozostają w Mandalay. Wsiadając jednak z wagonu stawia się stopę na innej półkuli. Nagle do płuc wdziera się zimne, słodkie, podobne do angielskiego powietrze, dookoła natomiast rośnie zielona trawa, duże paprocie, jodły i różowolice góralki sprzedają kosze truskawek.

Moja pamięć przywołała ten obrazek, kiedy wróciłem do Barcelony po trzech i pół miesiąca pobytu na froncie. Taka sama nagła i zaskakująca zmiana. Przez całą drogę do Barcelony panowała w pociągu frontowa atmosfera: brud, hałas, niewygoda, potargana odzież, świadomość niedoborów, braterstwo i równość. Kiedy wyruszyliśmy z Barbastro przedziały były już wypełnione, ale wzdłuż całej trasy, na każdej stacji, wciskało się do nich coraz więcej wieśniaków; wsiadali z wiązkami Warzyw, z okropnymi ptaszyskami, które trzymali głową w dół, z workami, które uganiały się po podłodze, gdzie tylko się dało, i wiły się jak w konwulsjach, były w nich bowiem żywe króliki — i jeszcze na dodatek wpędzono do

przedziałów niemałe stado owiec, które wcisnęły się w każdą wolną przestrzeń. Żołnierze śpiewali na całe gardło rewolucyjne pieśni, zagłuszone stukotem pociągu, posyłali całusy i machali czerwono-czarnymi chustami w kierunku wszystkich, napotkanych na drodze, ładnych dziewcząt. Z ręki do ręki krążyły butelki wina i anisu, wstrętnego aragońskiego likieru. Dzięki zrobionym z kozłej skóry butelkom można było siknąć przez cały przedział stróżką wina wprost do ust kolegi, co oszczędzało wiele zachodu. Obok mnie jakiś czarnooki piętnastolatek opowiadał sensacyjną i bez wątpienia całkowicie zmyśloną historyjkę o swoich wyczynach na froncie, a dwóch starych wieśniaków, których twarze pokryte były bruzdami, słuchało go rozdziawiając usta. Niezadługo chłopci rozwinęli swoje tobołki i zaczęli częstować nas lepkiem ciemnoczerwonym winem. Nie potrafię nawet opisać, jak bardzo byliśmy szczęśliwi. Pociąg jednak przetoczył się przez Sabadell i wjechał do Barcelony, a tam klimat dla nas i dla takich jak my okazał się nie wiele mniej surowy i wrogi, niż gdybyśmy nagle znaleźli się w Paryżu bądź w Londynie.

Ktokolwiek, po kilkumiesięcznej nieobecności, odwiedziłby ponownie Barcelonę w czasie wojny, temu rzuciłyby się w oczy ogromne zmiany. I co najdziwniejsze, opinie przybyszów, bez względu na to, czy byli oni w tym mieście najpierw w sierpniu, a potem w styczniu, czy też jak ja — w grudniu, a następnie w kwietniu, sprowadzały się zawsze do tego samego stwierdzenia: rewolucyjne nastroje ulotniły się. Każdy, kto przyjechał tam w sierpniu, kiedy krew na ulicach ledwie zdążyła zakrzepnąć a milicja kwaterowała w eleganckich-hotelach, już w grudniu odniósłby niechybnie wrażenie, że Barcelona jest burżuazyjna. Dla mnie, przybysza prosto z Anglii, stolica Katalonii była w większym stopniu robotniczym miastem niż się tego spodziewałem. Teraz czas się cofnął. Barcelona znów odzyskała swój dawny, pospolity wygląd, może tylko gdzieniegdzie dostrzegało się na murach ślady wojny, jednakże zewnętrznych oznak panowania klasy robotniczej już nie było.

Tłum zmienił się nie do poznania. Milicyjne mundury i niebieskie kombinezony nieomal zniknęły. Na ulicach przeważały zwykowne letnie ubrania, specjalność hiszpańskich krawców. Gdzie tylko spojrzeć, widziało się dobrze sytuowanych panów z brzu-

szkami, eleganckie kobiety i lśniące samochody. (Co prawda nadal obowiązywał zakaz posiadania prywatnych samochodów, lecz nie dotyczył on ludzi, którzy byli „kimś”.) Kiedy wyjeżdżałem z Barcelony napotkanie oficera nowej Armii Republikańskiej należało do rzadkości, teraz pojawiło się ich nadspodziewanie dużo; na dziesięciu żołnierzy przypada obecnie jeden oficer. Część kadry dowódczej służyła w milicji i była na froncie, skąd kierowano ją na przeszkolenie. Większość jednak stanowili młodzi mężczyźni, którzy woleli wstąpić do Szkoły Wojennej niż do milicji. Aczkolwiek stosunek tych oficerów do swoich podwładnych był nieco inny niż w burżuazyjnym wojsku, niemniej różnice w umundurowaniu i w wysokości żołdu stawiały ich niezaprzeczalnie wyżej w hierarchii społecznej od zwykłych żołnierzy. Jeśli ci ostatni chodzili w grubych brązowych kombinezonach, to kadra nosiła eleganckie, wcięte w pasie mundury koloru khaki, nieco przypominające uniformy oficerskie w angielskiej armii. Śmiem wątpić, czy jeden na dwudziestu spośród nich był już na froncie, wszelako nosili przy boku pistolety automatyczne, których my, walczący na pierwszej linii, nie mogliśmy zdobyć za nic na świecie. Kiedy szliśmy ulicą zwróciłem uwagę, że nasz zaniedbany wygląd przyciąga wzrok przechodniów. Oczywiście, jak wszyscy żołnierze, którzy spędzili kilka miesięcy na froncie, prezentowaliśmy się żałośnie. Zdawałem sobie sprawę, że przypominam stracha na wróble. Skórzaną kurtkę miałem w łachmanach, wełniana czapka rozciągnęła się i nieustannie zsuwała mi się na jedno oko, z butów pozostały w zasadzie tylko powykręcane cholewki. Pozostali żołnierze wyglądali mniej więcej podobnie, poza tym byliśmy jeszcze brudni i nieogoleni, nic więc dziwnego, że ludzie gapili się na nas. Pakt ten jednak zaniepokoił mnie nieco i zacząłem pojmować, iż w ciągu ostatnich trzech miesięcy wydarzyło się coś niezwykłego.

Przez następnych kilka dni miałem okazję przekonać się na podstawie wielu oznak, że nie myliłem się w swoich pierwszych ocenach. W mieście zaszły ogromne zmiany. Dwie spośród nich szczególnie rzucały się w oczy: wyraźnie zmalało zainteresowanie cywilnych mieszkańców wojną oraz wróciły dawne podziały społeczne na biednych i bogatych — na klasy niższe i wyższe.

Powszechna obojętność wobec wojny była zaskakująca i prawdę

powiedziawszy, wywoływała uczucie rozgoryczenia. Budziła ona również zdumienie wśród ludzi przyjeżdżających do Barcelony z Madrytu, a nawet z Walencji. Jedną z przyczyn tego było to, że Barcelona znajdowała się z dala od pól bitewnych; podobne objawy zaobserwowałem miesiąc później w Tarragonie, schłodnym nadmorskim mieście, gdzie płynęło zgoła niczym nie zakłócone, normalne życie. Począwszy jednakże od stycznia w całej Hiszpanii zmałał, co znamienne, ochotniczy zaciąg do wojska. Chociaż w lutym, w Barcelonie, pierwszemu dużemu naborowi do Armii Republikańskiej towarzyszyła fala entuzjazmu, niemniej liczba żołnierzy nie powiększyła się znacząco. Mimo, że wojna trwała dopiero mniej więcej sześć miesięcy, rząd hiszpański został już zmuszony do przywrócenia obowiązkowego poboru, który, co prawda, jest rzeczą naturalną podczas wojny przeciwko innemu państwu, wszelako w warunkach wojny domowej wydaje się czymś niezwykłym. Niewątpliwie, powodem takiej sytuacji było rozczarowanie: nadzieje na rewolucję, które zagościły w ludzkich sercach w chwili wybuchu wojny, nie spełniły się. Zorganizowani w oddziałach milicji członkowie związków zawodowych, w przekonaniu, że walczą o władzę klasy robotniczej, przepędzili faszystów w ciągu pierwszych kilku miesięcy wojny do Saragossy, Tymczasem, zaczynało być coraz bardziej jasne, że rządy robotnicze są sprawą przegraną. Trudno zatem wobec tych okoliczności obwiniać zwykłych ludzi — a szczególnie miejski proletariat, czyli tych, z których podczas wszystkich wojen składają się żołnierskie szeregi — o skłonności do apatii. Widać to było na każdym kroku. Wszędzie słyszało się te same pytania: „Prawda, że ta wojna jest okropna? Kiedy się ona wreszcie skończy?” Zorientowani w sprawach politycznych ludzie bardziej zwracali uwagę na mordercze rozgrywki pomiędzy anarchistami i komunistami niż na walkę z Franco. Dla mas najważniejszą sprawą były niedobory żywności. Tak zwany front jawił się jako mityczne, odległe miejsce, gdzie znikala młodzież, albo pozostając tam na zawsze, albo też wracając po upływie trzech bądź czterech miesięcy z kieszeniami pełnymi pieniędzy. (Żołd dla żołnierzy milicji wypłacano zwykle z dołu, dopiero gdy szli na przepustkę.) Ranni, nawet ci kuśtykający o kulach, nie byli darzeni jakimś szczególnym zainteresowaniem. Przynależność do

milicji wyszła z mody. Widać to było w sklepach, które są najlepszymi barometrami panujących gustów. Mimo, że podczas mojego pierwszego pobytu w Barcelonie były one nędznie zaopatrzone i w opłakanym stanie, to jednak ekwipunek dla żołnierzy milicji stanowił towar najważniejszy. Na każdej wystawie leżały furazerki, kurtki zapinane na zamek błyskawiczny, pasy typu Sam Browne, noże myśliwskie, manierki, kabury. Teraz sklepy te prezentowały się bez porównania lepiej, ale „wojnę” zepchnięto w nich na zaplecze. Kiedy, przed ponownym wyjazdem na front, kupowałem sobie tornister, zauważyłem, że trudno było dostać wiele rzeczy niezbędnych na froncie.

Tymczasem, prowadzona nieustannie propaganda z jednej strony przedstawiała w niekorzystnym świetle partyjne milicje, z drugiej zaś sławiła Armię Republikańską. Powstała w ten sposób nieco dziwna sytuacja. Począwszy od lutego, wszystkie siły zbrojne zostały teoretycznie włączone do Armii Republikańskiej. W oparciu o panujące w niej zasady zorganizowano — tylko na papierze — milicje: wprowadzono zróżnicowany żołd, nadawanie stopni wojskowych itd. Dywizje tworzone z tak zwanych mieszanych brygad, które miały się składać częściowo z oddziałów Armii Republikańskiej, a częściowo z oddziałów milicji. W praktyce doszło jednak wyłącznie do zmian w nazwach. I tak na przykład jednostki POUM, znane dotychczas jako Dywizja im. Lenina, przemianowano na 29 Dywizję. Ponieważ, aż do czerwca, tylko nieliczne oddziały Armii Republikańskiej dotarły na front, toteż milicje zachowały swoje odrębne zasady organizacyjne i specyficzny charakter. Na każdym kroku można było spotkać wykonane rękami rządowych propagandzistów napisy: „Potrzeba nam Armii Ludowej”¹. Przez radio i ze szpalt prasy komunistycznej płynął nieustannie pod adresem milicji strumień krytyki, niekiedy bardzo złośliwej — twierdzono, że są one niezdyscyplinowane, źle wyszkolone itp. O Armii Republikańskiej natomiast zawsze mówiono, że jest „heroiczna”. Będąc w zasięgu tej propagandy, można było częstokroć odnieść wrażenie, że zgłoszenie się na ochotnika na front przynosi ujmę, gdy tymczasem oczekiwanie na wezwanie przed oblicze komisji poborowej zasługuje na pochwałę. Ale wtedy, kiedy milicje stawiały czoła wrogowi, Armia Republikańska odbywała

szkolenie na tyłach, o czym się jednak zbyt głośno nie mówiło. Powrót milicji na front wyglądał już inaczej: nie było przemarszy ulicami, nie było bicia w bębny, nie było powiewających flag. Żołnierzy wywożono dyskretnie pociągiem bądź ciężarówką o piątej rano. Tych parę oddziałów Armii Republikańskiej, które teraz udawały się na front, szło, jak to dawniej bywało, w uroczystym pochodzie ulicami, ale i temu przemarszowi nie towarzyszył nadmierny entuzjazm z powodu powszechnego spadku zainteresowania wojną. Włączenie milicji do Armii Republikańskiej, mimo, że dokonało się jedynie na papierze, zostało umiejętnie wykorzystane przez propagandę prasową. Wszelkie zasługi przypisywano zawsze Armii Republikańskiej, a błędami obarczano konto milicji. Bywało, że te same oddziały były wynoszone pod niebiosa jako regularne wojsko i potępiane jako milicja.

Przed wszystkim stało się coś, co trudno było sobie wyobrazić, póki się tego nie przeżyło: uległy zaskakującej zmianie nastroje społeczne. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Barcelony, sądziłem, że jestem w mieście, w którym niemal zniknęły podziały klasowe i majątkowe. I tak rzeczywiście było. „Szykowne” ubiory były czymś wyjątkowym, nikt przed nikim się nie płaszczył, nikt też nie przyjmował napiwków; kelnerzy, kwiaciarki, pucybuci patrzyli klientom prosto w oczy i zwracali się do nich „towarzyszu”. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że mam przede wszystkim do czynienia z mieszaniną pozorów i nadziei. Klasa robotnicza, mimo wiary w rozpoczętą rewolucję, nigdy się nie zjednoczyła, a przestraszeni burżuje udawali chwilowo robotników. Przypuszczalnie, w ciągu pierwszych miesięcy trwania rewolucji, wiele tysięcy ludzi dla ratowania swojej skóry ubrało się w kombinezony i wykrzykiwało rewolucyjne hasła. Teraz wszystko wracało do normy. Eleganckie hotele i restauracje zapełniły się bogatymi obywatelami, pałaszującymi drogie dania, a proletariat borykał się z ogromną zwyczajką cen żywności, której nie towarzyszyła odpowiednia podwyżka płac. Poza tym, pomijając już nawet drożyznę, doskwierały jeszcze okresowe niedobory różnych towarów, co, rzecz jasna, uderzało bardziej w biednych niż w zamożnych. O ile zaopatrywanie hoteli i restauracji we wszystko czego dusza zapagnie nie przedstawiało chyba większych trudności, o tyle kolejki po chleb, oliwę i inne nie-

zbędne produkty ciągnęły się kilometrami. Podczas poprzedniego pobytu w Barcelonie byłem zaskoczony, że nigdzie nie było widać żebraków, teraz jednakże roiło się od nich wszędzie. Na końcu Ramblas zawsze czyhały przed sklepami delikatesowymi gromady bosonogich dzieci i otaczały wychodzących klientów domagając się jedzenia. „Rewolucyjne” wyrażenia wyszły z użycia. Rzadko się teraz zdarzało, aby nieznajomi zwracali się do siebie tu i *camarada*; mówiło się *senor* i *usted*. *Buenos dias* zaczynało wypierać *salud*. Kelnerzy na powrót przywdziali frakowe koszule, a sprzedawcy w sklepach znów zachowywali się słuźalczo. W sklepie z galanterią na Ramblas, do którego weszliśmy z żoną, aby kupić pończochy, ekspedient kłaniał się i zacierał ręce — ten zwyczaj zanikł już teraz nawet w Anglii, choć zdarzał się tam jeszcze dwadzieścia albo trzydzieści lat temu. Po cichu odżywała tradycja dawania napiwków. W miejsce rozwiązanych robotniczych patroli pojawiła się ponownie na ulicach przedwojenna policja i dzięki temu wiele zamkniętych uprzednio przez patrole kabaretów i luksusowych domów publicznych mogło otworzyć swoje podwoje. Niedobór tytoniu był drobnym, ale znaczącym przykładem, który ilustrował podporządkowanie wszystkiego interesom bogatszych klas. Dostawy tytoniu były tak skąpe, że ludzie sięgnęli po sprzedawane na ulicach papierosy wypełnione pokrajanymi korzeniami lukrecji. Raz wypaliłem kilka takich papierosów. (Wielu ludzi paliło je tylko raz.) Ponieważ Wyspy Kanaryjskie, gdzie uprawia się cały hiszpański tytoń, kontrolował Franco, przeto rząd dysponował jedynie tymi zapasami, które zgromadzono przed wojną. Zapasy te były tak skromne, że trafiki otwierano tylko raz na tydzień i po kilkugodzinnym staniu w kolejce każdy, komu dopisało szczęście, mógł sobie kupić paczuszkę tytoniu o wadze dwóch dekagramów. Sprowadzanie tytoniu z zagranicy teoretycznie nie wchodziło w grę, wiązałoby się ono bowiem z uszczupleniem rządowych rezerw złota, niezbędnych na zakup broni i dla zaspokojenia innych potrzeb. W rzeczywistości na rynek bez przerwy napływały droższe gatunki zagranicznych papierosów z przemytu — na przykład *Lucky Strikes* — i w ten sposób powstało pole do spekulacji na wielką skalę. Szmuglowane papierosy sprzedawano oficjalnie w eleganckich hotelach oraz półoficjalnie na ulicach. Przeznaczone one były dla tych,

którzy gotowi byli zapłacić za paczkę dziesięć peset (tyle wynosił dzienny żołd w milicji). Kontrabanda przynosiła korzyści bogatym i oni mieli w niej swój udział. Dla posiadaczy dużej gotówki, zakup czegokolwiek w dowolnej ilości — może z wyjątkiem chleba, który racjonowano skrupulatnie — nie stanowił problemu. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy klasa robotnicza ciągle była, albo wydawało się, że była, u władzy, takie rażące różnice pomiędzy bogatymi i biednymi byłyby niemożliwe. Przypisywanie ich jednakże tylko zmianie władzy politycznej mogłoby być niesprawiedliwe. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był fakt, że w Barcelonie żyło się bezpiecznie, na dobrą sprawę, o wojnie przypominały wyłącznie sporadyczne naloty. Ci, którzy byli w Madrycie, utrzymywali, iż panuje tam zupełnie odmienna sytuacja: w obliczu wspólnego zagrożenia, ludzie różnego pokroju połączyli się jakby więzami braterstwa. Zaiste, przygębajający to widok, kiedy grubas zajada przepiórkę, a tymczasem dziecko żebrze o chleb. Wszelako nikła jest szansa, by ujrzeć taki obrazek, kiedy wokół biją z dział.

Dzień, a może dwa po ustaniu walk ulicznych przechodziłem, jak sobie przypominam, przez jedną z eleganckich ulic i zatrzymałem wzrok na cukierni. Na wystawie było całe mnóstwo wyszukanych ciast i cukrów, które kosztowały majątek. Takie sklepy spotyka się na Bond Street albo na Rue de la Paix. I pamiętam ogarniające mnie uczucia grozy i zdumienia na myśl, że w dotkniętym wojną i głodem kraju można jeszcze marnować pieniądze na takie zbytki. Nie chciałbym wszakże, aby ktoś, broń Boże, sądził, że jestem uosobieniem cnót. Po kilku miesiącach ponieważ niewymownie tęskniłem za porządnym jedzeniem i winem, za koktajlami, za amerykańskimi papierosami itd., itp. Nie odmawiałem sobie żadnych luksusów, niczego co było do kupienia za pieniądze. Pierwszy tydzień przed wybuchem walk ulicznych upłynął mi na załatwianiu różnych spraw, które łączyły się ze sobą w pewien szczególny sposób. Tak więc, jak już wspomniałem, zadbałem o to, aby mieć możliwie najwygodniejsze życie. Ponadto, przez cały tydzień dusza ledwo się we mnie kołatała na skutek przejedzenia i przepicia. Kiedy było mi niedobrze, kładłem się do łóżka na pół dnia; kiedy mi się poprawiało, znów pożerałem potworne ilości jedzenia i znów chorowałem. Równocześnie, w tajemnicy,

podjąłem starania o kupno rewolweru. Strasznie chciałem mieć tę trudno osiągalną broń, która bardziej była przydatna podczas wojny okopowej niż karabin. Zgodnie z decyzją rządu, rewolwery przydzielano policjantom i oficerom Armii Republikańskiej, milicjom zaś ich odmówiono. W tej sytuacji trzeba było kupować je nielegalnie, z tajnych magazynów anarchistów. Dzięki mojemu przyjacielowi, anarchiście, udało mi się po wielu staraniach i kłopotach kupić 26-calowy, zniszczony pistolet automatyczny, który gwarantował celność strzału jedynie do pięciu metrów — uznałem, że lepszy taki niż żaden. Poza tym przedsięwziąłem wstępne kroki, aby opuścić szeregi milicji POUM. Pragnąłem przystąpić do takich oddziałów, z którymi wyślą mnie na front do Madrytu.

Od dawna rozpowiadałem, że zamierzam odejść z POUM. Najchętniej z czysto osobistych względów zaciągnąłbym się do anarchistów. Jeśli ktoś zapisał się do CNT, to mógł wstąpić do milicji FAI. Dowiedziałem się jednak, że FAI wysłałaby mnie raczej do Teruel niż do Madrytu. Jak się okazało, aby wyjechać do Madrytu, powinienem zaciągnąć się do Brygady Międzynarodowej, a do tego potrzebna była rekomendacja członka partii komunistycznej. Odszukałem zatem kolegę zatrudnionego w hiszpańskim oddziale „Czerwonej Pomocy”³ i przedstawiłem mu swoją sprawę. Chyba bardzo pragnął mi pomóc, bo prosił abym, w miarę możliwości, zwerbował jeszcze innych Anglików z ILP. Gdybym cieszył się wówczas lepszym zdrowiem, pewnie od razu przystałbym na tę propozycję. Przed rozpoczęciem walk w Barcelonie wysłano by mnie najprawdopodobniej do Albacete i nie miałbym możliwości obejrzenia z bliska ulicznych potyczek. Kto wie, czy bym w tej sytuacji nie zawierzył oficjalnej wersji tych wydarzeń. Swoją drogą, nie wyobrażam sobie co bym czuł, gdyby mi przyszło, jako żołnierzowi pod rozkazami komunistów, znaleźć się podczas starć w Barcelonie naprzeciw towarzyszy z POUM, z którymi ciągle łączyły mnie więzi przyjaźni — byłoby to nie do zniesienia. Tymczasem pozostał mi jeszcze jeden tydzień urlopu i bardzo chciałem wyzdrowieć przed powrotem na front. Miałem poza tym do załatwienia pewną drobną sprawę — jedną z tych drobnych spraw, które zawsze rozstrzygają o naszym losie — musiałem mianowicie czekać, aż szewc uszyje mi nową parę butów nadających się do marszu.

(Cała hiszpańska armia nie dysponowała parą butów, o rozmiarze, pasującym na mnie.) Mojemu koledze komuniście powiedziałem, że ostateczną decyzję powezmę później. Na razie chciałem odpocząć. Wpadł mi nawet do głowy pomysł, aby wyjechać z żoną na dwa lub trzy dni nad morze. Co za pomysł! Jak mogłem się nie zorientować, że panująca ówczasie atmosfera polityczna nie sprzyjała tego rodzaju projektom.

Przecież w ten miejski pejzaż, w obszary luksusu i pogłębiającej się nędzy, w pozorną wesołość ulic, na których stały stragany z kwiatami, powiewały wielokolorowe flagi, i na których ponaklejane były propagandowe plakaty, w przewalający się tłum wpisana była wyraźnie okropna atmosfera politycznej walki i nienawiści. Ludzie o różnych zapatrywaniach dzielili się swoimi przeczuciami: „Czekają nas niedługo kłopoty” — powiadali. Wiadomo było, że coś wisi w powietrzu. Spór toczył się pomiędzy zwolennikami podsycania rewolucyjnego ognia, a tymi, którzy chcieli go zahamować lub nawet zdusić. Spierali się więc anarchiści z komunistami. Z politycznego punktu widzenia największą siłą w Katalonii stanowiła PSUC wraz z jej liberalnymi sojusznikami. Lecz była też inna siła o bliżej nieznanym możliwościach — CNT. Choć gorzej uzbrojona, choć program jej był mniej precyzyjny, to jednak była potężna liczbą swoich członków i licząca się dzięki pierwszorzędnej roli, którą odgrywała w przemyśle kluczowym. W tej sytuacji i przy takim układzie sił kłopoty musiały nadejść. W trosce o swoją pozycję, kontrolowany przez PSUC *Generalite* uznał za rzecz najważniejszą odebranie robotnikom broni. Jak już wcześniej pisałem „okrawanie” założonych przez partię milicji było w istocie podstępny krok, który miał doprowadzić do ich likwidacji. Tymczasem, gwałtownie wzmacniano i zbrojono powołane na nowo pod broń przedwojenne siły policyjne, np. Gwardię Cywilną. Cel tych przedsięwzięć mógł być tylko jeden. Gwardia Cywilna była typową żandarmerią, jakich wiele w Europie i stała mniej więcej od stu lat na straży interesów klas posiadających. Wydano zarazem dekret głoszący, że wielka broń znajdująca się w rękach prywatnych powinna być oddana władzom. Nikt, rzecz jasna, nie podporządkował się temu aktowi prawnemu; nie było złudzeń co do tego, że rozbrownienie anarchistów może się odbyć tylko przy

użyciu siły. Z powodu cenzurowania gazet pojawiły się plotki — mętne i sprzeczne — o drobnych potyczkach, które wybuchały w całej Katalonii. Uzbrojone jednostki policji przeprowadzały w różnych ośrodkach ataki na fortece anarchistów. W Puiojcerda, na francuskiej granicy, gdzie wysłano oddział karabinierów, aby przejął nadzorowany poprzednio przez anarchistów urząd celny, poległ Antonio Martin, znany działacz:-: anarchistyczny.⁴ Podobne wypadki wydarzyły się w Figueras i chyba w Tarragonie. W Barcelonie doszło do szeregu organizowanych i spontanicznych starć na robotniczych przedmieściach. Od pewnego czasu mordowali się wzajemnie członkowie CNT i UGT; po tych zabójstwach urządzono w kilku przypadkach ogromne prowokacyjne pogrzeby obliczone na wzniecenie politycznej nienawiści. Nieco wcześniej, w związku z zabiciem wybitnego działacza CNT, setki tysięcy członków tej organizacji wzięło udział w pochodzie. Pod koniec kwietnia, wkrótce po moim przyjeździe do Barcelony, zamordowano Roldana Cortada, aktywistę UGT — sprawcą był chyba ktoś z CNT. Na mocy decyzji rządu zamknięto wszystkie sklepy i zorganizowano potężną procesję żałobną, w której szły głównie oddziały Armii Republikańskiej, a ich przemarsz trwał dwie godziny. Oglądałem to widowisko z hotelowego okna i nie ogarniał mnie entuzjazm. Wiadomo było, że ten tak zwany pogrzeb był po prostu demonstracją siły; jeszcze kilka takich przedstawień, a doszłoby do rozlewu krwi. Tej samej nocy moją żonę i mnie obudziły odgłosy strzelaniny dochodzące z odległego o sto, czy dwieście metrów Plaža de Catalunya. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że zabito jakiegoś człowieka z CNT, a zrobił to przypuszczalnie ktoś z UGT. Oczywiście sprawcami wszystkich tych morderstw byli najprawdopodobniej prowokatorzy. O stanowisku zagranicznej prasy kapitalistycznej wobec utarczek komunistów z anarchistami, niech zaświadczy szeroki rozgłos, jaki nadano sprawie zabójstwa Roldana, podczas gdy mord popełniony w odwecie — starannie przemilczano.

Zbliżał się 1 Maja i zaczęło się mówić o ogromnej demonstracji, w której miała wziąć udział zarówno CNT jak i UGT. Przywódcy CNT — bardziej umiarkowani niż ich zwolennicy — od dłuższego czasu dążyli do osiągnięcia porozumienia z UGT; głównym ich hasłem było w istocie połączenie dwóch bloków związkowych w

jedną potężną koalicję. Proponowali oni, aby CNT oraz UGT kroczyły w demonstracji ramię przy ramieniu, manifestując w ten sposób solidarność. W ostatniej chwili jednak pochód odwołano. Nie ulegało wątpliwości, że doprowadziłby on do zamieszek. Tak więc, dzień pierwszego maja minął bez żadnych wydarzeń. Powstała natomiast dziwna sytuacja. Otóż Barcelona, tak zwane rewolucyjne miasto, była chyba jedynym ośrodkiem miejskim w Europie (wyjąwszy kraje pod rządami faszystów), w którym nie obchodzono tego święta. Przyznaję jednak, że odetchnąłem z ulgą. Kontyngent żołnierzy z ILP miał iść w części pochodu przeznaczony dla POUM, a wszyscy spodziewali się kłopotów. Najbardziej obawiałem się, aby nie dać się wplątać w jakąś bezsensowną potyczkę uliczną. Maszerowanie za czerwonymi sztandarami, na których widnieją budujące hasła, a potem wyprawa na tamten świat z powodu kuli wystrzelonej przez nieznanego osobnika z erkamu umieszczonego w górnym oknie budynku nie jest, moim zdaniem, najbardziej pożytecznym rodzajem śmierci — znam inne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzeciego maja, około południa, mój kolega mijając mnie w hotelowym holu rzucił w moim kierunku: „Słyszałem, że coś niedobrego stało się w Miejskiej Centrali Telefonicznej”. Z wielu powodów nie zwróciłem wówczas uwagi na tę informację.

Jeszcze tego samego popołudnia, między godziną trzecią a czwartą, kiedy znajdowałem się w połowie Ramblas, usłyszałem za plecami odgłosy wystrzałów. Odwróciłem się i ujrzałem paru młodzieńców z karabinami. Mieli oni szyje przewiązane czerwono-czarnymi chustami anarchistów i skręcali w boczną uliczkę, która odchodziła od Ramblas w kierunku północnym. Można się było domyślić, że ich strzały były odpowiedzią na salwy z wysokiej, ośmiokątnej wieży (chyba była to wieża kościelna), górującej nad tą uliczką. „Zaczęło się!” — przyszło mi natychmiast do głowy. Myśl ta wcale mnie nie zaskoczyła — przecież od wielu dni wszyscy spodziewali się, że „to” może się zacząć w każdej chwili. Uświadomiłem sobie, że powinienem bezzwłocznie wrócić do hotelu i sprawdzić co się dzieje z moją żoną. Tymczasem, grupa anarchistów rozstawiona u wylotu bocznej uliczki odpędzała ludzi krzyżąc do nich, aby nie przebiegali przez linię ognia. Rozbrzmiewało coraz więcej salw. Pociski z wieży przelatywały w poprzek ulicy i ogarnięty paniką tłum ruszył pędem w dół Ramblas, byle tylko znaleźć się jak najdalej od strzelaniny. Dookoła słyhać było zgrzyt, to właściciele sklepów opuszczali stalowe żaluzje. Zauważyłem,

jak dwóch oficerów Armii Republikańskiej, trzymając ręce na rewolwerach, przezornie wycofywało się przeskakując od drzewa do drzewa. Znajdujący się przede mną tłum przelewał się w kierunku stacji metra, która mieściła się w połowie Ramblas, szukając tam schronienia. Od razu postanowiłem, że nie pójdę śladem tych ludzi. Mógłbym przecież tkwić później w podziemnej pułapce godzinami.

Nagle podbiegł do mnie i chwycił mnie za ramię amerykański lekarz, który był z nami na froncie. Był niezwykle podniecony.

— Chodź, musimy się dostać do hotelu *Falcon*. (Hotel *Falcon* był czymś w rodzaju pensjonatu i mieszkań w nim głównie żołnierze mihcji na przepustkach.) Chłopaki z POUM zwołali tam zebranie. Zaczęły się kłopoty. Musimy trzymać się razem.

— Co się dzieje, do cholery? — zapytałem.

Lekarz powiódł mnie za ramię. Nazbyt był podniecony, aby wyrażać się sensownie. Okazało się, że znajdował się akurat na Plaža de Catalunya, kiedy przed Miejską Centralą Telefoniczną obsługiwaną głównie przez pracowników zrzeszonych w CNT zajechało kilka ciężarówek wypełnionych uzbrojonymi żołnierzami Gwardii Cywilnej, którzy natychmiast przystąpili do szturmowania budynku. Zaraz potem przybyli anarchiści i awantura rozpoczęła się na dobre. Pojąłem, co było wcześniejszą przyczyną kłopotów w owym dniu. Otóż — rząd domagał się przekazania centrali i żądanie to spotkało się oczywiście z odmową.

Kiedy szliśmy w dół ulicy przemknęła obok nas nadjeżdżająca z przeciwnego kierunku ciężarówka. Siedziało w niej pełno uzbrojonych w karabiny anarchistów. Przed nami leżał na stosie uzbrojonych w karabiny anarchistów. Przed nami leżał na stosie materaców obdarty młody człowiek i trzymał lekki karabin maszynowy. Dotarliśmy do hotelu *Falcon*, który znajdował się na końcu Ramblas, a tam, w holu wejściowym, kotłował się tłum. Panowało ogromne zamieszanie, nikt nie wiedział co należy robić i nikt też nie był uzbrojony z wyjątkiem ochrony budynku, czyli garstki żołnierzy z oddziałów szturmowych. Poszedłem do Miejskiego Komitetu POUM, który mieścił się niemal naprzeciw wejścia po drugiej stronie ulicy. Na piętrze, tam gdzie zwykle wypłacano żołnierzom milicji żołd, również tłoczyła się ciżba. Jakiś wysoki, dość przystojny cywil o bladej twarzy, który wydawał ze stojącej

w rogu kupki pasy i ładownice, usiłował zaprowadzić porządek. Na razie nigdzie nie było widać karabinów. Mój lekarz gdzieś przepadł — chyba były już pierwsze ofiary i wzywano pomocy — pojawił się natomiast jeszcze jeden Anglik. Chwilę później wysoki cywil wraz z kilkoma mężczyznami zaczęli wynosić z pomieszczeń biurowych naręcza karabinów i rozdawali je wszystkim wokół. Ponieważ Anglik i ja byliśmy obcokrajowcami, patrzono na nas nieco podejrzliwie i nikt nie kwapił się, aby dać nam karabiny. Później przyszedł jednakże pewien żołnierz milicji, którego spotkałem na froncie, i rozpoznał mnie. Dzięki niemu, aczkolwiek niechętnie, wręczono nam jednak karabiny.

Z dala dochodziły odgłosy strzelaniny, a ulice ziały pustką. Mówiono, że nie sposób przedostać się w górę Ramblas. Gwardia Cywilna obsadziła wszystkie budynki w strategicznych punktach i otwierała ogień do każdego przechodnia. Miałem ochotę podjąć ryzyko i wrócić do hotelu, ale rozchodziły się pogłoski, że lada chwila może nastąpić atak na Komitet i powinniśmy być w gotowości. Zarówno w całym budynku, jak i przed nim, na chodniku, a także na schodach zebrały się grupki ludzi, którzy prowadzili ożywione dyskusje. Nikt chyba nazbyt dobrze nie wiedział, co się działo. Udało mi się jedynie wywnioskować z tych rozmów, że Gwardia Cywilna zaatakowała Miejską Centralę Telefoniczną, i że przejęła różne punkty o strategicznym znaczeniu, co zapewniało jej kontrolę nad innymi budynkami zajmowanymi przez robotników. Powszechnie wyobrażano sobie, że ta formacja „poluje” nie tylko na CNT, ale w ogóle na klasę robotniczą. Godny podkreślenia jest fakt, że bodaj nikt wówczas nie obarczał winą rządu. Gwardia Cywilna była dla biedniejszych klas w Barcelonie czymś na podobieństwo oddziałów „Czarno-brunatnych”² i prawdopodobnie święcie wierzone, że przystąpiła ona do tego ataku z własnej inicjatywy. Po tym co usłyszałem, poczułem się od razu inaczej. Cała sprawa zaczęła być dla mnie jasna. Z jednej strony CNT, z drugiej zaś — policja. Nie darzę żadną szczególną miłością robotnika wyidealizowanego, jaki pojawia się w wyobraźni mieszczańskiego komunisty. Ale kiedy widzę prawdziwego robotnika z krwi i kości w walce ze swoim naturalnym wrogiem policjantem, nie muszę sobie zadawać pytania, po czyjej jestem stronie.

Upłynęło wiele czasu, a w naszej części miasta nie wydarzyło się chyba nic. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zadzwonić do hotelu i dowiedzieć się, co się dzieje z moją żoną. Byłem przekonany, że centrala telefoniczna przestała pracować — w rzeczywistości telefony nie działały tylko przez parę godzin. W dwóch budynkach znajdowało się bodaj trzysta osób. Byli to przeważnie ludzie z najuboższej klasy, z bocznych uliczek w portowych dzielnicach; znalazły się tu też kobiety, niektóre z dziećmi na ręku, i gromada obdartych małych chłopców. Przypuszczam, że większość z nich nie miała zielonego pojęcia co się dzieje, a trafili oni do budynku POUM szukając po prostu schronienia. Była także pewna ilość żołnierzy na przepustkach i grupa obcokrajowców. Według moich obliczeń przypadało na nas wszystkich około sześćdziesięciu karabinów. Tłum nadal oblegał biuro na piętrze domagając się karabinów, odpowiadano jednak, że się skończyły. Służący w milicji młodzi chłopcy traktowali, jak się zdaje, całe to wydarzenie jako rodzaj pikniku. Grasowali oni wśród ludzi usiłując skraść broń jej posiadaczom. Niedługo przyszło mi czekać, by jeden z nich, używając chytrego podstępu, porwał mój karabin i natychmiast gdzieś przepadł. Znow więc zostałem bez broni, miałem jedynie swój niewielki pistolet automatyczny i jeden magazynek do niego.

Ściemniło się. Poczułem głód, a tymczasem w *Falconie* nie było nadziei na otrzymanie czegoś do zjedzenia. Wyślizgnęliśmy się razem z kolegą na obiad do jego hotelu nie opodal. Na ulicach było pusto, głucho i zupełnie ciemno, we wszystkich sklepach opuszczono stalowe żaluzje, nie było natomiast jeszcze barykad. Zanim wpuszczono nas do hotelu musieliśmy pokonać nie lada przeszkodę: drzwi wejściowe były zamknięte na klucz i zabarykadowane. Po naszym powrocie dowiedziałem się, że Centrala Telefoniczna pracuje. Poszedłem więc do biura na piętrze, aby zadzwonić do żony. W całym budynku, co znamienne, nie było książki telefonicznej, a ja tymczasem nie znałem numeru hotelu *Continental*. Straciłem około pół godziny chodząc od pokoju do pokoju w poszukiwaniu spisu, aż wreszcie znalazłem przewodnik, w którym był ten numer. Z żoną nie udało mi się jednak połączyć. Szczęśliwym trafem dodzwoniłem się natomiast do Johna McNaira, przedstawiciela ILP w Barcelonie. Od niego dowiedziałem się, że

wszystko jest w porządku i że nikogo nie zastrzelono. On z kolei pytał, czy nie mamy kłopotów w Miejskim Komitecie. Odpowiedziałem mu, że nie mielibyśmy kłopotów, gdyby były papierosy. Traktowałem te słowa jako żart, tymczasem pół godziny później pojawił się McNair z dwoma paczkami *Lucky Strikes*. Przyszedł, nie zważając na nieprzeniknione ciemności, na chodzące po mieście patrole anarchistów, które zatrzymywały go dwukrotnie i mierząc do niego z pistoletów żądały okazania dokumentów. Nigdy nie zapomnę tego drobnego aktu bohaterstwa. Papierosy bardzo się nam przydały.

Nieomal w każdym oknie ulokowano uzbrojone strażę, a na dole, na ulicy, mała grupa żołnierzy z oddziałów szturmowych zatrzymywała i poddawała kontroli nielicznych przechodniów. Podjechał samochód patrolowy anarchistów. Był najeżony bronią. Obok kierowcy siedziała piękna czarnowłosa dziewczyna w wieku około osiemnastu lat i przyciskała do kolan erkaem. Włączyłem się przez dłuższy czas po budynku chcąc poznać jego rozkład. Był on jednak zbudowany bez jednolitego planu i okazało się to niemożliwe. Na każdym kroku zalegały „typowe” śmieci — połamane meble i potargane papiery, co stanowi nieunikniony produkt rewolucji. Ludzie spali wszędzie; na uszkodzonej kanapie w korytarzu ci-chutko chrapały dwie ubogie kobiety z portowej dzielnicy. Zanim POUM przejęła ten budynek mieścił się w nim kabaret. W kilku pokojach znajdowały się sceny i na jednej z nich stał zniszczony, duży fortepian. W końcu jednak znalazłem to, czego szukałem — zbrojownię. Nie miałem pojęcia, czym to wszystko może się skończyć i dlatego chciałem koniecznie zdobyć broń. Tak często słyszałem, że wszystkie rywalizujące partie — PSUC, POUM, a także CNT-FAI — posiadają magazyny broni w Barcelonie, iż nie mogłem uwierzyć, aby w dwóch głównych budynkach POUM znajdowało się tylko tych pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt karabinów, które widziałem. Pokój służący jako zbrojownia był nie pilnowany i miał liche drzwi, toteż wyważenie ich nie przysporzyło mi i mojemu koledze Anglikowi żadnych kłopotów. Kiedy dostaliśmy się do środka okazało się, że nas nie okłamano — broni już n i e b y ł o . Znaleźliśmy tylko około dwóch tuzinów przestarzałych modeli małokalibrowych karabinków i kilka dubeltówek, ale amu-

nicji do żadnego z tych typów broni nie udało się odszukać. Poszedłem do biura na piętrze i zapytałem, czy nie mają naboju do pistoletu. Niestety, nie mieli. Stało tam natomiast parę skrzynek z granatami dostarczonych przez któryś z samochodów patrolowych anarchistów. Te prymitywne granaty odpalało się przez potarcie czegoś w rodzaju zapalniczki umieszczonej na górnym końcu i zdarzało się często, że wybuchały samorzutnie. Kilka z nich włożyłem do jednej z moich ładownic.

Cała podłoga była zajęta przez śpiących ludzi. Z któregoś pokoju dobiegał bez końca płacz dziecka. Chociaż był maj, noc była zimna. Nad jedną z kabaretowych scen wisiała podniesiona kurtyna. Zerwałem ją pomagając sobie nożem i otuliwszy się w nią zapadłem w kilkugodzinny drzemkę. Pamiętam, że zakłóciła mi sen myśl o tych okropnych granatach, które mogły wysadzić mnie w powietrze, gdybym tylko położył się na nich zbyt gwałtownie. O trzeciej rano zostałem obudzony przez wysokiego, przystojnego mężczyznę, który był chyba dowódcą. Wręczył mi on karabin i wysłał mnie do pilnowania jednego z okien. Usłyszałem od niego, że Salasa, szefa policji — odpowiedzialnego za atak na Centralę Telefoniczną — aresztowano. (Dowiedzieliśmy się później, że w rzeczywistości pozbawiono go tylko stanowiska. Niemniej wiadomość ta umocniła powszechnie głoszony pogląd, jakoby Gwardia Cywilna działała bez rozkazu). Wraz z nastaniem świtu przystąpiono do wznoszenia dwóch barykad: przed Miejskim Komitetem i przed hotelem *Falcon*. Barcelońskie ulice brukowane są kwadratowymi kamieniami wyśmienicie nadającymi się do stawiania ścian. Pod ich nawierzchnią zaś znajdują się drobniutkie kamyczki, którymi z powodzeniem można wypełniać worki. Wznoszenie tych barykad było niezwykłym i pięknym widowiskiem. Wiele bym dał, aby móc je sfotografować. Długie rzędy mężczyzn, kobiet i całkiem małych dzieci wyrywały bruk, rozwoziły go wózkami, które skądś wydobyły, i nosiły tam, i z powrotem worki ze żwirem, uginając się pod ich ciężarem. Wszyscy oni promieniowali energią i zapałem, okazywanymi przez Hiszpanów zawsze wtedy, kiedy już zdecydowali się przystąpić do wykonania jakiejś pracy. W drzwiach Miejskiego Komitetu stała dziewczyna, niemiecka Żydówka, ubrana w zapinane na kolanach milicyjne spodnie, które sięgały jej do kostek i

przyglądała się z uśmiechem na twarzy. Nie minęło kilka godzin i już barykady wznosiły się na wysokość głowy, już u otworów strzelniczych stanęli żołnierze, a za jedną z barykad płonęło ognisko i smażono jajka.

Odebrano mi znów karabin i na dobrą sprawę, nie było żadnych pożytecznych zajęć, którym można by się poświęcić. Postanowiliśmy zatem z moim kolegą Anglikiem wrócić do hotelu *Continental*. Gdzieś z dala, ale chyba nie z Ramblas, dobiegały odgłosy palby. Po drodze zajrzeliśmy do hali targowej. Otwartych było jedynie parę straganów i oblegał je tłum ludzi pochodzących z robotniczych dzielnic na południe od Ramblas. Zaledwie tam weszliśmy, kiedy na zewnątrz rozległ się potężny huk wystrzałów karabinowych, zadrżały szyby w szklanym dachu i ludzie rzucili się ku tylnym wyjściom. Mimo to kilka straganów nadal było czynnych. Udało się nam więc wypić po filizance kawy i kupić kawałek sera z koziego mleka, który wetknąłem pomiędzy moje granaty. Kilka dni później przydał mi się ten ser i to bardzo.

Na rogu ulicy, w miejscu, gdzie dzień wcześniej widziałem rozpoczynających strzelaninę anarchistów, wznosiła się teraz barykada. Stojący za nią człowiek (ja byłem po drugiej stronie ulicy), wrzasnął do mnie, abym uważał. Żołnierze Gwardii Cywilnej strzelali z wieży kościelnej do każdego bez wyjątku przechodnia. Zawahałem się chwilę, a potem puściłem się pędem przez otwartą przestrzeń; i rzeczywiście pocisk zaświstał koło mnie w nieprzyjemnie małej odległości. Idąc ciągle drugą stroną ulicy zbliżyłem się do budynku Komitetu Wykonawczego POUM. Stojący w jego drzwiach żołnierze z oddziałów szturmowych również podniesionymi głosami ostrzegali przed groźącym niebezpieczeństwem — nie zrozumiałem wówczas tych krzyków. Od budynku oddzielały mnie drzewa oraz kiosk z gazetami (w Hiszpanii takimi ulicami środkiem biegnie szeroki deptak) i nie mogłem się zorientować, o co im chodzi. Wszedłem do hotelu *Continental*, upewniłem się, że wszystko jest w porządku, umyłem twarz i wróciłem do siedziby Komitetu Wykonawczego (znajdowała się około stu metrów poniżej) po rozkazy. Tymczasem z różnych kierunków odezwał się ryk ognia karabinów i cekaemów prawie porównywalny do łoskotu bitwy. Właśnie spotkałem Koppa i pytałem go co mamy robić, gdy

w dole, na ulicy rozległa się seria przeraźliwych detonacji. Huk był tak wielki, że nabrałem przekonania, iż ktoś chyba strzela do nas z działa polowego. W rzeczywistości były to tylko ręczne granaty, które wybuchając między budynkami, powodują dwukrotnie więcej hałasu niż zwykle.

Kopp wyjrzał przez okno, założył do tyłu rękę, w której trzymał laseczkę, powiedział: „sprawdźmy” i ruszył, jak zwykle bez troski, schodami w dół, a ja podążyłem za nim. Grupka żołnierzy z oddziałów szturmowych rzucała tuż zza progu granaty na bruk w sposób przypominający grę w kręgle. Wybuchały one w odległości dwudziestu metrów powodując zatrważające i ogłuszające grzmoty, które mieszały się z dźwiękami karabinowej palby. Na środku ulicy, spoza kiosku z gazetami, sterczała głowa podobna kubek w kubek do orzecha kokosowego wystawionego na targu. Była to głowa żołnierza milicji, znanego mi bardzo dobrze Amerykanina. Musiało upłynąć trochę czasu zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. W pobliżu gmachu POUM znajdowała się kawiarnia o nazwie *Cafe Moka*, a nad nią był hotel. Dzień wcześniej, weszło do tej kawiarni dwudziestu, albo trzydziestu uzbrojonych gwardzistów i kiedy wybuchły walki, zajęli oni budynek i zabarykadowali się w nim. Przypuszczalnie obsadzili to miejsce zgodnie z rozkazem i miało ono stanowić pozycję wyjściową do późniejszego ataku na biura POUM. Wczesnym rankiem gwardziści próbowali wyjść na zewnątrz i doszło do strzelaniny, w której wyniku zginął jeden z nich, a jeden żołnierz z oddziałów szturmowych został ciężko ranny. W tej sytuacji pierzchnęli oni z powrotem do kawiarni, lecz kiedy nadchodził ulicą Amerykanin, otworzyli do niego ogień, mimo że był nieuzbrojony. Amerykanin ten ukrył się za kioskiem i teraz żołnierze z oddziałów szturmowych miotali granaty, aby ponownie wepchnąć Gwardię Cywilną za drzwi.

Kopp jednym spojrzeniem ocenił sytuację, przedarł się do przodu i odsunął rudego Niemca z oddziałów szturmowych, który właśnie wyciągał zębami zawleczkę z granatu. Krzyknął, aby wszyscy odeszli od drzwi i zwrócił się do nas w kilku językach, że trzeba uniknąć rozlewu krwi. Następnie wyszedł przed budynek, na oczach żołnierzy Gwardii Cywilnej, ostentacyjnie wyciągnął pistolet i położył go na bruku. Podobnie uczyniło dwóch hiszpań-

skich oficerów milicji i we trójkę wolno ruszyli w kierunku drzwi, gdzie tłoczyli się gwardziści. Nie postąpiłbym tak nawet gdyby mi ktoś proponował dwadzieścia funtów. Zbliżali się oni nieuzbrojeni do oniemiałych z przerażenia żołnierzy, którzy trzymali w rękach załadowane karabiny. Jakiś blady ze strachu gwardzista w samej koszuli wyszedł z za drzwi, aby pertraktować z Koppem. Panicznym gestem wskazywał na dwa leżące na bruku granaty-niewypały. Kopp zawrócił i powiedział nam, abyśmy spróbowali je odpalić. Żołnierz z oddziałów szturmowych dał ognia z karabinu do jednego z nich i nastąpił wybuch, potem wypalił do pozostałego, lecz nie trafił. Poprosiłem go o karabin, klęknąłem i wystrzeliłem do drugiego granatu. Wstyd się przyznać, ale również chybiłem. Był to mój jedyny strzał w ciągu tych zamieszek. Ulicę pokrywała warstwa potłuczonego szkła, które pochodziło z napisu umieszczonego nad *Cafe Moka*. Dwa zaparkowane przed budynkiem samochody (był wśród nich samochód służbowy Koppa) były podziurawione kulami i miały rozbite szyby na skutek wybuchu granatów.

Kopp zabrał mnie znów na górę i przedstawił sytuację. Powinniśmy bronić budynków POUM, gdyby zostały zaatakowane. Zgodnie jednak z nadesłanymi przez przywódców POUM instrukcjami, mieliśmy pozostać w defensywie i unikać otwierania ognia, jeśli to tylko było możliwe. W pobliżu, po drugiej stronie ulicy, znajdował się kinematograf *Poliorama*, nad nim zaś było muzeum, a wysoko ponad linią dachu mieściło się małe obserwatorium, które wieńczyły dwie bliźniaczo podobne kopuły. Ponieważ kopuły te górowały nad ulicą, wystarczyło zatem umieścić tam kilku żołnierzy z karabinami, aby udaremnić jakikolwiek atak na budynki POUM. Dozorcy pilnujący kinematografu okazali się członkami CNT, nie było więc kłopotów ze swobodnym wchodzeniem i wychodzeniem. W tej sytuacji Gwardia Cywilna w *Cafe Moka* nie powinna stanowić dla nas zagrożenia; gwardziści nie rwali się do walki i byłiby szczęśliwi, gdyby pozwolono im ująć z życiem. Kopp przypominał, że zgodnie z rozkazami nie wolno otwierać ognia, póki do nas nie będą strzelać, albo póki nie zaatakują naszych budynków. Chociaż Kopp o tym nie mówił, zrozumiałem jednak, że przywódcy POUM byli wściekli, iż wplątano ich w tę kabałę. Uznań oni wszakże, że muszą stanąć po stronie CNT.

W obserwatorium ulokowano już żołnierzy. Następne trzy dni i trzy noce minęły mi na dachu *Polioramy*, skąd schodziłem jedynie na posiłki do hotelu naprzeciw. Chociaż nie byłem narażony na żadne niebezpieczeństwo i dokuczały mi tylko głód i nuda, zaliczylbym jednak ten okres do najbardziej nieznośnych chwil w moim życiu. Przypuszczam, że trudno byłoby doświadczyć czegoś, co by bardziej zniechęcało, sprawiało większy zawód, i co by wreszcie bardziej szarpało nerwy niż te koszmarne dni podczas walk ulicznych.

Siedziałem na dachu i ze zdumieniem przyglądałem się temu całemu szaleństwu. Z okienka w obserwatorium można było podziwiać widok w promieniu wielu mil — jeden za drugim, szereg wysokicich, wysmukłych domów, szklane kopuły i fantastyczne faliste dachy, zdobne we wspaniałe zielono-miedziane dachówki; hen, na wschodzie, połyskiwało bladoniebieskie morze — ujrzałem je po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Hiszpanii. Ale całe to ogromne milionowe miasto popadło, że tak powiem, w stan wścieklej bezwładności: wszczynano koszmarny hałas, ale panował bezruch. Skąpane w słońcu ulice zupełnie opustoszały. Zamarło wszelkie życie i tylko grad pocisków wysypywał się zza barykad oraz z obłożonych workami z piaskiem okien. Żaden pojazd nie przemknął po bruku; wzdłuż Ramblas stały gdzieś unieruchomione tramwaje, z których uciekli motorniczy, gdy tylko zaczęły się walki. I bez chwili przerwy, bez najmniejszego wytchnienia, jak deszcz tropikalny, dzwonił w uszach piekielny łoskot zwielokrotniony echem odbitym od ścian tysięcy budynków. Świst, grzechot, ryk — bywało, że hałas był spowodowany tylko kilkoma strzałami, bywało, że wzmagał się on przechodząc w ogłuszającą kanonadę, lecz nigdy nie ustał za dnia i punktualnie, wraz z nastaniem następnego świtu, odzywał się znowu.

Co, do licha, się działo, kto z kim walczył, kto zwyciężał? — trudno się było z początku zorientować. Mieszkańcy Barcelony są tak nawykli do walk ulicznych i tak obeznani z topografią miasta, że wiedzą instynktownie, która z partii politycznych obsadzi którą z ulic i który z budynków. Cudzoziemiec znajduje się w beznadziejnej sytuacji. Patrząc z obserwatorium dostrzegłem, że Ramblas, która była jedną z głównych ulic w mieście, stanowi linię podzia-

łu. Na prawo od niej robotnicze dzielnice były jednolicie anarchi-
styczne. Na lewo zaś, w krętych uliczkach trwały bezładne walki,
tą stroną jednakże władały głównie PSUC i Gwardia Cywilna.
Powyżej, na bliższym nam końcu Ramblas, na Plaža de Catalunya,
sytuacja była tak skomplikowana, że gdyby nie partyjne flagi, które
powiewały nad każdym budynkiem, nie wiadomo by było kto jest
kim. Hotel *Colon*, kwatery główna PSUC, który górował nad Plaža
de Catalunya, był tutaj najważniejszym punktem orientacyjnym.
W oknie, tuż przy przedostatnim „o”, w ogromnym rozstrzelonym
napisie Hotel Colon, umieszczono karabin maszynowy. Mógł on
omiatać plac siejąc śmierć. W odległości stu metrów na prawo od
nas, w dole Ramblas, znajdował się duży dom towarowy, którego
boczne wystawy, obłożone workami z piaskiem, wychodziły wprost
na nasze obserwatorium. Był on obsadzony przez JSU, czyż przez
młodzieżową ligę PSUC (odpowiednik Ligi Młodych Komunistów
w Anglii). Młodzież opuściła swoją czerwoną flagę i wywiesiła
narodową flagę Katalonii. Na Miejskiej Centrali Telefonicznej, to
jest w miejscu, gdzie zaczęły się kłopoty, obok flagi katalońskiej,
powiewała flaga anarchistyczna. Osiągnięto tam coś w rodzaju
tymczasowego kompromisu i w rezultacie praca centrali przebiega-
ła bez zakłóceń, a z budynku nie prowadzono ostrzału.

Na naszym stanowisku panował dziwny spokój. Gwardziści
opuścił stalowe żaluzje w *Cafe Moka* i zbudowali barykadę z rzu-
conych, na stos kawiarnianych mebli. Później wzniesli oni jeszcze
jedną barykadę: sześciu z nich wyszło na dach naprzeciw nas,
ułożyło materace i zatknęło katalońską flagę. Wyglądało jednak
na to, że nie spieszo im było do walki. Kopp zawarł z nimi
następujący układ: jeśli oni nie otworzą do nas ognia, to i my
nie będziemy do nich strzelać. Zdążył się on nawet zaprzyjaźnić
z żołnierzami z Gwardii Cywilnej i odwiedził ich kilkakrotnie w
Cafe Moka. Rozumie się, że wszystko co nadawało się w kawiarni
do picia zostało przez nich zarekwirowane. Ofiarowali oni Koppowi
piętnaście butelek piwa. Kopp natomiast zrewanżował się im jed-
nym z naszych karabinów — ten prezent miał być zadośćuczynie-
niem za karabin, który w jakiś sposób stracili poprzedniego dnia.
Tak czy inaczej, siedzenie na dachu budziło we mnie mieszane
uczucia. Niekiedy byłem najzwyczajniej w świecie znudzony tym

wszystkim, nie zwracałem uwagi na piekielny hałas i na długie godziny zagłębiałem się w lekturze całej serii książek z biblioteki Penguin'a, które szczęśliwym trafem udało mi się kupić kilka dni wcześniej. Innym razem zaś uświadamiałem sobie, że jestem obserwowany z odległości pięćdziesięciu metrów przez uzbrojonych żołnierzy. Czułem się poniekąd, jakbym znów znajdował się w okopach; kilkakrotnie złapałem się na tym, że na gwardzistów mówiłem „faszyści”. Najczęściej było nas tam na górze sześciu. Dwóch żołnierzy umieściliśmy na straży w każdej z obserwacyjnych wież, podczas gdy reszta siedziała poniżej, na ołowianym dachu, osłonięta jedynie kamienną balustradą. Bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę, że gwardziści mogą lada chwila otrzymać telefoniczny rozkaz otwarcia ognia. Uzgodniliśmy wprawdzie z nimi, że zawiadomią nas o tym wcześniej, nie było jednak pewności, czy dotrzymają oni umowy. Ale tylko raz doszło do takiej sytuacji, kiedy zdawało się, że kłopoty się zaczęły. Jeden ze znajdujących się naprzeciw gwardzistów, uklęknął i zaczął strzelać zza barykady. Pełniłem właśnie służbę w obserwatorium. Wycelowałem w niego karabin i wrzasnąłem:

— Hej! Nie strzelaj do nas!

— Co?

— Nie strzelaj, bo my też zaczniemy strzelać!

— Nie, nie! Nie strzelałem do was. Spójrz, o tam na dole!

Karabinem wskazał na boczną ulicę, która biegła z tyłu budynku. I rzeczywiście, za rogiem przemykał się jakiś młody człowiek w niebieskim kombinezonie, z karabinem w ręku. Najwidoczniej wybrał on sobie gwardzistę na dachu za cel.

— Strzelałem do niego. Ale on strzelał pierwszy. (Jestem przekonany, że mówił prawdę.) Nie chcemy do was strzelać. Jesteśmy przecież takimi samymi robotnikami jak wy.

Pozdrowił mnie antyfaszystowskim gestem, który mu odwzajemniłem.

— Nie zostało wam piwa?

— Nie, już się skończyło.

Jeszcze tego samego dnia jakiś żołnierz ze znajdującego się opodal budynku obsadzonego przez JSU uniósł karabin i ni stąd, ni zowąd, nagle do mnie wypalił, kiedy wychylałem się przez okno.

Chyba wydałem mu się kuszącym celem. Nie odpowiedziałem ogniem. Chociaż strzelał z odległości zaledwie stu metrów, to jednak pocisk przeleciał na tyle daleko, że nie trafił nawet w dach obserwatorium. I znów poziom umiejętności strzeleckich Hiszpanów ocalił mi życie. Kilkakrotnie jeszcze częstowano mnie kulami z tego budynku.

Piekielny łoskot strzelaniny nie ustawał. Z moich obserwacji wynikało, że walki po obu stronach miały defensywny charakter. Wszyscy po prostu siedzieli w budynkach oraz za barykadami i zawzięcie strzelali do przeciwników. Mniej więcej o pół mili od nas biegła ulica, przy której stały, niemal dokładnie naprzeciw siebie, główne kwatery CNT i UGT. Z tamtego rejonu dochodził hałas o ogromnym natężeniu. Na drugi dzień, po ustaniu walk, przechodziłem tą ulicą i szyby w wystawach przypominały sito. (Większość sklepikarzy w Barcelonie przyklejała na szybach wystawowych taśmę papierową na krzyż i dzięki temu po uderzeniu pocisku nie rozpadały się one na kawałki.) Niekiedy grzechot karabinów i cekaemów bywał przerywany wybuchami ręcznych granatów. Zdarzało się też, że w długich odstępach czasu następowały przerażające eksplozje. Było ich chyba około dwunastu i nie mogłem się wówczas zorientować, co je powoduje. Odgłosy tych eksplozji mogły wskazywać, że były to bomby lotnicze, ale taką możliwość należało wykluczyć, gdyż nigdzie w pobliżu nie było samolotów. Dowiedziałem się później i można to chyba uznać za prawdę, że prowokatorzy odpalali duże ilości materiałów wybuchowych w celu wywołania powszechnej paniki i zamieszania. Z dział jednakże nie strzelano. Nasłuchiwałem, czy gdzieś nie pobrzmiwają, wprowadzenie bowiem do akcji artylerii oznaczało by, że sprawy zaczęły przybierać poważny obrót (artyleria jest decydującym czynnikiem podczas walk ulicznych). Później można było przeczytać w gazetach fantastyczne opowieści o zionących ogniem bateriach dział, wszelako nikt nie potrafił wskazać takiego budynku, który zostałby trafiony armatnim pociskiem. Trudno w końcu nie rozpoznać odgłosów kanonady artyleryjskiej, jeśh się do nich przywykło.

Prawie od początku zaczęło brakować żywności. Zaopatrywanie w nią piętnastu czy dwudziestu żołnierzy milicji, którzy

przebywaliby w budynku Komitetu Wykonawczego POUM, nastrożono trudności, ponieważ na Ramblas gwardziści ciągle strzelali z ukrycia, jedzenie przynoszono dla nich pod osłoną ciemności z hotelu *Falcon* i nie wystarczało dla wszystkich. W tej sytuacji, kto z nas tylko mógł, ten chodził na posiłki do hotelu Continental. *Continental* został „skolektywizowany” przez Generalite, a nie, jak większość hoteli, przez CNT bądź UGT i uważano go za teren neutralny. Zanim jeszcze doszło do walk hotel już był wypełniony niezwyklejym towarzystwem i dosłownie pękał w szwach. Gościli w nim dziennikarze, podejrzani osobnicy, reprezentujący pełną gamę politycznych poglądów, amerykański lotnik w służbie rządu, rozmaici agenci komunistyczni, a wśród nich tęgi, groźnie wyglądający Rosjanin, z przyczepionym do pasa rewolwerem i „zgrabną” małą bombką, o którym mówiono, że jest agentem OGPU i nadano mu przydomek Charlie Chan. Ponadto, zamieszkiwało ten hotel kilka zamożnych rodzin hiszpańskich sympatyzujących chyba z faszystami, dwóch albo trzech rannych żołnierzy z Brygady Międzynarodowej, grupa wracających do Francji kierowców ogromnych francuskich ciężarówek z ładunkiem pomarańczy, którzy musieli przerwać jazdę z powodu walk i wreszcie sporo oficerów Armii Republikańskiej. Armia Republikańska jako całość zachowywała w czasie walk neutralność, niemniej pewna liczba jej żołnierzy wymknęła się z koszar i wzięła udział w ulicznych potyczkach na własną rękę; we wtorek rano widziałem kilku z nich na barykadzie POUM. U zarania tych wydarzeń, nim Jeszcze zaczęły doskwierać niedobory żywności i nim prasa przystąpiła do rozpalaenia nienawiści, ludzie skłonni byli uważać je za żart. Mówili oni, że przecież co roku dochodzi do podobnych zajść. George Tioli, włoski dziennikarz i wielki nasz sympatyk, wszedł do hotelu w splamionych krwią spodniach. Był on w mieście, gdyż chciał się rozejrzeć w sytuacji i kiedy akurat opatrywał jakiegoś rannego żołnierza, ktoś dla kawału rzucił do niego ręcznym granatem. Na szczęście Tioli nie odniósł poważniejszych obrażeń. Przypominam sobie jego uwagę, że kamienie brukowe w Barcelonie powinny być numerowane. Uniknięto by wtedy wielu kłopotów przy wznoszeniu i burzeniu barykad. Pamiętam też kilku żołnierzy z Brygady Międzynarodowej, którzy siedzieli w moim pokoju hotelowym, kiedy

właśnie wróciłem zmęczony, głodny i brudny, po nocnej warcie. Zachowywali oni całkowitą neutralność wobec tych wydarzeń. Jeśli byliby wierni swojej partii, to powinni byli, jak przypuszczam, nalegać, abym przeszedł na drugą stronę, nie mówiąc już o obywatelstwie mnie i odebraniu mi granatów, których miałem pełne kieszenie. Tymczasem oni litowali się nade mną, że jestem na przepustce i muszę stać na warcie na dachu. Powszechnie panowała następująca opinia: „To tylko utarczki pomiędzy anarchistami a policją i nie mają one dużego znaczenia”. Pomimo tego, że walki się rozszerzały i przybywało ofiar, gotów jestem przyjąć, iż ta opinia była bliższa prawdy od oficjalnej wersji wydarzeń, według której mieliśmy do czynienia z planowanym powstaniem.

Mniej więcej w środę (5 maja) nastąpiły jakby pewne zmiany. Opuszczone żaluzje w sklepach sprawiały, że ulice wyglądały koszmarnie. Nieliczni przechodnie, których jakieś sprawy wyciągnęły na dwór, przemykali się tam i z powrotem wymachując białymi chusteczkami. Na pewnym placu w połowie Ramblas, gdzie nie zagrażały kule, gazeciarze zachęcali głośno do kupna gazet, mimo, że ulica opustoszała. *Solidaridad Obrera*, anarchistyczne pismo, które ukazało się we wtorek, uznała atak na Miejską Centralę Telefoniczną za „gigantyczną prowokację” (lub użyto słów o podobnym sensie). Środowe wydanie tego pisma natomiast było już utrzymane w innym tonie: nawoływało do powrotu do pracy. Ten sam apel ogłaszali również przywódcy anarchistów. Atak na Centralę Telefoniczną zbiegł się mniej więcej w czasie z napaścią na niechronioną redakcję gazety POUM *La Batalla*. Chociaż Gwardia Cywilna zajęła lokal, gazetę tę udało się wydrukować w innym miejscu i trochę jej egzemplarzy rozprowadzono. Wzywała ona wszystkich do pozostania na barykadach. Ludzie gubili się w domysłach, czym też ta przekłeta awantura się skończy. Nie wątpię, że nikt jeszcze wówczas nie opuścił barykady, jednakże wszyscy mieli już powyżej uszu tej bezsensownej walki, która nie mogła rzecz jasna doprowadzić do żadnego rozsądnego rozwiązania. Przekształcenie tych zamieszek w wojnę domową, w pełnym tego słowa znaczeniu, mogło być równoznaczne z oddaniem zwycięstwa Franco. Takie obawy jak słyszałem, wygłaszano wszędzie. Na podstawie różnych wypowiedzi można się było zorientować, że za-

równy w owym czasie, jak i od samego początku postulaty szeregowych członków CNT sprowadzały się jedynie do dwóch żądań: zwrotu Centrali Telefonicznej i rozbrojenia znenawidzonej Gwardii Cywilnej. Gdyby *Generalite* gotów był przyrzec ich spełnienie, to ani chybi w ciągu dwóch godzin nie byłoby śladu barykad. Ale wiadomo było, że *Generalite* się nie ugnie. Rozchodziły się niepokojące pogłoski. Powiadano, że rząd w Walencji wysłał sześć tysięcy żołnierzy, którzy mają okupować Barcelonę, i że naprzeciw nich stanie pięć tysięcy anarchistów oraz oddziały POUM, wycofane z aragońskiego frontu. Z tych dwóch plotek tylko ta pierwsza okazała się prawdziwa. Siedząc na wieży obserwacyjnej widzieliśmy małe szare kontury okrętów wojennych, zbliżających się do portu. Douglas Moyle, który był marynarzem, powiedział nam, że przypominają mu one brytyjskie niszczyciele. W rzeczy samej to były brytyjskie niszczyciele, ale jeszcze wtedy o tym nie wiedzieliśmy.

Tego samego wieczoru dowiedzieliśmy się, że czterystu gwardzistów poddało się na Plaža de Espana i przekazał oni swoją broń anarchistom. Ponadto krążyła wiadomość o przejęciu przez CNT kontroli nad przedmieściami (głównie dzielnice robotnicze). Wszystko wskazywało na to, że szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Ale zanim nastąpiła noc, wezwał mnie Kopp i z grobową miną powiedział mi, że według informacji, które właśnie otrzymał, rząd zamierza wyjąć POUM spod prawa i wydać jej wojnę. Wiadomość ta była dla mnie szokiem. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, w jaki sposób będzie się prawdopodobnie próbowało przedstawić później te wydarzenia. Wyobrażenia podpowiadała mi, że po zaprzestaniu walk cała wina spadnie na najsłabszą partię, czyli na POUM, która w związku z tym najlepiej nadawała się do roli kozła ofiarnego. Nie mogliśmy w tej sytuacji nadal zachowywać neutralności. Jeśli zatem rząd wydałby nam wojnę, to nie mielibyśmy innego wyjścia, jak tylko się bronić. Nietrudno też było przewidzieć, że gwardziści znajdujący się obok naszego budynku Komitetu Wykonawczego, dostaną rozkaz, aby nas zaatakować. Naszą jedyną szansą było uprzedzić ich w ataku. Kopp czekał przy telefonie na rozkazy. Gdybyśmy otrzymali jednoznaczną informację, że POUM została zdelegalizowana, należało wówczas

natychmiast rozpocząć przygotowania do zajęcia *Cafe Moka*.

Nie zapomnę długiego, koszmarnego wieczoru, który przyszło nam spędzić w ufortyfikowanym budynku. Zamknęliśmy stalowe kraty przed frontowym wejściem, a za nimi stanęła barykada z kamiennych płyt pozostawionych przez prowadzących remont robotników. Udaliśmy się do naszego magazynu broni. Karabinów mieliśmy dwadzieścia jeden sztuk, uwzględniając te na dachu *Polioramy*, oraz jeden zepsuty i do każdego z nich było około pięćdziesięciu naboii. Ponadto, znajdowało się jeszcze kilka tuzinów bomb, kilka pistoletów i rewolwerów, i to już wszystko. Do ataku na *Cafe Moka* — gdyby do niego miało dojść — zgłosiło się na ochotnika mniej więcej dwunastu żołnierzy, w większości Niemców. Powinniśmy nacierać od dachu, oczywiście pomiędzy północą a świtem i zaskoczyć ich. Co prawda gwardzistów było więcej, ale za to wśród nas panował silniejszy duch walki i mimo, że podczas tej akcji ofiary byłyby nieuniknione, jednak gotowi byliśmy ją podjąć. Poza kilkoma tabliczkami czekolady nie mieliśmy w budynku nic do jedzenia. Ponadto rozeszła się pogłoska, że „oni” zamierzają odciąć nam dopływ wody. (Nikt nie wiedział, kto to są ci „oni”. Mógł to być rząd, który rozciągnął kontrolę nad wodociągami, ale też mogła to być CNT — nikt nie znał prawdy.) Wiele czasu zajęło nam napełnianie wodą wszystkich misek w umywalniach, wszystkich wiader, które udało się znaleźć, i wreszcie piętnastu opróżnionych butelek po piwie ofiarowanych Koppowi przez gwardzistów.

Po sześćdziesięciu godzinach prawie bez snu byłem w podłym nastroju i ze zmęczenia ślaniałem się na nogach. Było już późno. Żołnierze ułożyli się do snu na parterze za barykadą, zajmując całą powierzchnię podłogi. Mały pokój z kanapą na piętrze postanowiliśmy przeznaczyć na punkt opatrunkowy. Tymczasem, co znamienne, w budynku nie było ani jodyny, ani bandaży. Moja żona przyszła z hotelu ofiarując swoje usługi jako pielęgniarka. Ja natomiast wyciągnąłem się na kanapie, chcąc sobie zafundować półgodzinną drzemkę przed atakiem na *Cafe Moka*, podczas którego, jak sądziłem, przyjdzie mi naprawdę zginąć. Pamiętam, że przytroczony do pasa pistolet wgniatał mi się w krzyże powodując nieznośny ucisk. Przypominam sobie też, jak zerwałem się później

na równe nogi i zobaczyłem stojącą obok mnie żonę. Dzień był już w pełni, nic się nie wydarzyło, rząd nie wypowiedział wojny POUM, wody nie odcięto i poza nielicznymi strzałami na ulicy wszystko przebiegało normalnie. Żona powiedziała mi, że nie miała serca mnie budzić i spała w hotelu w jednym z pokoiów od frontu.

Tego popołudnia nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni. Strzelanina osłabła i ulice z zadziwiającą szybkością zapełniły się przechodniami. W kilku sklepach podniesiono żaluzje, a na targ napłynął olbrzymi tłum ludzi, pragnących kupić coś do jedzenia. Stragany były jednak prawie puste, a tramwaje w dalszym ciągu stały unieruchomione. Żołnierze z Gwardii Cywilnej wciąż tkwili za barykadą w *Cafe Moka*; żadna ze stron nie odwołała swoich ludzi z ufortyfikowanych budynków. Wszyscy uganiali się za żywnością. Zewsząd dobiegały te same pełne niepokoju pytania: „Jak myślisz, już się to skończyło? A może się znów zacznie?” „To”, czyń walki, urosło do rangi klęski żywiołowej, podobnej do huraganu albo do trzęsienia ziemi, która dotykała każdego z nas bez wyjątku i której nikt nie był w stanie powstrzymać. I rzeczywiście, niemal natychmiast — sędzę, że rozejm trwał jedynie parę godzin, choć wydawały się one minutami — rozległ się gwałtowny łoskot karabinowej strzelaniny. Zahuczało jak grom z jasnego nieba w czerwcowy dzień i kto żyw rzucił się do ucieczki. Z trzaskiem opadły stalowe żaluzje, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyludniły się ulice i „to” zaczęło się od nowa.

Rozgoryczony i miotany wściekłością wróciłem na moje stanowisko na dachu. Kiedy bierze się udział w takich wydarzeniach, to, jak sędzę, w pewnym sensie tworzy się historię. Powinno się zatem mieć z tych względów poczucie historycznej roli. Ale w rzeczywistości jest inaczej, zawsze bowiem w takich chwilach drobne sprawy przesłaniają wszystko inne. Ani razu w ciągu walk nie przeprowadziłem poprawnej analizy sytuacji, choć odlegli o setki mil dziennikarze nie mieli z tym najmniejszych trudności. Podczas żalonych potyczek na śmierć i życie, nie oddawałem się rozważaniom nad ich rzeczywistymi przyczynami, lecz najzwyczajniej w świecie moje myśli zaprzętały przede wszystkim niewygoda i nuda, których doświadczyłem siedząc dniami i nocami na owym przeklętym dachu. Do tego jeszcze doskwierał potęgający się głód

— nikt z nas bowiem nie miał nic „konkretnego” w ustach od poniedziałku. Przez cały ów okres żyłem jednym pragnieniem: zaraz jak tylko skończy się ta cała awantura, jak najprędzej wracać na front. To było trudne do zniesienia. Po stu piętnastu dniach na pierwszej linii wróciłem wynędzniały do Barcelony, aby zaznać wygód i wypoczynku; przyszło mi tymczasem siedzieć na dachu naprzeciw, podobnie jak ja znudzonych żołnierzy Gwardii Cywilnej, którzy co pewien czas machali do mnie i zapewniali głośno, że są „robotnikami” (co miało znaczyć, że żywią nadzieję, iż nie będę do nich strzelał), i którzy bez wątpienia otworzyliby ogień, gdyby otrzymali odpowiedni rozkaz. Jeśli to miała być historia, to trudno było odnieść takie wrażenie. Tamte dni, przypominały raczej najgorsze chwile na froncie, kiedy brakowało ludzi i wydłużano nam służbę wartowniczą. Zamiast dokonywać bohaterskich czynów, trzeba było trwać na posterunku, a znudzony, ślaniający się na nogach z niewyspania żołnierz zupełnie obojętniał na to, co się wokół niego działo.

W hotelu znajdował się bardzo zróżnicowany tłum, a większość z tych ludzi nie śmiała wystawić nosa za drzwi. Dojrzewała wśród nich okropna atmosfera podejrzliwości. Różne osoby „zarażone” szpiegomania krążyły po budynku szepcząc o innych, że są wywiadowcami bądź komunistów, bądź trockistów, bądź anarchistów, bądź kogo tam jeszcze. Tęgi rosyjski agent brał po kolei na stronę zagranicznych uchodźców i przekonywająco wyjaśniał im, że cała ta awantura jest wynikiem spisku anarchistów. Przyglądałem mu się nie bez pewnego zainteresowania, gdyż spotkałem oto po raz pierwszy kogoś, kogo zawodem było opowiadanie kłamstw — nie licząc dziennikarzy. Było coś odpychającego w tym karykaturalnym życiu, które toczyło się w eleganckim hotelu za opuszczonymi żaluzjami i wśród hałasu strzałów karabinowych. Frontowa jadalnia opustoszała kiedy pocisk przeszedł przez szyby i rozłupał kolumnę. Goście stłoczyli się w ciemnym pokoju na zapleczu, a tam nie wystarczyło dla wszystkich stolików. Zmalała ilość kelnerów, część z nich będąc członkami CNT, przystąpiła do strajku generalnego. Zdjęli oni zatem na pewien czas frakowe koszule, chociaż posiłki nadal podawano z udawanym namaszczeniem. Nie zmienia to wszakże faktu, że nie było prawie co jeść. W ów czwartek głównym

daniem była j e d n a sardynka na osobę. Od wielu dni brakowało chleba, a nawet zapasy wina topniały tak szybko, że piliśmy coraz starsze roczniki, płacąc za nie coraz wyższe ceny. Te niedobory żywności utrzymywały się jeszcze przez kilka dni po wygaśnięciu walk. Trzy dni z rzędu, jak pamiętam, przyszło nam z żoną jeść na śniadanie kawałek sera z koziego mleka, nie mając ani chleba, ani nic do popicia. Tylko pomarańcze były towarem występującym w obfitości. Przynieśli je do hotelu w dużych ilościach francuscy kierowcy ciężarówek. Sprawiali oni wrażenie chuligańskiej paczki. Były wśród nich krzykliwie ubrane hiszpańskie dziewczyny i masywnie zbudowany ładowacz w niebieskiej bluzie. Gdyby tylko sytuacja była inna, dyrektor hotelu, przysadzisty snob, zrobiłby wszystko, aby uprzykrzyć im życie, a nocleg dla nich z pewnością by się nie znalazł. Na razie jednak cieszyli się oni sympatią, gdyż w odróżnieniu od pozostałych gości, mieli swoje własne zapasy chleba i wszyscy przymawiali się do nich o ten rarytas.

Owa noc była ostatnią, jaką spędziłem na dachu. Nazajutrz wszystko wskazywało, że walki mają się ku końcowi. Owego dnia — w piątek — nie strzelano już, moim zdaniem, tak bardzo. Trudno było ustalić z całą pewnością, czy oddziały z Walencji rzeczywiście przybyły (w istocie przybyły tego dnia wieczorem). Rząd przekazywał w audycjach radiowych uspokajające i zastraszające zarazem apele. Nawoływano do powrotu do domu, grożąc aresztowaniem tym wszystkim, którzy po oznaczonej godzinie będą jeszcze nosić broń. Wprawdzie nikt na te apele nie zwracał uwagi, niemniej barykady wszędzie pustoszały. Nie mam wątpliwości, że działo się tak głównie z powodu niedoboru żywności. Na każdym kroku można było usłyszeć uwagi: „Nie mamy już co jeść. Trzeba wracać do pracy.” Tymczasem Gwardia Cywilna, która nie musiała się martwić o swoje racje żywnościowe, dopóki cokolwiek do jedzenia było jeszcze w mieście, mogła nadal pozostawać na swoich posterunkach. Po południu na ulicach toczyło się już nieomal normalne życie, chociaż opuszczone barykady ciągle stały. Zaludniły się Ramblas, większość sklepów była otwarta — oraz co było najbardziej optymistyczne — drgnęły i zaczęły kursować tramwaje, tworzące dotąd przez długi czas zastygłe korki. Gwardia Cywilna wciąż okupowała *Cafe Moka* i nie rozebrała barykady.

Niektórzy z gwardzistów wystawili na chodnik fotele i siedzieli w nich trzymając na kolanach karabiny. Przechodząc tamtędy mru-
gnąłem do jednego z żołnierzy, a on odwzajemnił mi się całkiem
szczerym uśmiechem; bez wątpienia rozpoznał mnie. Z budynku
Centrali Telefonicznej ściągnięto anarchistyczną flagę i powiewała
tam tylko flaga katalońska. Oznaczało to, że robotnicy zostali
ostatecznie pokonani. Zdałem sobie sprawę — choć może nie
tak jasno jak powinienem, gdyż przeszkodziła mi w tym moja
polityczna ignorancja — że gdy tylko rząd poczuje się pewniej,
zaczną się prześladowania. Doznałem ogromnej ulgi, kiedy ucichł
piekielny łoskot strzelaniny, kiedy można było kupić jedzenie i
kiedy wreszcie powstała możliwość zażycia odrobiny wypoczynku,
i spokoju przed powrotem na front.

Bodaj późnym wieczorem owego dnia pojawiły się na ulicach
oddziały z Walencji. Była to Gwardia Natarcia — jeszcze jedna
formacja podobna do Gwardii Cywilnej i Karabinierów (czyli żoł-
nierzy pełniących funkcje policyjne) — oraz doborowe jednostki
republikańskie. Pojawili się oni nagle, jakby wyrosli spod ziemi.
Co krok można było spotkać na ulicach dziesięcioosobowe patrole,
złożone z wysokich mężczyzn w szarych lub błękitnych mundurach.
Wszyscy oni mieli przewieszane przez plecy karabiny i na każdy
patrol przypadał jeden erkaem. Tymczasem należało wykonać
pewne delikatne zadanie. Chodziło mianowicie o przyniesienie za
wszelką cenę z powrotem do budynku POUM sześciu karabinów,
których używaliśmy podczas służby wartowniczej w wieżach ob-
serwatorium i które tam ciągle leżały. Problem stanowiło przenie-
sienie ich przez ulicę. Należały one do uzbrojenia budynku, ale
wyjście z nimi na dwór oznaczało pogwałcenie rządowego dekretu.
Gdyby nas więc zatrzymano z karabinami w rękach, zostalibyśmy
niechybnie aresztowani, a co najgorsze broń by skonfiskowano. Nie
mogliśmy sobie pozwolić na utratę sześciu karabinów mając ich w
budynku zaledwie dwadzieścia sześć. Wyprowadzenie w pole pa-
troli Gwardii Natarcia nie przedstawiało trudności. Niebezpieczni
dla nas byli żołnierze Gwardii Cywilnej w *Cafe Moka*. Wiedzieli
oni dobrze, że mamy w obserwatorium karabiny i mogli narobić
rabanu, widząc jak je przenosimy. Każdy z nas pozbył się części
garderoby, przewiesił karabin przez lewe ramię, kolbę wetknął pod

pachę, a lufę do nogawki. Były to niestety długie Mausery. Nawet dla kogoś tak wysokiego jak ja, noszenie długiego Mausera jest kłopotliwe. Schodzenie po krętych schodach z obserwatorium z zupełnie usztywnioną lewą nogą było doprawdy męką. Na ulicy od razu zdaliśmy sobie sprawę z tego, że możemy się poruszać jedynie niezwykle wolno, tak wolno, aby nie trzeba było zginać kolan. Dostrzegłem przed kinem grupkę ludzi, którzy z zaciekawieniem mi się przyglądali, kiedy posuwałem się z prędkością żółwia. Często zastanawiałem się, co też mogli oni sobie o mnie pomyśleć. Ranny w wojnie? W każdym razie, wszystkie karabiny udało się przemycić na drugą stronę ulicy bez przeszkód.

Na drugi dzień żołnierze z Gwardii Natarcia byli wszędzie. Paradowali po ulicach niczym zdobywcy. Ani chybi rząd zorganizował demonstrację siły, by w ten sposób zastraszyć społeczeństwo, choć było już jasne, że nie będzie ono stawiało oporu. Jeśli naprawdę istniałaby groźba wybuchu nowych zamieszek, trzymano by wówczas żołnierzy Gwardii Natarcia w koszarach i nikt by ich nie wypuszczał na ulicę w małych grupkach. Były to wspaniałe oddziały, o niebo lepsze od innych, widzianych w Hiszpanii. Choć byń ci żołnierze poniekąd „wrogami”, patrząc na nich, nie mogłem się oprzeć uczuciu podziwu. Ale tym niemniej byłem nieco zdumiony przyglądając się im, jak kroczyli tam i z powrotem. Przywykłem do widoku obszarpanej, źle uzbrojonej milicji i nie przyszło mi do głowy, że Republika może mieć takie oddziały. Robił na mnie wrażenie nie tylko dobór żołnierzy, ale przede wszystkim ich broń. Wszyscy oni byli wyposażeni w nowiutkie karabiny znane pod nazwą „karabinów rosyjskich” (do Hiszpanii trafiały z ZSRR, lecz jak podejrzewam, wyprodukowano je w Ameryce). Miałem okazję przyjrzeć się jednemu tego typu egzemplarzowi. Co prawda, daleko mu było do doskonałości, niemniej był znacznie lepszy od okropnych starych rusznic, którymi posługiwaliśmy się na froncie. Na dziesięciu żołnierzy Gwardii Natarcia przypadał jeden erkaem, a poza tym każdy z nich miał pistolet automatyczny. Na froncie posiadaliśmy jeden karabin maszynowy na około pięćdziesięciu ludzi, pistolety i rewolwery można było zdobyć jedynie nielegalnie. W gruncie rzeczy sytuacja wszędzie wyglądała podobnie, choć nie zwracałem dotąd na to uwagi. Gwardia Cywilna oraz Karabinierzy,

których w ogóle nie wysyłano na front, byli nie tylko lepiej od nas uzbrojeni, ale też o niebo lepiej przyodziani. Przypuszczam, że tak już się dzieje podczas wszystkich wojen: ciągle ten sam kontrast pomiędzy wypiełgowaną policją na tyłach, a obdartymi żołnierzami na froncie. Mniej więcej po upływie dwóch dni stosunki oddziałów Gwardii Cywilnej z ludnością ułożyły się na ogół dobrze. Pierwszego dnia doszło jednak do pewnych zgrzytów. Niektórzy żołnierze działając, jak podejrzewam, zgodnie z instrukcjami zaczęli zachowywać się prowokacyjnie. Wsiadali oni grupami do tramwajów, przeszukiwali pasażerów, i jeśli znaleźli u kogoś w kieszeni legitymację CNT, darli ją na kawałki i deptali. Takie zachowanie wywoływało awantury z uzbrojonymi anarchistami i jedna albo dwie osoby zostały zabite. Jednak po niedługim czasie żołnierze Gwardii Natarcia przestali zachowywać się jak zdobywcy i stosunki stały się bardziej życzliwe. Dało się zauważyć, że po jednym czy dwóch dniach pobytu, większość z nich poderwała sobie dziewczyny.

Barcelońskie walki dostarczyły rządowi w Walencji, od dawna upragnionego, pretekstu do rozciągnięcia pełniejszej kontroli nad Katalonią. Milicje robotnicze miały zostać „okrojone” i wcielone do Armii Republikańskiej. Nad Barceloną powiewała flaga Hiszpańskiej Republiki — widziałem ją bodaj po raz pierwszy, nie licząc faszystowskiego okopu. Barykady przed budynkami PSUC pozostały nietknięte i co więcej, wiele z nich stało aż do czerwca. Gwardia Cywilna w dalszym ciągu okupowała strategiczne punkty. Z warowni CNT zabierano duże ilości broni, chociaż nie wątpię, że sporo jej uchroniono przed konfiskatą. Ukazująca się nadal *La Batàlia*, została do tego stopnia ocenzurowana, że pierwsza strona była niemal zupełnie biała. Gazet PSUC nie cenzurowano i na ich łamach pojawiły się płomienne artykuły domagające się likwidacji POUM, którą okrzyknięto zamaskowaną faszystowską organizacją. Agenci PSUC rozpowszechniali po całym mieście rysunek następującej treści: postać uosabiająca POUM ściągając maskę oznaczoną sierpem i młotem, spod której wyłania się szkaradna, fanatyczna twarz napiętnowana swastyką. Widać z tego, że oficjalna wersja barcelońskich walk została już ustalona: miało to być powstanie wzniecone wyłącznie przez faszystowską „piątą kolumnę”, czyli

przez POUM,

Zakończenie walk spowodowało zagęszczenie i tak już okropnej atmosfery podejrzeń i wrogości w hotelu. Rzucane na prawo i lewo oskarżenia sprawiły, że nie można było być neutralnym. Urzędy pocztowe podjęły na nowo pracę i zaczęły nadchodzić gazety z zagranicy. Pomieszczone w nich relacje z walk, nie tylko, że były napastliwe i stronnicze, ale jeszcze w znacznym stopniu mijają się z faktami. Podejrzewam, że część komunistów będących świadkami tych wydarzeń była zaskoczona ich interpretacją. Ale cóż, musieli rzecz jasna trzymać swoją stronę. Spotkawszy się znów z naszym przyjacielem komunistą zostałem przez niego zapytany, dlaczego nie przeszedłem do Brygady Międzynarodowej. Byłem tym nieco zdziwiony.

— Wasze gazety piszą, że jestem faszystą — odpowiedziałem — przychodząc z POUM będę z pewnością uznany za politycznie podejrzanego.

— Ależ co tam znowu, nie ma sprawy. Przecież wykonywałeś tylko rozkazy.

Czułem się zmuszony powiedzieć mu, że po tej całej awanturze nie mógłbym już wstąpić do jakiegokolwiek kontrolowanej przez komunistów jednostki. Przecież mogłoby to oznaczać, że wcześniej czy później zostanę wykorzystany do walki przeciw klasie robotniczej. Nie dało się przewidzieć, kiedy znów wybuchną podobne zajścia, lecz jeśli w ogóle musiałbym podczas ich trwania posługiwać się karabinem, to strzelałbym z niego po stronie ludzi pracy, a nie do nich. Wykazał on duże zrozumienie dla takiej postawy. Tym niemniej teraz, atmosfera stała się zupełnie inna. Nie można już było jak dotychczas bezkarnie powiedzieć „wybacz pan, ale mam odmienne poglądy”, albo też wychylić jednego głębszego z kimś, kto przypuszczalnie był politycznym przeciwnikiem. W hotelowym holu dochodziło niekiedy do ostrych sprzeczek. A więzienia pękały już w szwach. Oczywiście, po zakończeniu walk anarchiści zwolnili swoich więźniów. Natomiast osoby zaaresztowane przez Gwardię Cywilną — w większości trzymane w więzieniach bez rozprawy sądowej — nie odzyskiwały wolności miesiącami. Na skutek bałaganu panującego w policji doszło jak zwykle do osadzenia w aresztach zupełnie niewinnych ludzi. Wspominałem już wcześniej

o Douglasie Thompsonie, który mniej więcej na początku kwietnia został ranny Straciliśmy później z nim kontakt, podobnie jak i z innymi rannymi, gdyż przerzucano ich często z jednego szpitala do drugiego. Okazało się, że był w szpitalu w Tarragonie i wrócił do Barcelony w czasie kiedy rozpoczęły się walki. Spotkałem go na ulicy we wtorek rano i sprawiał wrażenie człowieka całkowicie zdezorientowanego trwającą wokół strzelaniną. Zadał mi pytanie, które wszyscy wówczas stawiali:

— O co tu, do cholery, chodzi?

Przedstawiłem mu sytuację najlepiej jak umiałem. Thompson odrzekł mi na to bez namysłu:

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ramię mam ciągle chore. Wracam do hotelu i nie ruszam się stamtąd.

Udał się do hotelu, który niestety (jakże ważna podczas walk ulicznych jest znajomość topografii!) znajdował się w części miasta zajętej przez Gwardię Cywilną. Do budynku wdarli się gwardziści, Thompsona zatrzymano i wtrącono do więzienia. Przez osiem dni przetrzymywano go w celi, która była tak przepelniona, że nie było się gdzie położyć. Wielu cudzoziemców o podejrzanym przeszłości politycznej zaczęło się ukrywać. Mając policję na karku żyli oni w ciągłej obawie przed denuncjacją. W najgorszym położeniu znaleźli się Włosi i Niemcy, którzy nie mieli paszportów i byli poszukiwani przez tajną policję swoich krajów. W przypadku aresztowania groziła im deportacja do Francji, skąd mogli być odesłani do Włoch lub Niemiec, a tam jeden Bóg wiedział, jaki los ich czekał. Niejedna cudzoziemka pośpiesznie regulowała swój status „poślubiając” Hiszpana. Jedna z Niemek, nie posiadająca w ogóle żadnych dokumentów, oszukała policję odgrywając przez kilka dni rolę kochanki pewnego mężczyzny. Nie zapomnę widoku zawstydzonej i zmartwionej twarzy tej dziewczyny, gdy zderzyłem się z nią w drzwiach sypialni jej „lubego”. Rzecz jasna nie była jego kochanką, obawiała się jednak, że tak sobie pomyślałem. Okropne uczucie, że można zostać wydanym tajnej policji przez kogoś z dotychczasowych znajomych, nie opuszczało nikogo ani na chwilę. Długie koszarne walki, hałas, brak snu i jedzenia, natężona uwaga i nudne siedzenie na dachu, a do tego jeszcze niepewność, czy za minutę nie dosięgnie mnie kula, czy też ja nie będę zmuszony

kogoś zastrzelić, wszystko to sprawiało, że stałem się kłębkim nerwów. Doszedłem do takiego stanu, że przy każdym skrzypnięciu drzwi kładłem rękę na pistolecie. W sobotę rano rozległy się na dworze odgłosy salw karabinowych i podniósł się krzyk: „Znowu się zaczyna!” Wypadłem na ulicę i okazało się, że to tylko kilku żołnierzy z Gwardii Natarcia strzela do wściekłego psa. Kto był w Barcelonie w owym czasie albo parę miesięcy później, ten zawsze będzie pamiętał tę straszną atmosferę — strach, podejrzenia, nienawiść, cenzurowanie gazet, zatłoczone więzienia, ogromne kolejki po żywność i grasujące, uzbrojone bandy.

Próbowałem podzielić się kilkoma obserwacjami jako ktoś, kto znalazł się w środku barcelońskich walk; obawiam się jednak, że niesamowitość owych chwil wymknęła się memu opisowi. Na przykład żywo tkwią w mojej pamięci przypadkowo zawarte wówczas znajomości, przelotne spojrzenia osób, które nie brały udziału w walkach i dla których całe te zajścia były po prostu bezsensowną bzdurą. Przypominam sobie modnie ubraną kobietę kroczącą w dół Ramblas z koszykiem na zakupy i z pudłem na smyczy, gdy o jedną czy dwie ulice dalej grzmiały karabinowe salwy. Nie wykluczam, że była głucha. Albo mężczyznę przebiegającego zupełnie pusty Plaża de Catalunya i wymachującego trzymanymi w oby rękach białymi chusteczkami. Albo dużą grupę ubranych na czarno osób, które od godziny bezskutecznie usiłowały przejść na drugą stronę tego placu. Ilekroć pokazali się oni na rogu bocznej uliczki, tylekroć żołnierze PSUC obsługujący karabin maszynowy w hotelu *Colon*, otwierali do nich ogień i zmuszali ich do wycofania się — nie rozumiem, dlaczego strzelano, ludzie ci nie mieli, rzecz jasna, broni. Pomyślałem później, że mogli to być żałobnicy. I przy-sadzistego dozorcę z muzeum nad *Polioramą*, który zdawał się traktować te zajścia jako okazję do zawarcia nowych znajomości. Był wniebowzięty mogąc podejmować u siebie Anglików — Anglicy są tacy *simpatico*, mawiał. Miał nadzieję, że znów do niego zajrzemy, kiedy będzie już po wszystkim; faktycznie odwiedziłem go ponownie. I jeszcze innego niskiego mężczyznę chroniącego się w bramie, który z zadowoleniem, wskazując głową w kierunku piekielnej strzelaniny na Plaża de Catalunya, rzekł (jakby chodziło o uczczenie słowem pięknego poranka): „A więc powtórzył nam się

dziewiętnasty czerwca". 1 wreszcie szewców w warsztacie, gdzie zamówiłem buty wojskowe. Zachodziłem do nich wielokrotnie: przed wybuchem walk, po ich zakończeniu i na krótką chwilę podczas zawieszenia broni 5 maja. Była to droga firma. Jej pracownicy należeli do UGT, choć mogli też być członkami PSUC — tak czy inaczej byli w innym obozie politycznym niż ja i wiedzieli, że służę w POUM. A jednak wykazywali całkowitą obojętność. „Ależ kłopot z tą awanturą, prawda? A jak musi psuć interesy. Że też to się nie skończy! Mogliby się przecież wyszaleć na froncie!” itd., itp. Przypuszczalnie wiele osób, a może nawet większość mieszkańców Barcelony, nie okazywała ani cienia zainteresowania dla tych wydarzeń, bądź też byli nimi pochłonięci w stopniu nie większym niż w wypadku lotniczego nalotu.

Ten rozdział poświęciłem tylko tym przeżyciom, które stały się moim udziałem. Na dalszych zaś stronach czuję się zobowiązany do naświetlenia całej sprawy w szerszym kontekście: co się w istocie wydarzyło i z jakimi skutkami, oraz gdzie leżą przyczyny barcelońskich walk. Spróbuję też ustalić, jeśli to w ogóle możliwe, kto ponosi za to wszystko odpowiedzialność. Na wydarzeniach barcelońskich zbito tak duży kapitał polityczny, że podjęcie próby obiektywnego spojrzenia na nie jest konieczne. Wiele już napisano na ten temat, starczyłoby tego na niejedną książkę. Nie przesadzę jednak twierdząc, że dziewięć dziesiątych tych publikacji zawiera kłamstwa. Bez mała wszystkie relacje, które się wówczas ukazały w gazetach, pisane były przez dziennikarzy znajdujących się w odległych miejscach. Nie tylko roiły się od przeinaczeń, ale też rozmyślnie wprowadzały w błąd. Czytelnikom, jak zwykle, przedstawiono wyłącznie jedną stronę medalu. Będąc w owym czasie w Barcelonie mogłem, podobnie jak wszyscy inni, obserwować jedynie to, co działo się w moim bezpośrednim sąsiedztwie. Ale widziałem i słyszałem wystarczająco dużo, aby móc zdemaskować wiele rozpowszechnionych kłamstw. Czytelnik nie zainteresowany politycznymi sporami i mozaiką partii oraz ugrupowań o mylących się nazwach (niczym nazwiska generałów podczas chińskiej wojny) może teraz, wzorem poprzednich rozdziałów, przejść od razu do dalszych części tekstu. Roztrząsanie szczegółów międzypartyjnych waśni jest okropnym zajęciem — przypomina skok do gnojówki.

Jeśli jednak chce się być jak najbliżej prawdy, nie da się tego uniknąć. Ta tuzinkowa awantura w odległym mieście ma dużo większe znaczenie niż by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przedstawienie w pełni wiernej i bezstronnej relacji z barcelońskich walk nigdy nie będzie możliwe, nie istnieją bowiem niezbędne dokumenty. Przyszli historycy będą musieli się zadowolić jedynie lawiną oskarżeń i partyjną propagandą. Mnie również poza tym, co sam widziałem i czego dowiedziałem się od tych naocznych świadków, których uznałem za wiarygodnych, udało się zebrać tylko niewiele danych. Ale mogę przeciwstawić się co bardziej wierutnym kłamstwom i podjąć próbę oddania wydarzeń we właściwych proporcjach.

Co się zatem rzeczywiście wydarzyło?

Od pewnego czasu w całej Katalonii utrzymywało się napięcie. We wcześniejszych rozdziałach pisałem już o walce, która toczyła się pomiędzy komunistami a anarchistami. Do maja 193? roku sprawy zaszły tak daleko, że gwałtowny wybuch zdawał się nieunikniony. Bezpośrednią przyczyną tarć był rządowy nakaz złożenia broni przez osoby prywatne, zbiegający się z decyzją o utworzeniu uzbrojonych po zęby „apolitycznych” sił policyjnych, z których mień być wykluczeni członkowie związków zawodowych. Znaczenie tych posunięć było dla wszystkich oczywiste. Wiadomo też było, że następnym krokiem będzie przejęcie kontroli nad opionowaną przez CNT kluczową częścią przemysłu. Ponadto, wśród robotników dało się zauważyć nastroje oburzenia, spowodowane

powiększającym się zróżnicowaniem na bogatych i biednych, a powszechnie panowało poczucie, że doszło do sabotażu rewolucji. Fakt, że 1 maja nie wybuchły zamieszki, był dla wielu osób miłym zaskoczeniem. 3 maja rząd zdecydował się zająć centralę telefoniczną obsługiwaną od początku wojny głównie przez pracowników zrzeszonych w CNT; padły zarzuty o nienależytym wykonywaniu obowiązków oraz o podsłuchiwaniu urzędowych rozmów. Szef policji Salas (który mógł działać zgodnie z rozkazami, albo i nie), dla zdobycia budynku wysłał trzy ciężarówki załadowane uzbrojonymi żołnierzami Gwardii Cywilnej, podczas gdy uzbrojeni tajniacy „oczyszczali” okoliczne ulice. Niemal równocześnie oddziały Gwardii Cywilnej obsadziły inne, strategicznie ważne budynki. Bez względu na to, czym się kierowano podejmując tę akcję, w powszechnym mniemaniu były one uważane za sygnał dla Gwardii Cywilnej i PSUC (komuniści i socjaliści) do ostatecznej rozprawy z CNT. Wieść o ataku na robotnicze budynki rozeszła się po mieście, na ulicach pojawili się uzbrojeni anarchiści, przerwano pracę i zaraz rozpoczęto walki. Jeszcze tej samej nocy i następnego ranka w całej Barcelonie wyrosły barykady, a zajścia trwały nieprzerwanie do 6 maja rano. Trzeba jednak stwierdzić, że walki po obu stronach miały charakter defensywny. Budynki były oblegane, ale żadnego z nich, jak mi wiadomo, nie szturmowano. Nie posługiwano się też artylerią. Z grubsza rzecz ujmując, oddziały CNT, FAI i POUM kontrolowały robotnicze przedmieścia, natomiast uzbrojone siły policyjne i PSUC zajęły centrum miasta i dzielnicę urzędów. Mimo, że 6 maja zawarto rozejm, to jednak wkrótce znów doszło do wybuchu walk, gdyż Gwardia Cywilna podjęła, przedwczesne zapewne, próby rozbrojenia robotników z CNT. Ale już następnego dnia ludzie zaczęli spontanicznie opuszczać barykady. Mniej więcej, aż do 5 maja przewaga była po stronie CNT i wielu żołnierzy Gwardii Cywilnej poddało się. Zabrakło jednak powszechnie zaaprobowanego kierownictwa i ustalonego planu — w istocie poza niesprecyzowanymi ustaleniami na temat oporu wobec Gwardii Cywilnej, jak się wydaje, żaden plan ogólny nie istniał. Przywódcy CNT i UGT zgodnym chórem nawoływali do powrotu do pracy, pomijając bowiem wszystko

inne, kończyła się żywność. W tych okolicznościach zaczęto wątpić w sens kontynuowania walki. 7 maja po południu panowała już nieomal normalna sytuacja. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wylądowało sześć tysięcy żołnierzy Gwardii Natarcia przysłanych drogą morską z Walencji i przejęli oni kontrolę nad miastem. Rząd wydał rozkaz, na mocy którego wszyscy, z wyjątkiem regularnych sił, zobowiązani byli złożyć broń i w ciągu następnych kilku dni duże jej ilości zostały skonfiskowane. Według ogłoszonych oficjalnych danych, w wyniku walk zginęło czterysta osób, a tysiąc było rannych. Czterystu zabitych wydaje się przesadzoną liczbą, skoro jednak nie ma możliwości zweryfikowania tych danych, musimy je przyjąć jako dokładne.

Jakie były konsekwencje walk? Rozumie się, że udzielenie wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie jest niemożliwe. Brak jest dowodów, że zamieszki te miały jakikolwiek bezpośredni wpływ na przebieg wojny. Ich oddziaływanie mogłoby się rzecz jasna zaznaczyć, gdyby potrwały przynajmniej kilka dni dłużej. Stały się one natomiast pretekstem do rządzenia Barceloną wprost z Walencji, do przyspieszenia procesu „okrawania” milicji, do likwidacji POUM i wreszcie przyczyniły się niewątpliwie do upadku rządu Caballero. Możemy jednak założyć z całą pewnością, że tak czy inaczej doszłoby do tych zmian. Pozostaje podstawowe pytanie, czy robotnicy z CNT wychodząc na ulicę i podejmując walkę, osiągnęli dzięki temu korzyści, czy też narazili się na straty. Twierdzę, choć są to tylko przypuszczenia, że więcej zyskali niż stracili. Zajęcie barcelońskiej centrali telefonicznej było po prostu jednym z epizodów w długim ciągu zdarzeń. Od roku, stopniowo, podstępnie przechwytywano bezpośrednią władzę z rąk związków zawodowych, a główny nurt wypadków wymknął się spod robotniczej kontroli. Wszystko zmierzało do centralizacji, prowadzącej do kapitalizmu państwowego, jeśli nie do przywrócenia prywatno-kapitalistycznych form rządzenia. Fakt, że robotnicy stawiali, w owej chwili opór, zapewne opóźnił ten proces. W rok po wybuchu wojny kataloński świat pracy stracił wiele ze swojej władzy, lecz jego sytuacja była nadal stosunkowo korzystna. Byłoby dużo gorzej, gdyby się okazało, że skapituluje on podczas pierwszej lepszej

provokacji. Nieraz tak bywa, że lepiej jest podjąć walkę i przegrać ją, niż nie bić się wcale.

Co się kryło za wybuchem walk, jeśli w ogóle miały one czemuś służyć? Czy były czymś w rodzaju *coup d'etat*, czy też próbą wzniesienia rewolucji? A może szło o obalenie rządu? Byłoby więc z góry ukartowane?

Sądzę, że jeśli można mówić o wcześniejszym przygotowaniu walk, to tylko w tym sensie, iż wszyscy się ich spodziewali. Brak było oznak, aby któraś ze stron miała jakiś ściśle ustalony plan. Anarchiści przystąpili do działań prawie na pewno spontanicznie, wydarzenia te bowiem dotyczyły głównie ich szeregowych członków. Ludzie ci wyszli na ulice, nie czekając na swoich przywódców, którzy podążyli za nimi niechętnie, albo nie podążyli wcale. Wprawdzie przedstawiciele „Przyjaciół Durrutiego”, grupki ekstremistów związanych z FAI oraz POUM byli wówczas jedynymi osobami, których w y p o w i e d z i pobrzmiewały rewolucyjnymi nutami, ale po raz kolejny poszły te organizacje za czymś przykładem, a nie nadawały tonu wydarzeniom. „Przyjaciele Durrutiego” rozpowszechnili rewolucyjne ulotki, lecz ukazały się one dopiero 5 maja, nie można zatem powiedzieć, by dały początek walkom, które wybuchły samorzutnie dwa dni wcześniej. Kierownictwo CNT odżegnało się od zamieszek już u ich zarania. Powodów po temu było kilka. Przede wszystkim fakt, że organizacja ta ciągle miała swoją reprezentację w rządzie i w *Generalite*, gwarantował, iż przywódcy CNT będą bardziej konserwatywni niż ich zwolennicy. Poza tym głównym celem CNT było zawarcie sojuszu z UGT, a walki prowadziły do powiększenia rozdzwiewu między nimi. I wreszcie — choć mało kto o tym wówczas wiedział — kierownictwo anarchistów obawiało się, że jeśli sprawy zajdą za daleko i robotnicy przejmą władzę w mieście, jak mogli to chyba uczynić 5 maja, dojdzie wtedy do obcej interwencji. Angielski krążownik i dwa niszczyciele zbliżyły się do portu, a inne okręty wojenne znajdowały się bez wątpienia niedaleko. Jak podała angielska prasa, okręty te płynęły do Barcelony „w celu ochrony brytyjskich interesów”. W rzeczywistości jednak nie wykorzystano ich do żadnej akcji, to znaczy ani nie wysadzono na ląd żołnierzy, ani też nie zabrano

na pokład uciekinierów, Z dużą dozą prawdopodobieństwa — bo trudno w tym przypadku o pewność — możemy założyć, że ten sam brytyjski rząd, który nie kiwnął nawet palcem, żeby dopomóc rządowi hiszpańskiemu w walce z Franco, gotów był teraz natychmiast podjąć zbrojną interwencję, aby bronić go przed jego własną klasą robotniczą.

Przywódcy POUM nie odżegnawali się od tych wydarzeń. W rzeczywistości nie tylko zachęcali swoich zwolenników do pozostania na barykadach, ale też wyrazili swoje poparcie (*La Batalia* z 6 maja) dla treści zawartych w ulotce wydanej przez „Przyjaciół Durrutiego”. Istnieje wiele niejasności związanych z tą ulotką. Trudno teraz znaleźć kogoś, kto miałby jej egzemplarz. Niektóre z zagranicznych gazet pisały o niej, że był to „rozklejony” w całym mieście „podżegający plakat”. Z pewnością jednak takiego plakatu nie było. Porównując różne doniesienia na ten temat ustaliłem, że ulotka ta nawoływała do: utworzenia rady rewolucyjnej (junty), rozstrzelania odpowiedzialnych za atak na centralę telefoniczną, rozbrojenia Gwardii Cywilnej. Nie jest również pewne, jak dalece *La Batalia* utożsamiała się z treścią tej ulotki. Niestety nie miałem w rękach ani ulotki, ani numeru *La Batalia* z owego dnia. W czasie walk spotkałem się jedynie z drukiem wydanym 4 maja przez małą grupkę trockistów („Bolszewicy-Leninowcy”). Piszą oni w nim po prostu: „Wszyscy na barykady — strajk generalny w całym przemyśle, z wyjątkiem przemysłu wojennego”. (Innymi słowy, druk ten nawoływał do tego, co już się odbywało). Tymczasem stanowisko przywódców POUM było chwiejne. Zawsze byli oni zdania, że powstanie można wznieść dopiero po osiągnięciu zwycięstwa nad Franco, Poza tym kierownictwo POUM trzymało się raczej skrupulatnie marksistowskiej Unii — gdy robotnicy wychodzą na ulicę, obowiązkiem rewolucyjnej partii jest być z nimi. Skutkiem tego, pomimo krzykliwych rewolucyjnych haseł o „odradzaniu się ducha 19 czerwca” itp., robili oni co mogli, żeby sprowadzić robotnicze akcje do działań defensywnych. Nigdy na przykład nie wydali rozkazu zaatakowania jakiegokolwiek budynku. Ich zwolennicy mieli po prostu przykazane, aby byli czujni i jak już wspominałem w poprzednim rozdziale, unikali strzelania

kiedy to tylko możliwe. W La Batavia ukazał się również rozkaz zabraniający oddziałom opuszczania stanowisk na froncie. Mogę zatem stwierdzić, że — jak się wydaje — POUM była odpowiedzialna za wzywanie wszystkich do pozostania na barykadach oraz przypuszczalnie za nakłanianie pewnej liczby żołnierzy do przebywania tam dłużej niż sami zamierzali. Dowiedziałem się od osób, które utrzymywały osobiste kontakty z przywódcami POUM (ja takich kontaktów nie miałem), że wydarzenia te zaskoczyły ich, niemniej uznali oni, iż trzeba się w nie włączyć. Oczywiście z decyzji tej czerpano później w zwykły sposób polityczne korzyści. Gorkin, jeden z szefów POUM, po jakimś czasie mówił nawet o „chwalebnych majowych dniach”. Od strony propagandowej mogło to być właściwe posunięcie — na krótko przed likwidacją POUM powiększyły się nieco jej szeregi. Z taktycznego punktu widzenia udzielenie poparcia treściom zawartym w ulotce „Przyjaciół Durrutiego”, małej organizacji zwyczajowo wrogo nastawionej do POUM, było chyba błędem. W atmosferze powszechnego podniecenia i wśród ostrych słów padających po obu stronach, ulotka ta była w istocie jedynie wezwaniem do pozostania na barykadach, ale opowiedzenie się za nią kierownictwa POUM, w sytuacji gdy Solidaridad *Obiera*, anarchistyczne pismo, odcięło się od tego druku, sprawiło, że komunistyczna prasa nie miała potem trudnego zadania udowadniając, iż walki były czymś w rodzaju powstania wznieconego wyłącznie przez POUM. Nie ma jednak wątpliwości, że te same artykuły pojawiłyby się na łamach komunistycznych gazet w każdym innych okolicznościach. Ale to i tak było niczym, w porównaniu z wcześniejszymi i późniejszymi oskarżeniami, mimo że dysponowano dowodami mniejszego kalibru. Szefostwo CNT postępowało ostrożniej, lecz na niewiele to się zdało. Chociaż wychwalano ich za lojalność, przy pierwszej okazji usunięto tę organizację z rządu i z *Generalite*.

Z wygłaszanych wówczas opinii nie wynikało wcale, aby zamierzano wznieść gdziekolwiek prawdziwą rewolucję. Zwykli robotnicy z CNT, wspomagani bodaj przez garstkę członków UGT, stanęli na barykadach nie po to, by obalać rząd, ale by stawić czoła atakom, które — słusznie lub nie — uważali za akcję policji. Wątpię zatem, czy określenie „powstanie”, przypisane tym z gruntu defensywnym działaniom przez niemal całą zagraniczną prasę, było odpowiednie. Były to raczej zamieszki — bardzo krwawe zamieszki, obydwie strony miały broń i chętnie robiły z niej użytek.

Jakie więc zamiary miała druga strona? A może był to nie anarchistyczny lecz komunistyczny *coup d'etat* — planowe działanie, by za jednym uderzeniem pozbawić władzy CNT?

Osobiście w to nie wierzę, choć pewne wydarzenia mogłyby na to wskazywać. Wydaje się znaczące to, że do bardzo podobnych wypadków (przejęcie centrali telefonicznej przez uzbrojoną policję na rozkaz z Barcelony) doszło dwa dni później w Tarragonie. Zatem uderzenie na barcelońską centralę telefoniczną nie było odosobnionym działaniem. Obsadzenie strategicznych punktów w różnych częściach miasta przez oddziały Gwardii Cywilnej i zwolenników PSUC, jeśli nawet nie odbyło się przed rozpoczęciem walk, to na pewno dokonało się z zaskakującą szybkością. Należy jednak pamiętać, że rzecz działa się w Hiszpanii, a nie w Anglii. Walki uliczne mają w Barcelonie tradycję. W takim mieście wypadki rozgrywają się błyskawicznie, grupy zbierają się na zawołanie, wszyscy znają topografię miasta i kiedy rozlega się huk wystrzałów, każdy podąża na swoje miejsce zupełnie jak na szkoleniu ogniowym. Przymuszalnie osoby odpowiedzialne za przejęcie centrali spodziewały się, że wynikną z tego kłopoty — choć nie na taką skalę, jak to się stało — i były gotowe stawić im czoła. Nie oznacza to jednak, że planowały one główne uderzenie na CNT. Istnieją dwa powody, które nie pozwalają mi uwierzyć, aby któraś ze stron czyniła przygotowania do walk na dużą skalę:

- 1/ żadna ze stron nie ściągnęła wcześniej do Barcelony swoich oddziałów. Do starć doszło zatem jedynie pomiędzy tymi, którzy byli już w mieście, czyli głównie pomiędzy ludnością cywilną a policją.

2/ żywność skończyła się niemal błyskawicznie. Kto służył w hiszpańskim wojsku ten wie, że istnieje taki element działań wojennych, z którym Hiszpanie radzą sobie znakomicie. Chodzi o wyżywienie żołnierzy. Nie można sobie wyobrazić, aby którakolwiek ze stron, planując tygodniowe albo dwutygodniowe walki i strajk generalny, nie zgromadziła wcześniej zapasu żywności.

Pora, by przyjrzeć się temu, co legło u podłoża całej sprawy.

W zagranicznej prasie antyfaszystowskiej podniesiono ogromny raban, lecz, jak zwykle, można było poznać argumenty tylko jednej ze stron. Tak więc barcelońskie walki zostały ukazane jako powstanie nielojalnych anarchistów i trockistów, którzy „wbili nóż w plecy hiszpańskiemu rządowi” itd. Ale cała sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Nie ulega kwestii, że podczas działań wojennych lepiej nie wszczynać walk w swoim obozie. Warto też pamiętać, że do kłótni jak do tańca potrzebna jest para, oraz, że ludzie nie zaczynają budować barykad, jeśli nie zdarzy się coś, co uznają za prowokację.

Początkiem problemów było rzecz jasna rządowe polecenie, aby anarchiści złożyli broń. W wydaniu angielskiej prasy brzmiało to następująco: broń była pilnie potrzebna na froncie aragońskim, ale nie można było jej tam posłać, gdyż pozbawieni patriotycznych uczuć anarchiści postanowili zatrzymać ją dla siebie. Takie przedstawienie sprawy dowodzi nieznanym faktycznie panującej w Hiszpanii sytuacji. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zarówno anarchiści, jak i członkowie PSUC gromadzili broń, i wybuch walk w Barcelonie jeszcze bardziej ten fakt unaoczniał; obydwie strony produkowały znaczną ilość środków bojowych. Anarchiści wiedzieli doskonale, że nawet jeśli złożą broń, to PSUC, największa siła polityczna w Katalonii, tego nie uczyni i po ustaniu walk tak się rzeczywiście stało. Tymczasem na ulicach można było zobaczyć duże ilości broni, za którą wiele by dano na froncie, a która pozostawała w rękach „apolitycznej” policji na tyłach. Przyczyną takiego stanu rzeczy były ogromne różnice pomiędzy komunistami a anarchistami i musiały one wcześniej czy później doprowadzić do jakiś zatargów. Od początku wojny hiszpańska partia komunistyczna niezmiernie powiększyła swoje szeregi i zdobyła dla siebie większość politycznej władzy. Ponadto napłynęły

do Hiszpanii tysiące zagranicznych komunistów i wielu z nich nie kryło się wcale z zamiarami „likwidacji” anarchizmu, gdy tylko skończą się zmagania z Franco. Trudno wobec tego oczekiwać, że anarchiści przekażą zdobyte latem 1936 roku uzbrojenie.

Przejęcie centrali telefonicznej w Barcelonie było po prostu zapalnym lontem, który przytknięto do istniejącej już beczki prochu. Można oczywiście przyjąć, że osoby za to odpowiedzialne nie przewidziały, iż wynikną z tego kłopoty. Jak podawano, kataloński prezydent Companys żartobliwie oświadczył kilka dni wcześniej, że anarchiści pogodzą się ze wszystkim.- Nie było to jednak rozsądne działanie. Od miesięcy dochodziło w różnych częściach Hiszpanii do wielu zbrojnych utarczek pomiędzy komunistami a anarchistami. Panujące w Katalonii, a zwłaszcza w Barcelonie, napięcie doprowadziło już do ulicznych awantur, zamachów itp, I oto nagle obiegła miasto wiadomość, że uzbrojeni żołnierze atakują budynki zdobyte przez robotników podczas czerwcowych walk, budynki, które miały dla ludzi pracy ogromną wartość emocjonalną. Trzeba pamiętać, że klasa robotnicza nie darzyła miłością Gwardii Cywilnej. Od pokoleń Ja guardia kojarzyła się po prostu z obszarnikami i zarządcami. Poza tym była podwójnie znienawidzona, gdyż całkiem słusznie wątpiono w jej lojalność podczas walk z faszystami. Jest prawdopodobne, że zgoła te same uczucia, które sprawiły, iż ludzie wyszli na ulice w ciągu pierwszych kilku godzin, kierowały nimi również na początku wojny, kiedy stawiali czoła zbuntowanym generałom. Rzecz jasna można by się spierać, czy robotnicy z CNT nie powinni byli przekazać centrali telefonicznej bez sprzeciwu. Zależy to od punktu widzenia: albo ktoś opowiada się za scentralizowanym rządem, albo za władzą robotników. Można by sprawę postawić jeszcze inaczej: „Tak, zapewne robotnicy z CNT mieli swoje racje, ale przecież trwa wojna i nie wolno im było wszczynać walk na zapleczu frontu”. Całkowicie się z tym zgadzam. Jakikolwiek wewnętrzne niepokoje działały, jak się wydaje, na korzyść Franco. Ale co w rzeczywistości zapoczątkowało walki? Nieważne czy rząd miał, czy nie miał prawa zajmować centralę telefoniczną. Problem polega na tym, że decyzja ta musiała doprowadzić do zamieszek. Było to prowokacyjne działanie, był to krok, który przypuszczalnie mógł być rozumiany następująco: „Wasza

władza się kończy — teraz nasza kolej". Zdrowy rozsądek wskazywał, że odzew mógł być tyłki jeden — opór. Ktoś wolny od uprzedzeń dostrzeże, że wina nie leżała — i nie mogła w tym przypadku leżeć — całkowicie po jednej stronie. Przyjęcie tendencyjnej wersji wydarzeń wynikało z faktu, że hiszpańskie rewolucyjne partie nie cieszyły się poparciem zagranicznej prasy i Długo by trzeba szukać, zwłaszcza w angielskich gazetach, jakiejś pochlebnej wzmianki — z dowolnego okresu wojny — o anarchistach. Oczerniano ich systematycznie i jak wiem z własnego doświadczenia, nie ma chyba takiego wydawcy, który byłby gotów wydrukować cokolwiek w ich obronie.;

Próbowałem bezstronnie opisać barcelońskie walki, choć — jak wiadomo — trudno w takim przypadku o zupełny obiektywizm. W rzeczywistości, człowiek musi brać czyjąś stronę i powinno być dostatecznie jasne do kogo żywię sympatię. Poza tym nie udało mi się zapewne uniknąć przeinaczenia faktów i to nie tylko w tym rozdziale, ale też w innych częściach książki. Wierne zobrazowanie hiszpańskiej wojny nie jest przedsięwzięciem łatwym, gdyż istnieją jedynie dokumenty o charakterze propagandowym. Uprzedzam zatem o swoich sympatiach i przypominam o błędach. Starłem się mimo wszystko być uczciwym. Aczkolwiek przedstawiony przeze mnie opis różni się całkowicie — jak będzie się można przekonać — od relacji zamieszczonych w zagranicznej prasie, a zwłaszcza w komunistycznej. Przedstawienie wersji komunistycznej jest jednak niezbędne, opublikowano ją bowiem na całym świecie; co jakiś czas była uzupełniana i spotkała się ona bodaj z najszerszym przyjęciem.

W komunistycznych i prokomunistycznych pismach całą winę za barcelońskie walki zrzucano na POUM. Wydarzenia te ukazano nie jako spontaniczny wybuch, lecz jako zaplanowane z wyrachowaniem, antyrządowe powstanie wywołane wyłącznie przez POUM przy pomocy zbałamuconych „nieodpowiedzialnych elementów". Mało tego, były one jeszcze „Wyraźnym faszystowskim spiskiem, odbyły się na rozkaz faszystów i miały na celu wzniesienie wojny domowej na tyłach, aby sparaliżować w ten sposób rząd". POUM okazała się „piątą kolumną Franco" — „trockistowską" organizacją sprzymierzoną z faszystami. *Daily Worker* z 11 maja donosił:

„Niemieccy i włoscy agenci, którzy masowo napłynęli do Barcelony, aby rzekomo «przygotować osławiony «Zjazd IV Międzynarodówki* mieli w istocie inne ważne zadania: zamierzali oni — przy pomocy miejscowych trockistów — doprowadzić do anarchii i rozlewu krwi, aby w ten sposób przygotować grunt pod niemieckie i włoskie oświadczenie, że «marynarka (Niemiec i Włoch) nie jest w stanie skutecznie nadzorować katalońskiego wybrzeża z powodu panującej w Barcelonie anarchii i w związku z tym państwa te «zmuszone zostały do wysadzenia wojsk w Barcelonie*.

Innymi słowy starano się doprowadzić do takiej sytuacji, w której rządy Niemiec i Włoch mogłyby zupełnie otwarcie dać wojskom lądowym lub piechocie morskiej polecenie desantu na katalońskim wybrzeżu ogłaszając, że czynią tak «w celu utrzymania porządku».

Oto więc Niemcy i Włosi posiadali narzędzie, dzięki któremu mogli urzeczywistnić tę operację, a była nim trockistowską organizacją znana jako POUM.

POUM, działając wspólnie z powszechnie znanymi elementami przestępczymi oraz w porozumieniu z mamionymi w anarchistycznych organizacjach osobnikami zaplanowała, zorganizowała i przeprowadziła atak na tyłach, tak dobierając czas tej akcji, aby dokładnie zbiegła się z natarciem na froncie pod Bnbaio itp.; itd.

W dalszym ciągu tego artykułu barcelońskie walki zostają przemianowane na „atak POUM", a w innym miejscu w tym samym numerze czytamy, że „bez wątplenia winą za rozlew krwi w Katalonii należy obciążyć POUM". *Inprecor* z 29 maja donosi, że tych, którzy wznosili barykady w Barcelonie „rekrutowano w tym celu wyłącznie spośród członków POUM".

Mógłbym tak jeszcze długo cytować, ale sprawa jest dostatecznie jasna. Pełną odpowiedzialność ponosiła POUM i działała ona na faszystowski rozkaz. Niebawem przedstawię nieco więcej przykładów relacji, które ukazały się w komunistycznych gazetach; jak będzie się można przekonać, tkwiące w nich wewnętrzne sprzeczności czynią je zupełnie bezużytecznymi. Zanim jednak zostaną one podane, warto zwrócić uwagę na kilka powodów, dla których przedstawienie majowych walk jako faszystowskiego powstania wznieconego przez POUM, może być *a priori* uznane za

mało wiarygodne,

1/ POUM nie miała ani tylu członków, ani wystarczających wpływów, aby wywołać zamieszki na taką skalę. Jeszcze trudniej byłoby jej doprowadzić do strajku generalnego. Była to organizacja polityczna nie posiadająca większego oparcia w związkach zawodowych i urządzenie przez nią akcji protestacyjnej w całej Barcelonie dałby bardziej opłakany wynik niż (powiedzmy) próba proklamowania przez Komunistyczną Partię Wielkiej Brytanii strajku generalnego w całym Glasgow. Wspomniałem wcześniej, że polityka przywódców POUM mogła spowodować przedłużenie się walk o pewien czas. Nie mogli oni natomiast zapoczątkować ich wybuchu, nawet gdyby chcieli,

2/ zarzuty o rzekomym faszystowskim spisku opierają się na lichych podstawach i wszystkie dowody prowadzą w innym kierunku. Dowiedzieliśmy się o planie desantowania niemieckich i włoskich wojsk w Katalonii. Ale żaden niemiecki ani włoski okręt wojenny nie zbliżył się do brzegu. Co się zaś tyczy „Zjazdu Czwartej Międzynarodówki” i „niemieckich oraz włoskich agentów”, to informacje te były wyssane z paka. Wiadomo mi, że nie było nawet rozmów na temat tego zjazdu. Owszem, istniały mgliste plany zorganizowania zjazdu POUM i jej bratnich partii (angielskiej ILP, niemieckiej SAP itp.), lecz jego termin wyznaczono nieobowiązująco na bliżej nieokreślony dzień czerwca, czyli dwa miesiące później i żaden z delegatów jeszcze wówczas nie przyjechał. „Niemieccy i włoscy agenci” natomiast, grasowali jedynie na stronicach *Daily Worker*. Ktokolwiek przekraczał w owym czasie granicę, ten wie, że nie było tak łatwo ani „masowo napływać” do Hiszpanii, ani z tego kraju wyjechać.

3/ zarówno w Lendzie, głównej twierdzy POUM, jak i na froncie nie doszło do żadnych wydarzeń. Wiadomo przecież, że jeśli przywódcy POUM chcieliby pomóc faszystom, to wydaliby swojej milicji rozkaz, by zeszła z pola walki i przepuściła przeciwników. Nic takiego jednak nie uczyniono, ani nie zaproponowano. Nie ściągnięto też zawczasu z frontu żadnych dodatkowych oddziałów, choć dyskretne przetrzucenie pod różnymi pozorami, powiedzmy, tysiąca albo dwóch tysięcy żołnierzy do Barcelony, nie byłoby trudnym przedsięwzięciem. Poza tym nie podjęto jakiegokolwiek, nawet

pośredniej, próby sabotowania działań frontowych. Transportowanie żywności i materiałów wojennych przebiegało normalnie; sprawdziłem tę informację później. Ponadto zamierzone powstanie na taką skalę, jak to usiłowano przedstawić, wymagałoby wielu miesięcy przygotowań, wywrotowej propagandy wśród milicyjnych szeregów itp. Nie było jednak żadnych oznak podobnych działań, ani też plotek na ten temat. Fakt, że milicja na froncie nie odegrała jakiegokolwiek roli w „powstaniu” powinien już mówić sam za siebie. Jeśli POUM rzeczywiście planowała *coup d'etat*, to trudno przypuścić, aby nie posłużyła się około dziesięcioma tysiącami uzbrojonych żołnierzy, czyli jedyną liczącą się siłą, jaką miała do dyspozycji.

Wynika z tego jasno, że twierdzenia komunistów o „powstaniu” zorganizowanym przez POUM na rozkaz faszystów są całkowicie bezpodstawne. Przytoczę jeszcze kilka cytatów z komunistycznych gazet. Zamieszczone w nich relacje dotyczące pierwszego wydarzenia, czyli napadu na centralę telefoniczną są pouczające; łączy je tylko jedna wspólna cecha, zrzucają mianowicie winę na drugą stronę. Warto zwrócić uwagę, że w angielskich komunistycznych gazetach obciąża się odpowiedzialnością w pierwszej kolejności anarchistów, a dopiero później POUM. Ma to jednak swoje uzasadnienie; Nie każdy Anglik słyszał o „trockizmie”, podczas gdy wszyscy dostają dreszczy na dźwięk słowa „anarchista”. Wystarczy obwieścić, że „anarchiści” maczają w czymś palce, a już tworzy się odpowiednia atmosfera uprzedzeń. Później można bezpiecznie przerzucić winę na „trockistów”, *Daily Worker* z 6 maja tak oto zaczyna swoją relację:

„W poniedziałek i we wtorek nieliczna banda anarchistów zajęła i usiłowała utrzymać budynki pocztowe. Rozpętali oni na ulicach strzelaninę.”

Nie ma to jak od samego początku odwrócić role. Gwardia Cywilna naciera na budynek obsadzony przez CNT — jak więc z tego wynika, CNT atakuje samą siebie. Tymczasem *Daily Worker* z 11 maja podaje:

„Aiquade, minister bezpieczeństwa publicznego w lewicowym katalońskim rządzie, oraz Rodriague Salas, generalny komisarz do

spraw porządku publicznego w partii Zjednoczonych Socjalistów, wysłań uzbrojone oddziały pońcji republikańskiej do budynku Telefonica w celu rozbrojenia zatrudnionych tam pracowników, będących w większości członkami związków zawodowych CNT."

Trudno przyjąć, aby pierwsza relacja zgadzała się z drugą. Mimo to nie ma w *Daily Worker* ani słowa o pomyłce. Ta sama gazeta w tym samym numerze donosi, że ulotki „Przyjaciół Durru-tiego”, od których odcięła się CNT, pojawiły się 4 i 5 maja podczas walk. *Inprecoi* zaś ogłasza, że pojawiły się one 3 maja p r z e d walkami, i dodaje, że „w świetle tycń faktów” (to jest pojawienia się różnych ulotek):

„Policja dowodzona osobiście przez prefekta zajęła centralę telefoniczną po południu 3 maja. Do wypełniających swoje obowiązki przedstawiciele sił porządku oddano strzały. Były one sygnałem dla prowokatorów do wszczęcia zbrojnych zamieszek na terenie całego miasta."

A oto co pisze *Inprecor* z 29 maja:

„O godzinie trzeciej po południu komisarz bezpieczeństwa publicznego, towarzysz Salas, udał się do centrali telefonicznej, którą zajęło poprzedniej nocy pięćdziesięciu członków POUM i różne nieodpowiedzialne elementy."

Dziwne to nieco. Okupacja centrali telefonicznej przez pięćdziesięciu członków POUM jest, można by rzec, malowniczym wydarzeniem i należałoby się spodziewać, że ktoś to wówczas zauważył. Okazuje się jednak, że dokonano tego odkrycia dopiero trzy albo cztery tygodnie później. W innym numerze *Inprecoi*'a pięćdziesięciu członków POUM przemienia się w pięćdziesięciu żołnierzy milicji POUM. Zgromadzenie aż tylu sprzeczności w tych kilku krótkich ustępach nie było zadaniem łatwym. W jednym przypadku członkowie CNT nacierają na centralę telefoniczną, innym razem zaś oni sami są tam obiektem ataku. Ulotka pojawia się przed zdobyciem centrali telefonicznej i nawołuje do tej akcji, lub też przeciwnie, wydano ją później w wyniku zajęcia poczty. Pracownicy telefonów są raz członkami CNT, a raz POUM — i

tak dalej. Ponadto dzięki panu J. R. Campbellowi dowiadujemy się z jeszcze późniejszego wydania *Daily Worker* (3 czerwca), że rząd zajął centralę tylko dlatego, iż wzniesiono już barykady!

Z powodu braku miejsca ograniczyłem się wyłącznie do podania relacji odnoszących się do jednego zdarzenia. Jednakże od tego rodzaju nieścisłości aż roi się we wszystkich sprawozdaniach zamieszczonych w komunistycznej prasie. Poza tym nie brakuje opisów całkowicie wyssanych z palca. Oto na przykład fragment oświadczenia cytowanego przez *Daily Worker* (z 7 maja) wydanego, jak podaje ta gazeta, przez hiszpańską ambasadę w Paryżu:

„Znamienną cechą tego powstania były stare monarchistyczne flagi, które powiewały na balkonach różnych domów w Barcelonie. Bez wątpienia zatknięto je tam w przekonaniu, że uczestnicy insurekcji odnieśli już pełne zwycięstwo.”

Daily Worker zapewne wydrukował to oświadczenie w dobrej wierze, jednakże odpowiedzialne za jego wydanie osoby z hiszpańskiej ambasady musiały kłamać. Każdy Hiszpan orientował się lepiej w sytuacji od nich. Monarchistyczna flaga w Barcelonie! Była to jedyna rzecz, która mogła natychmiast zjednoczyć zwalczające się ugrupowania. Nawet komuniści musieli przy czytaniu tego od razu parskać śmiechem. Podobnie w różnych komunistycznych gazetach wygląda sprawa z relacjami na temat broni, którą rzekomo posługiwała się POUM podczas „powstania”. Nie znając faktów można by im dać wiarę. Frank Pitcairn pisze w *Daily Worker* z 17 maja:

„Podczas rozruchów posługiwali się oni na dobrą sprawę wszystkimi rodzajami broni. Była ona od wielu miesięcy kradziona i ukrywana. Wykorzystywano także takie środki bojowe jak czołgi, które uprowadzono z koszar w chwili wybuchu powstania. Wiadomo, że posiadają oni nadal dziesiątki cekaemów i kilkaset karabinów.”

Inprecor z 29 maja dodaje:

„3 maja POUM dysponowała kilkoma tuzinami cekaemów i kilkuset karabinami... Na Plaža d'Espagna trockiści wprowadzili do akcji baterie «siedemdziesiątekpiątek» przeznaczonych na front aragoński. Działa te były dotąd skrzętnie ukrywane przez milicję w jej magazynach.”

Pan Pitcairn nie podaje nam w jaki sposób i kiedy stało się wiadomo, że POUM posiadała dziesiątki cekaemów i kilkaset karabinów. Podałem szacunkowo ilość broni, która znajdowała się w trzech głównych budynkach POUM — około osiemdziesięciu karabinów, parę granatów i ani jednego cekaemu; czyh mniej więcej tyle, ile potrzeba do uzbrojenia wart, które wówczas każda partia polityczna wystawiała w swoim budynku. Musi wydać się dziwne, że później, po likwidacji POUM i po przejęciu wszystkich budynków, te tysiące sztuk broni nigdy nie ujrzały światła dziennego; zwłaszcza czołgi i działa polowe, czyń uzbrojenie nie nadające się do ukrycia pod korcem. Przedstawione dwie relacje dowodzą jednak przede wszystkim zupełnego braku znajomości miejscowych warunków. Zdaniem Pitcairna POUM uprowadziła czołgi „z koszar”. Nie podaje on, z których koszar. Żołnierze przebywający w Barcelonie (w owym czasie było ich stosunkowo niewielu, gdyż wstrzymano bezpośredni nabór do partyjnych milicji) kwaterowali w Koszarach im. Lenina wraz z dużo większą ńczbą oddziałów Armii Republikańskiej. Pan Pitcairn pragnie, abyśmy uwierzyli, że POUM kradła czołgi mając błogosławieństwo Armii Republikańskiej. Podobnie sprawa wygląda z „magazynami”, w których ukrywano 75-milimetrowe działa. Nie ma ani słowa o tym, gdzie te „magazyny” się znajdowały. Natomiast baterie dział strzelających na Plaža de España pojawiły się w wielu relacjach prasowych. Sądzę jednak, że z całą pewnością można stwierdzić, iż nie istniały one nigdy. Ani razu, jak już wcześniej wspomniałem, nie słyszałem odgłosu ognia artyleryjskiego, choć byłem oddalony od Plaža de España mniej więcej o milę. Kilka dni później rozglądałem się po tym placu i na żadnym budynku nie udało mi się zauważyć śladów po armatnich pociskach. Ponadto, naoczny świadek, który był przez cały okres walk w sąsiedztwie, oświadczył, że nigdy nie było tam dział. (Nawiasem mówiąc historyjka o upro-

wadzonych działach mogła pochodzić od Antonowa-Owsinko, radzieckiego konsula generalnego. W każdym razie opowiedział on ją znanemu dziennikarzowi angielskiemu, który potem opublikował tę wiadomość w pewnym tygodniku. Antonowa-Owsinko dosięgnęła później czystka. Jaki ona miała związek z jego prawdomównością, nie wiem.) Prawda oczywiście jest taka, że historyjki o czołgach, działach polowych i tak dalej wymyślano wyłącznie dlatego, iż trudno jest w inny sposób dopasować dużą skalę barcelońskich walk do skromnych liczebnie szeregów POUM. Trzeba było ogłosić, że całą winę za zamieszki ponosi POUM i, że ta mało znacząca, pozbawiona poparcia partia miała — według *Inprecora* — „tylko kilka tysięcy członków”. Chcąc zatem, aby obydwie relacje brzmiały wiarygodnie, należało stworzyć pozory, że uzbrojenie POUM nie różniło się od wyposażenia nowoczesnej armii.

Czytając relacje o barcelońskich wydarzeniach w komunistycznej prasie nie można się oprzeć wrażeniu, że były one świadomie obliczone na nieznajomość faktów wśród czytelników i ich głównym celem było wywołanie uprzedzeń. Stąd też wzięła się na przykład taka informacja podana przez Pitcairna w *Daily Worker* z 11 maja, że „powstanie zostało stłumione przez Armię Republikańską”. Chodzi tu o to, ażeby osoby nie zorientowane nabrały przekonania, iż wszyscy w Katalonii byli wrogo nastawieni wobec „trocksistów”. Armia Republikańska pozostawała jednak neutralna przez cały czas trwania walk; wiedział o tym w Barcelonie każdy i aż trudno uwierzyć, aby pan Pitcairn nie zdawał sobie z tego sprawy. Poza tym komunistyczne gazety żonglowały liczbą zabitych i rannych w celu nadania zamieszkom przesadnego znaczenia. Diaz, Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Hiszpanii, szeroko cytowany przez komunistyczne pisma podał, że zginęło 900 osób, a 2500 zostało rannych. Kataloński minister propagandy, którego trudno posądzić o zaniżanie liczby ofiar oznajmił, że wynosiła ona odpowiednio 400 i 1000 osób. Partia komunistyczna podwajała dane i dodawała jeszcze na wszelki wypadek kilkaset osób.

Zagraniczne gazety kapitalistyczne wskazywały najczęściej na anarchistów jako sprawców walk. Kilka pism przyjęło jednak komunistyczną wersję wydarzeń. Należała do nich między innymi an-

gielska *News Chronicle*, której korespondent John Langdon-Davies był w owym czasie w Barcelonie. Oto fragmenty jego artykułu:

„TROCKISTOWSKĄ REWOLTA

.. To nie było anarchistyczne powstanie. Mamy do czynienia z udaremniwym puczem «trockistowskiej» POUM działającej za pośrednictwem kontrolowanych przez nią organizacji <Przyjaciół Durrutiego i Libertariańskiej Młodzieży... Do tragedii doszło w poniedziałek po południu, kiedy rząd wysłał oddziały uzbrojonej pohcji do centrali telefonicznej, aby rozbroiły obsługujących ją pracowników, będących w większości członkami CNT, Występujące od pewnego czasu poważne zakłócenia w pracy tej centrali miały posmak skandalu. Przed budynkami pocztowymi na Plaža de Catalunya zebrał się duży tłum. Tymczasem członkowie CNT, wycofując się z piętra na piętro ku dachowi, stawiali opór... Sytuacja była niejasna, jednakże rozeszła się pogłoska, że rząd wystąpił przeciw anarchistom... Po zapadnięciu zmroku wszystkie ośrodki robotnicze i budynki rządowe były zabarykadowane, a o dziesiątej padły pierwsze strzały i rozdzwoniły się dzwonki pierwszych sanitarek, które wyjechały na ulice. O świcie strzelanina objęła całą Barcelonę... Kiedy nastał dzień i liczba poległych przekroczyła 100 osób, można było podjąć próbę ustalenia, co się stało. Anarchiści z CNT i socjaliści z UGT nie «wyszli na ulicę w pełnym tego słowa znaczeniu. Pozostając za barykadami, po prostu uważnie śledzili rozwój wypadków i uznali, że mają prawo brać pod ogień każdego uzbrojonego człowieka, który pojawi się na ulicy... Głównymi sprawcami strzelaniny byli jak zwykle *pacos* — ukryci pojedynczy żołnierze, najczęściej faszyści, strzelający z dachów nawet nie do jakichś konkretnych celów, ale wyłącznie po to, by przyczynić się do wzrostu powszechnej paniki... Jednakże w środę wieczorem zaczęło być jasne, kto stoi za tą rewoltą. Wszystkie ściany zostały pokryte plakatami podżegającymi do natychmiastowego wzniesienia rewolucji i do zabijania republikańskich oraz socjalistycznych przywódców. Plakaty te były podpisane przez «Przyjaciół Durrutiego». We wtorek rano anarchistyczny dziennik odciął się od nich, natomiast gazeta POUM, *La Batalia*, przedrukowała ten apel nie szczędząc mu pochwał. *Agents piovocateurs*, posługując się tą wy-

wrotową organizacją doprowadzili do przelewu krwi w Barcelonie, w pierwszym mieście Hiszpanii."

Relacja ta nie w pełni zgadza się z wersją komunistyczną, którą cytowałem wcześniej, ale nawet i ona nie jest wolna od sprzeczności. Zrazu wydarzenie to przedstawiano jako „trockistowską rewoltę”, by później podać, że jego przyczyną był atak dokonany na budynek centrali, i że panowało powszechne przekonanie, iż rząd „wystąpił przeciw” anarchistom. W mieście wzniesiono barykady, za którymi stanęli członkowie CNT i UGT. Dwa dni później pojawia się podżegający plakat (w rzeczywistości była to ulotka), co daje podstawę do stwierdzenia, że zapoczątkował on zamieszki — skutek poprzedza przyczynę. Ale i tu nie uniknięto poważnych przeinaczeń. Langdon-Davies nazywa „Przyjaciół Durrutiego” i „Libertariańską Młodzież” „organizacjami kontrolowanymi przez POUM”. Tymczasem obydwie były organizacjami anarchistycznymi i nic je z POUM nie łączyło. „Libertariańską Młodzież” była młodzieżową ligą anarchistów, odpowiednikiem JSU w przypadku PSUC. „Przyjaciele Durrutiego” była niewielką organizacją działającą w ramach PAI, wrogo nastawioną wobec POUM. Jak wynika z moich ustaleń, przypadki podwójnego członkostwa nie zdarzyły się. Równie bliskie prawdy byłoby nazwanie Ligi Socjalistycznej „organizacją kontrolowaną” przez Brytyjską Partię Liberalną. Czyżby Langdon-Davies o tym nie wiedział? Jeśli tak, to powinien był z większą ostrożnością pisać o tych bardzo zawiłych sprawach.

Nie zamierzam negować dobrych intencji Langdona-Davies; opuścił on jednak Barcelonę — według powszechnej opinii — w chwili ustania walk, czyli właśnie w momencie, kiedy miał możliwość poważnego przystąpienia do zbierania informacji; można też w jego całej relacji napotkać dowody, że przyjął on oficjalną wersję o „trockistowskiej rewolcie”, nie zadając sobie trudu jej sprawdzenia. Można je nawet znaleźć w cytowanym przeze mnie fragmencie. „Po zapadnięciu zmroku” przystąpiono do wznoszenia barykad, a „o dziesiątej” padają pierwsze strzały. Tak nie mógł napisać naoczny świadek. Wynikałoby z tego, że zwykle najpierw się czeka, aby przeciwnik zbudował barykadę, a później się do niego strzela. Odnosi się zatem wrażenie, że upłynęło kilka godzin od czasu wzniesienia barykad, do czasu otwarcia ognia, podczas

gdy w rzeczywistości było oczywiście na odwrót. Zarówno ja sam, jak i wiele innych osób byliśmy świadkami pierwszych salw wczesnym popołudniem. I wreszcie pojedynczy żołnierze, „najczęściej faszyci”, strzelający z dachów. Langdon-Davies nie wyjaśnia, skąd dowiedział się, że byli faszystami. Można przypuszczać, że nie wspinał się na dachy i nie pytał ich o to. Powtarza on po prostu informacje, które mu podano i nie kwestionuje ich, ponieważ są zgodne z oficjalną wersją. Prawdę powiedziawszy, autor poprzez niebaczne powołanie się na początku swojego artykułu na Ministerstwo Propagandy ujawnia jedno prawdopodobne źródło, z którego czerpał większość wiadomości. Zagraniczni dziennikarze w Hiszpanii byli bez reszty zdani na łaskę Ministerstwa Propagandy, choć zdawałoby się, że nazwa tej instytucji powinna być dostatecznym ostrzeżeniem. Ministrowi propagandy tak bardzo zależało na podaniu bezstronnej relacji o barcelońskich wypadkach, jak — powiedzmy — niegdyś lordowi Carsonowi na przedstawieniu obiektywnych informacji dotyczących dublińskiego powstania w 1916 roku.

Wymieniłem powody, dla których komunistyczna wersja barcelońskich wydarzeń nie może być traktowana poważnie. Pora bym teraz napisał coś o głównym oskarżeniu, że POUM była tajną faszystowską organizacją na żołdzie Franco i Hitlera.

Edward H. Carson, irlandzki polityk konserwatywny; organizator zbrojnego oporu przeciw autonomii Irlandii; odegrał znaczącą rolę w utrzymaniu przez Wielką Brytanię Irlandii Północnej (przyp. Tłum.).

Oskarżenie to powtarzano w nieskończoność na łamach komunistycznej prasy, zwłaszcza od początku 1937 roku i później. Było ono częścią prowadzonej na całym świecie przez komunistyczne gazety kampanii przeciwko „trockizmowi”, którego reprezentantem w Hiszpanii miała być POUM. „Troczizm” zdaniem *Frente Rojo* (komunistyczne pismo wydawane w Walencji) „nie jest polityczną doktryną; jest to oficjalna kapitalistyczna organizacja, faszystowska terrorystyczna banda, oddająca się przestępczej działalności i sabotażowi na szkodę ludu”. POUM była nie tylko „trockistowską” organizacją sprzymierzoną z faszystami, ale też częścią „piątej kolumny Franco”. Warto zwrócić uwagę, że od początku

nie przedstawiono ani jednego dowodu, który by uzasadniał to oskarżenie; cały artykuł był utrzymany po prostu w bezdyskusyjnym tonie. Poza tym przypuszczano ten pełen potwarzy atak, nie licząc się zupełnie ze skutkami, jakie mógł on wyrzucić na toczącą się wojnę. Dla wielu komunistycznych dziennikarzy rzucanie oszczerstw na POUM okazało się ważniejsze, niż przestrzeganie tajemnicy wojskowej, I tak na przykład w lutowym numerze *Daily Worker* dopuszczono do tego, aby autorka artykułu (Winifred Bates) napisała, że POUM posiada na swoim odcinku frontu o połowę mniej oddziałów niż sądzono. Zarówno więc dziennikarka jak i *Daily Worker* bez skrupułów przekazują wrogowi, za pośrednictwem gazetowych szpalt, jedną z najważniejszych informacji. Ralph Bates podaje w *New Republic*, że „żołnierze POUM rozgrywali z faszystami mecz piłki nożnej na ziemi niczyjej”, wtedy gdy oddziały POUM faktycznie ponosiły ciężkie straty i wielu z moich osobistych przyjaciół zostało zabitych bądź rannych. Ponadto, szeroko rozpowszechniano najpierw w Madrycie, a później w Barcelonie złośliwy rysunek przedstawiający POUM zrywającą maskę z namalowanym sierpem i młotem, spod której ukazywała się twarz naznaczona swastyką. Gdyby rząd nie był faktycznie kontrolowany przez komunistów, to nigdy by nie dopuszczono do szerzenia tego rodzaju materiałów podczas wojny. Podkopywały one rozmyślnie nie tylko morale milicji POUM, lecz również wszystkich, którym przyszło walczyć u jej boku — trudno bowiem uznać za budującą wiadomość, że żołnierze znajdujący się obok na linii frontu są zdrajcami. Wprawdzie mam wątpliwości, czy obelgi, którymi obrzucano z tyłów tę organizację, doprowadzały w ogóle do demoralizacji w szeregach milicji POUM, ale były na to obliczone i osobom odpowiedzialnym za tego rodzaju akcję musiało zależeć na politycznym rozbiciu antyfaszystowskiej jedności.

Oskarżenie wysuwane przeciwko POUM sprowadzało się do następującego zarzutu: kilkadziesiąt tysięcy ludzi, głównie robotników, nie licząc osób i sympatyków przybyłych licznie z zagranicy, w większości uchodźców z faszystowskich krajów, plus tysiące żołnierzy milicji — stanowiło po prostu organizację szpiegowską na żołdzie Franco. Twierdzenie to było sprzeczne z powszechnym odczuciem i historia POUM w wystarczającym stopniu zadała mu

klam. Całe kierownictwo POUM miało za sobą rewolucyjną przeszłość. Wielu z nich brało udział w zbrojnym spisku w 1934 roku, a większość przyplaciła więzieniem prowadzenie socjalistycznej działalności za rządów Lerroux, albo w czasie monarchii. W 1936 roku Joaquín Maurin, ówczesny przywódca, był jednym z tych deputowanych, którzy ostrzegali w Kortezach przed zagrażającą rewoltą Franco. W jakiś czas po wybuchu wojny został on aresztowany przez faszystów za próbę zorganizowania oporu na ich tyłach. Kiedy doszło do wybuchu rewolty, POUM odegrała doniosłą rolę w odpieraniu wroga, a wielu jej członków poległo podczas walk ulicznych zwłaszcza, w Madrycie. Była ona jedną z pierwszych organizacji, które przystąpiły do formowania kolumn milicji w Katalonii i w Madrycie. Wyjaśnianie tych działań współpracą z faszystami wydaje się zgoła niemożliwe. Partia na faszystowskim żołdzie przeszłaby po prostu na drugą stronę.

Nie udało się też zaobserwować podczas wojny żadnych profaszystowskich akcji. Można by się spierać — choć ja ostatecznie się z tym nie zgadzam — czy to POUM, naciskając na prowadzenie bardziej rewolucyjnej polityki, doprowadziła do podziałów w łonie rządu i pomogła w ten sposób faszystom; uważam, że można by usprawiedliwić niechęć reformistycznego rządu do POUM. Ale to jednak coś innego niż bezpośrednia zdrada. Nie da się w żaden sposób wyjaśnić, dlaczego milicja POUM pozostała lojalna, jeśli partia była faszystowską organizacją. Uwzględniwszy, że osiem czy dziesięć tysięcy żołnierzy trwało na ważnych odcinkach frontu w nieznośnych warunkach zimą 1936-37 roku, że wielu z nich przebywało w okopach nieprzerwanie cztery bądź pięć miesięcy, trudno zrozumieć, dlaczego po prostu nie opuścili pola walki, albo też nie przeszli na stronę nieprzyjaciela. Zależało to przecież tylko od samych żołnierzy, a rezultaty takich decyzji mogły okazać się w wielu przypadkach rozstrzygające. A jednak nie zaprzestali oni walki i wkrótce, po rozwiązaniu POUM jako partii politycznej, kiedy wszyscy mieli ten akt świeżo w pamięci, jej milicja — jeszcze nie wcielona w szeregi Armii Republikańskiej — brała udział w morderczych atakach na wschód od Huesca, gdzie kilka tysięcy żołnierzy poległo w ciągu jednego czy dwóch dni. Bratanie się z wrogiem bądź częste dezercje były ostatnią rzeczą, której można

się było spodziewać. Wcześniej już wspomniałem, że liczba dezertów była wyjątkowo mała. Poza tym należałoby oczekiwać profaszystowskiej propagandy, szerzenia defetyzmu itp. Nin takiego nie udało się jednak zaobserwować. Rozumie się, że zapewne znaleźli się w POUM faszystowscy szpiedzy i prowokatorzy — są oni we wszystkich lewicowych partiach. Nie ma jednak dowodów na to, że było ich w tej organizacji więcej niż gdzie indziej.

Prawdą jest, że niektóre ataki komunistycznej prasy zawierały twierdzenie, wypowiedziane jednak niechętnie, iż tylko przywódcy POUM byli na faszystowskim żołdzie, a nie masy członkowskie. Ale była to zwyczajna próba oderwania szarych członków od kierownictwa. Już w samej konstrukcji oskarżenia kryło się założenie, że zwykli członkowie, żołnierze milicji itp., wszyscy oni uknuli wspólnie spisek. Było przecież zrozumiałe, że skoro Nin, Gorkin i inni byli rzeczywiście opłacani przez faszystów, to lepiej o tym wiedzieli ich zwolennicy, którzy stykali się z nimi na co dzień, niż dziennikarze w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. W każdym razie, po likwidacji POUM, kontrolowana przez komunistów tajna policja wyszła z założenia, że wszyscy są jednakowo winni. Aresztowano zatem każdego, kto mógł mieć jakieś związki z tą partią i kogo udało się ująć, nie oszczędzając nawet rannych, pielęgniarek, żon członków POUM, a w niektórych przypadkach nawet dzieci.

W końcu, w dniach 15 i 16 czerwca, POUM została zlikwidowana i uznano ją za organizację nielegalną. Był to jeden z pierwszych aktów rządu Negrina, który rozpoczął działalność w maju. Kiedy Komitet Wykonawczy POUM znalazł się już w więzieniu, komunistyczna prasa opublikowała materiały, które rzekomo ujawniały ogromny faszystowski spisek. Przez pewien czas szpalty komunistycznych gazet na całym świecie wypełniały się tego rodzaju artykułami (*Daily Worker* z 21 czerwca streszcza różne publikacje, które ukazały się w komunistycznych pismach wychodzących w Hiszpanii):

„HISZPAŃSCY TROCKIŚCI SPISKUJĄ Z FRANCO

W związku z aresztowaniem wielu trockistowskich przywódców w Barcelonie i gdzie indziej... wyszły na jaw pod koniec tygodnia szczegóły jednej z najbardziej ohydnych afer szpiegowskich,

jakie wydarzyły się podczas wojny i najbardziej jak dotąd odrażające dowody trockistowskiej zdrady... Zgromadzone przez policję dokumenty oraz pełne zeznania, co najmniej dwustu aresztowanych osób, ujawniają itd., itp."

Odkrycia te „ujawniły”, że kierownictwo POUM przekazywało generałowi Franco drogą radiową tajemnice wojskowe, że kontaktowało się z Berlinem, i że współpracowało z tajną faszystowską organizacją w Madrycie. Doszły do tego jeszcze sensacyjne szczegóły na temat tajnopisów pisanych sympatycznym atramentem, tajemnicze dokumenty sygnowane literą N (oznaczała ono nazwisko Nin) itd., itp.

Ostatecznie jednak, sześć miesięcy po tych wydarzeniach, czyli w chwili, kiedy to piszę, większość przywódców POUM nadal przebywa w więzieniach, lecz nie postawiono ich przed sądem, a oskarżeń o łączność radiową z Franco itp. nigdy nawet nie wniesiono. Gdyby rzeczywiście byli winni szpiegostwa, osądzono by ich i rozstrzelano w ciągu tygodnia, jak postępowano dotąd z wieloma faszystowskimi szpiegami. Nigdy wszak nie przedstawiono ani cienia dowodu z wyjątkiem niczym nie popartych wypowiedzi komunistycznych gazet. Co się zaś tyczy dwustu „pełnych zeznań”, które, jeśli istniały, wystarczyłyby do skazania kogokolwiek, to więcej już o nich nie wspomniano. W istocie, były to wysrane z palca płody czyjejs wyobraźni.

Ponadto większość członków hiszpańskiego rządu nie dała wiary oskarżeniom wysuwany przeciwko POUM. Podczas ostatniego posiedzenia rady ministrów, stosunkiem głosów pięć do dwóch, powzięto decyzję o uwolnieniu więźniów politycznych; dwa głosy przeciw były oddane przez komunistycznych ministrów. W sierpniu przybyła do Hiszpanii międzynarodowa delegacja pod przewodnictwem członka parlamentu, Jamesa Maxtona, aby zbadać wysunięte przeciwko POUM oskarżenia i okoliczności zniknięcia Andreasa Nina. Prieto — minister obrony narodowej, Irujo — minister sprawiedliwości, Zugazagoitia — minister spraw wewnętrznych, Ortega y Gasset — prokurator generalny, Prat Garcia i inni. Wszyscy oni całkowicie zaprzeczyli, iżby kierownictwo POUM było winne szpiegostwa. Irujo dodatkowo oświadczył, że przejrzał akta sprawy i, że ani jeden tak zwany dowód nie utrzyma się podczas

przewodu sądowego, oraz, że dokumenty, które były rzekomo sygnowane przez N sę „bezwartościowe” — czyli sfałszowane. Prieto uważał, że przywódcy POUM ponoszą odpowiedzialność za majowe walki w Barcelonie, odrzucił jednak twierdzenie, jakoby byli oni faszystowskimi szpiegami. „Najsmutniejsze w tym wszystkim — dodał — jest to, że aresztowanie kierownictwa POUM nie nastąpiło w wyniku decyzji rządu i, że policja działała na własną rękę. Osoby odpowiedzialne nie należą do szefostwa policji, lecz do jego otoczenia, do którego przeniknęli komuniści zgodnie z ich zwyczajem”. Podał on też inne przypadki bezprawnych aresztowań dokonanych przez policję. Irujo stwierdził jeszcze, że policja stała się „niemal niezależna” i kierują nią w rzeczywistości zagraniczni komuniści. Prieto dał delegacji zupełnie jasno do zrozumienia, że rząd nie może sobie pozwolić na występowanie przeciwko partii komunistycznej, póki Rosjanie przysyłają broń. Kiedy w grudniu przyjechała do Hiszpanii jeszcze jedna delegacja, pod przewodnictwem członka parlamentu, Johna McGoverna, udzielono jej takich samych odpowiedzi jak poprzednikom, a Zugazagoitia, minister spraw wewnętrznych, powtórzył uwagi Prieto w sposób nawet bardziej otwarty. „Otrzymywaliśmy pomoc z Rosji i musieliśmy w tej sytuacji zezwolić na pewne akcje, których nie popieraliśmy”. Przykładem niezależności policji, z którym warto się zaznajomić, jest fakt niezyskania zgody przez McGoverna i innych na odwiedzenie jednego z „tajnych więzień”, znajdującego się w Barcelonie i nadzorowanego przez partię komunistyczną, mimo, że posiadali oni rozkaz z podpisami dyrektora więzień i ministra sprawiedliwości.

Uważam, że to wystarczy, aby wszystko stało się jasne. Oskarżenie POUM o szpiegostwo opierało się jedynie na artykułach w komunistycznej prasie i na działaniach kontrolowanej przez komunistów tajnej policji. Kierownictwo POUM i setki, bądź tysiące jej zwolenników ciągle jeszcze przebywa w więzieniu, a komunistyczne gazety nieprzerwanie od sześciu miesięcy, wrzaskliwie domagają się stracenia „zdrajców”. Wszelako Negrin i inni nie stracili zimnej krwi i odmówili zgody na masową rzeź „trockistów”. Biorąc pod uwagę naciski, jakim podlegali, należą im się słowa uznania za takie postępowanie.

Tymczasem, w świetle przytoczonych wyżej argumentów, niezwykle trudno uwierzyć, że POUM była naprawdę szpiegowską organizacją, chyba, że ktoś obstaje przy poglądzie, iż Maxton, McGovern, Prieto, Irujo, Zugasagoitia i reszta pozostaje na faszystowskim żołdzie

Pora teraz przyjrzeć się zarzutowi, że POUM była organizacją „trockistowską”. Szermuje się tym słowem coraz swobodniej. Używane jest ono w sposób niezwykle bałamutny i często rozmyślnie mylący. Warto by się zastanowić nad jego definicją. Słowa trockista używa się w trzech różnych znaczeniach. Określa się w nim: 1/ kogoś, kto jest zwolennikiem Trockiego i opowiada się za „rewolucją światową”, w przeciwieństwie do „socjalizmu w jednym kraju”; mówiąc bardziej potocznie — rewolucyjnego ekstremistę; 2/ członka istniejącej organizacji, na której czele stoi Trocki; 3/ zamaskowanego faszystę udającego rewolucyjnego działacza, który w szczególności dokonuje sabotaży w ZSRR, lecz przede wszystkim dąży do rozbicia i osłabienia sił lewicy.

Według pierwszego kryterium, można by pewnie uznać POUM za organizację trockistowską. To samo określenie odnosiłoby się więc także do angielskiej ILP, niemieckiej SAP, francuskich Lewicowych Socjalistów itd. POUM nie łączyły jednakże żadne związki ani z Trockim, ani z trockistowską organizacją („Bolszewicy — Leninowcy”). Kiedy wybuchła wojna, przybyli do Hiszpanii z zagranicy trockiści (w liczbie 15 do 20 osób), dołączyli zrazu do POUM, jako do najbliższej im ideologicznie partii, nie przyjmując jednak jej członkostwa. Później Trocki polecił swoim zwolennikom zaatakować politykę POUM i trockistów usunięto z partyjnych biur, chociaż kilku z nich pozostało w milicji. Nin, który przewodził POUM po ujęciu przez faszystów Maurina, był kiedyś sekretarzem Trockiego. Kilka lat temu zdecydował się jednak odejść od niego i przyłączywszy różne, opozycyjne wobec komunistów ugrupowania do istniejącej wcześniej partii, Bloku Robotniczo-Chłopskiego, utworzył POUM. Te dawne związki Nina z Trockim stały się podstawą dla komunistycznej prasy do twierdzeń, że POUM jest faktycznie trockistowską. Posługując się podobną argumentacją można by dowieść, że Brytyjska Partia Komunistyczna

jest w istocie faszystowską organizacją, gdyż John Strachey był swego czasu związany z sir Oswaldem Mosley'em."

Jeśli chodzi o drugie kryterium, to tylko w ścisłym tego słowa znaczeniu, POUM nie była rzeczywiście trockistowską. Dokonanie takiego rozróżnienia jest ważne, większość bowiem komunistów z góry zakłada, że między trockistami w rozumieniu punktu 2 i 3 nie ma różnicy — czyli cała organizacja, na której czele stoi Trocki, jest po prostu faszystowską siatką szpiegowską. Określenia „trockizm” zaczęto używać w czasie procesów o sabotaż w ZSRR i nazwanie kogoś trockistą oznacza praktycznie uznanie go za mordercę, prowokatora itp. Równocześnie jednak każdy —kto z lewicowych pozycji krytykuje pohtykę komunistów — może zostać zdemaskowany jako trockista. Czyż więc nie wynika z tego, że wszyscy wyznawcy rewolucyjnego ekstremizmu są na faszystowskim żołdzie?

W praktyce zależy to od tego, jak jest w danej sytuacji wygodniej. Kiedy Maxton przybył wraz z delegacją do Hiszpanii — o czym pisałem wcześniej — zarówno *Verdad*, *Frente Rojo*, jak i inne komunistyczne gazety natychmiast zdemaskowały go jako „trockistowsko-faszystowskiego” agenta Gestapo itd. A jednak angielscy komuniści zadbań o to, by nie powtarzać tych oskarżeń. W swoich gazetach używali oni przezornie wobec Maxtona mniej precyzyjnego określenia. Nazwano go po prostu „reakcyjnym wrogiem klasy robotniczej”. Wynikło to oczywiście z faktu, że komunistyczne pisma dostały kilka porządnych nauczek przed sądem i teraz żywią uzasadnione obawy przed procesami o zniesławienie. Niepowtarzanie tych oskarżeń w kraju, gdzie być może trzeba by ich dowieść, świadczy niezbitcie o tym, że są one kłamstwami.

Na rozstrząsanie zarzutów wysuniętych przeciwko POUM poświęciłem chyba więcej miejsca, niż było to konieczne. Tego rodzaju międzypartyjne, gwałtowne awantury oraz towarzyszące im nieuchronnie — niesprawiedliwości i fałszywe oskarżenia mogą wydać się mało ważne w porównaniu z ogromem nieszczęść, jakie niesie za sobą wojna domowa. Tak jednak nie jest. Uważam, że oszczerstwa i kampania prasowa, jaką przeprowadzono, a także wywołane przez nie nastroje, mogą wyrządzić niepowetowane szkody antyfaszystowskiej sprawie.

Przyglądając się choćby pobieżnie poruszonym zagadnieniom,

nie trudno dojść do wniosku, że komunistyczna taktyka wobec politycznych przeciwników, polegająca na rozdmuchiwaniu oskarżeń, nie jest niczym nowym. Dzisiaj modne jest słowo „trockista-faszysta”, wczoraj mówiło się „socjal-faszysta”. Minęło dopiero sześć czy siedem lat, od toczących się w państwie radzieckim procesów sądowych, które „dowodły”, że kierownictwo Drugiej Międzynarodówki” oraz, na przykład, Leon Blum i prominentni członkowie Brytyjskiej Partii Pracy, knuli potężny spisek w celu doprowadzenia do zbrojnej napaści na ZSRR. Mimo to w chwili obecnej francuscy komuniści bez oporów godzą się na Bluma, jako przywódcę, a komuniści w Anglii próbują poruszyć niebo i ziemię, aby zyskać względy Partii Pracy. Wątpię, czy tego rodzaju postępowanie popłaca, nawet z sekciarskiego punktu widzenia. A tymczasem nie ma żadnych złudzeń, że oskarżenia o „trockisto-faszyzm” wywołują nienawiść i spory. Zbałamuceni szeregowi członkowie partii komunistycznych urządzają wszędzie, wzorem polowań na czarownice, bezsensowne nagonki na „trockistów”, natomiast partie w rodzaju POUM są spychane na jałowe pozycje antykomunistyczne. Zaczynają się już pojawiać niebezpieczne pęknięcia w światowym ruchu robotniczym. Jeszcze kilka oszczerstw rzuconych na ruch socjalistyczny o długich tradycjach, jeszcze kilka sfabrykowanych oskarżeń podobnych do zarzutów przeciw POUM i rozbicie stanie się faktem. Rozstrzygnięcie politycznych sporów na płaszczyźnie umożliwiającej gruntowną dyskusję jest jedyną nadzieją. Pomiedzy komunistami, a tymi, którzy znajdują się, lub twierdzą, że się znajdują na lewo od nich — istnieją poważne rozbieżności. Komuniści stoją na stanowisku, że zwycięstwo nad faszyzmem można odnieść dzięki zawarciu sojuszu z grupami wywodzącymi się z klasy kapitalistów (Front Ludowy). Ich oponenti z kolei utrzymują, że takie postępowanie prowadzi do otwarcia faszyzmowi pola do działania. Problem ten trzeba rozstrzygnąć, powzięcie bowiem błędnej decyzji może nas doprowadzić do półniewolnictwa na wiele wieków. Póki jednak jedynym argumentem pozostaje okrzyk „trockista-faszysta”, poty nawet rozpoczęcie dyskusji jest niemożliwe. Nie mógłbym na przykład wdać się w wymianę poglądów na temat przebiegu barcelońskich walk z członkiem partii komunistycznej, gdyż żaden komunista — to znaczy żaden „prawdziwy” komunista

— nie przyznałby, że przedstawiłem zgodną z faktami relację. Chcąc trzymać się wiernie „kursu” swojej partii, musiałby uznać mnie za kłamcę, albo — w najlepszym razie — za zupełnie zbalamuconego. Dodałby też pewnie, że każdy, kto przejrzał pobieżnie tytuły w *Daily Worker* i znajdował się tysiące mil z dala od miejsca wydarzeń, więcej wie o tym, co się stało w Barcelonie niż ja. W tej sytuacji dyskusja nie może się odbyć — nie da się osiągnąć niezbędnego minimum zgodności poglądów. Czemu służy mówienie o ludziach takich jak Maxton, że są na faszystowskim żołdzie? Wyłącznie uniemożliwieniu poważnej dyskusji. To tak, jak gdyby w połowie turnieju szachowego jeden zawodnik zaczął nagle wrzeszczeć na drugiego, zarzucając mu podpalenia bądź bigamię. Zagadnienia naprawdę sporne są wciąż sprawą otwartą. Oszczerstwa niczego nie załatwią.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie minęły chyba trzy dni od ustania walk w Barcelonie, kiedy wróciliśmy na front. Po zakończeniu tych walk — ściślej mówiąc po kampanii oszczerstw na łamach prasy — trudno już było patrzeć na tę wojnę w podobnie naiwny i idealistyczny sposób, jak dotąd. Podejrzewam, że próżno by szukać takich ludzi, którzy spędziwszy w Hiszpanii więcej niż kilka tygodni, nie czuliby się w jakiejś mierze rozczarowani. Przypominam sobie korespondenta prasowego spotkanego podczas mojego pierwszego dnia w Barcelonie, który powiedział mi: „Ta wojna to jest takie samo oszustwo jak wszystkie inne wojny”. Słyszając tę uwagę bardzo się oburzyłem i wierzę, że nie była ona wówczas (w grudniu) słuszna; nie była też sprawiedliwa nawet w maju, choć stała się już wtedy bliższa prawdy. Problem polega na tym, że wszystkie wojny, z upływem każdego miesiąca ich trwania, rodzą coś w rodzaju postępującego zła, takie bowiem sprawy jak wolność jednostki i niezakłamaną prasą są po prostu nie do pogodzenia ze skutecznością operacji wojskowych.

Można było teraz zacząć snuć domysły na temat przyszłych wydarzeń. Przewidzenie upadku rządu Caballero i zastąpienie go przez łatwiej ulegający wpływowi komunistów, bardziej prawicowy gabinet (doszło do tego tydzień albo dwa później), który zdecyduje się na odebranie raz na zawsze władzy związkowi zawodowemu, nie przedstawiało trudności. Natomiast w dalszej perspektywie, po

zwycięstwie nad Franco — pomijając olbrzymie problemy, które spowoduje reorganizacja życia w Hiszpanii — przyszłość nie zapowiadała się różowo. Wypisywanie w gazetach o „wojnie o demokrację” było zwykłym mydleniem oczu. Nikt rozsądny nie zakładał, że w kraju tak podzielonym i wyczerpanym, jakim będzie Hiszpania po zakończeniu wojny, pojawi się cień nadziei na demokrację, choćby w wydaniu angielskim albo francuskim. Musiała nadejść dyktatura i wiadomo było, że nie będzie to dyktatura klasy robotniczej, gdyż szanse na nią zostały pogrzebane. Wynika więc z tego, że nastąpi zwrot w kierunku jakiejś formy faszyzmu, który uzyska zapewne inne, grzeczniejsze imię, a ponieważ rzecz dotyczy Hiszpanii, będzie on bardziej ludzki i mniej sprawny niż jego niemiecka czy włoska odmiana. Wybór był tylko jeden: albo nieskończenie gorsza dyktatura Franco, albo (zawsze istnieje taka możliwość) Hiszpania zostanie po zakończeniu wojny poprzecinana granicami, bądź podzielona na strefy ekonomiczne.

Każde z tych rozwiązań rysowało się jako przygnębiająca perspektywa. Nie oznaczało to jednak, aby rząd — w zestawieniu z bardziej nagim i rozwiniętym faszyzmem Franco i Hitlera — nie był wart wsparcia. Najgorsze nawet wady powojennego rządu byłyby chyba lepsze od frankistowskiego reżymu. Robotników (proletariat miejski) mogło ostatecznie niewiele obchodzić, kto wygra. Ale Hiszpania to przede wszystkim kraj rolniczy i chłopci prawie na pewno skorzystaliby na zwycięstwie rządu. Przynajmniej część z przejętej ziemi musiałaby zostać ich własnością, a w tym stanie rzeczy doszłoby też do parcelacji na terenach zajętych uprzednio przez Franco. Istniejąca jeszcze w niektórych częściach Hiszpanii pańszczyzna nie zostałaby prawdopodobnie przywrócona w reszcie kraju. W każdym razie rząd, pozostając po zakończeniu wojny u władzy, byłby antyklerykalny i antyfeudalny. Utrzymywałby, przynajmniej na pewien czas, Kościół w ryzach i zmodernizowałby kraj — budowano by na przykład drogi, krzewiono by oświatę i zorganizowano by służbę zdrowia; pewne kroki w tym kierunku zostały poczynione choć trwała jeszcze wojna. Natomiast Franco, nawet jeśli nie był zwykłą marionetką w rękach Włochów i Niemców, to pozostawał w związkach z wielkimi obszarnikami i popierał klerykalno-wojskową reakcję. Jeśli Front Ludowy można by

uznać za oszustwo, to Franco był po prostu przeżytkiem. Zwycięstwa mogli mu życzyć jedynie milionerzy i romantycy.

Ponadto dochodzi jeszcze sprawa, która prześladowała mnie od roku czy dwóch niczym zmora nocna — międzynarodowy prestiż faszystów. Od 1930 roku faszyci odnosili same zwycięstwa i porażki, aby zostali pokonani, mniejsza zresztą przez kogo. Gdyby nam się udało wypchnąć Franco i jego zagranicznych najemników poza hiszpańskie granice, sytuacja na świecie mogłaby ulec znacznej poprawie, nawet jeśli w samej Hiszpanii miałyby dojść do ustanowienia okrutnych dyktatorskich rządów i do wtrącenia za kraty najwartościowszych obywateli. Choćby tylko dlatego warto było wygrać tę wojnę.

Takie miałem wówczas poglądy. Mogę stwierdzić, że mam teraz dużo lepsze zdanie o rządzie Negrina niż wtedy, kiedy doszedł on do władzy. Z niesłychaną odwagą prowadził trudną walkę i wykazał więcej politycznej tolerancji niż się spodziewano. Nadal jednak jestem przekonany, że — jeśli Hiszpania nie zostanie podzielona, czego skutki trudno przewidzieć — powojenny rząd będzie miał charakter faszystowski. Wystawiam więc ten pogląd na próbę czasu ryzykując, że przyszłość obejdzie się ze mną tak jak z większością proroków.

Właśnie dotarliśmy na front, kiedy nadeszła wiadomość, że Bob Smillie w drodze powrotnej do Anglii został aresztowany na granicy, przewieziony do Walencji i wtrącony do więzienia. Smillie przebywał w Hiszpanii od zeszłego października. Zrazu pracował przez kilka miesięcy w biurze POUM, później, po przybyciu innych członków ILP, wstąpił do milicji z tym jednak, że miał wyjechać na trzy miesiące na front, by potem wrócić do Anglii i zająć się pracą propagandową. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy pod jakim zarzutem go aresztowano. Trzymano go *incommunicado*, toteż nawet adwokat nie miał do niego dostępu. W Hiszpanii nie stosuje się — w każdym razie w praktyce — zasady *habeas corpus* i można miesiącami siedzieć w więzieniu bez oskarżenia, nie mówiąc już o rozprawie sądowej. W końcu otrzymaliśmy informację od zwolnionego więźnia, że Smillie o zatrzymaniu za „posiadanie broni”. Ta „broń”, jak się dowiedziałem, to były dwa prymitywne ręczne granaty używane na początku wojny, które Smillie wiozł do

kraju, aby ilustrować nimi swoje wykłady, oraz odłamki pocisków artyleryjskich i inne pamiątki. Granaty nie posiadały ani ładunków, ani zapalników — po prostu dwa zupełnie niegroźne stalowe cylindry. Wiadomo było, że stanowiły one tylko pretekst, i że aresztowania dokonano z powodu jego znanych powiązań z POUM. Z chwilą ustania barcelońskich walk, władze usiłowały za wszelką cenę uniemożliwić wyjazd z Hiszpanii wszystkim tym, którzy mogli przeciwstawić się oficjalnej wersji wydarzeń. Na skutek tego ludzie byli narażeni na aresztowanie pod byle pozorem podczas przekraczania granicy. Smillie miał najprawdopodobniej być zatrzymany jedynie na kilka dni, ale jeśli w Hiszpanii ktoś dostanie się raz do więzienia, to najczęściej w nim pozostaje — z wyrokiem albo bez.

Znajdowaliśmy się w dalszym ciągu w okolicach Huesca. Wszelako rozlokowano nas bardziej na prawo, naprzeciw faszystowskiej reduty, którą zdobyliśmy na jakiś czas kilka tygodni wcześniej. Byłem teraz *teniente* — przypuszczam, że stopień ten odpowiada podporucznikowi w brytyjskiej armii — i dowodziłem około trzydziestoma żołnierzami, zarówno Anglikami, jak i Hiszpanami. Zostałem przedstawiony do awansu na oficera, nie było jednak pewne, czy będę mianowany. Dawniej oficerowie milicji odmawiali przyjmowania wyższych rang, które zapewniały dodatkowy żołd i kłóciły się z duchem równości panującym wśród milicyjnych oddziałów. Teraz jednak nie wolno im było odmawiać nominacji. Benjamina mianowano już kapitanem, natomiast awans dla Koppa na stopień majora był w trakcie załatwiania. Oczywiście rząd nie mógł się obyć bez oficerów milicji, ale nie zatwierdzano stopni wyższych od majora. Wysokie szarże były przypuszczalnie zarezerwowane dla oficerów regularnej armii i dla absolwentów Szkoły Wojennej. W wyniku takiej polityki w naszej 29 Dywizji utrzymywała się przez pewien czas dziwna sytuacja: dowódca dywizji, dowódcy brygad i dowódcy batalionów — wszyscy byli majorami.

Na froncie działo się niewiele. Bitwa wokół drogi do Jaca zakończyła się i nie rozpoczęto jej ponownie aż do połowy czerwca. Głównym zagrożeniem dla naszych stanowisk byń snajperzy. Faszystowskie okopy znajdowały się na wzniesieniu, w odległości stu pięćdziesięciu metrów, natomiast nasze pozycje tworzyły pod kątem prostym klin i mieliśmy faszystów po obu stronach. Róg

tego klina był niebezpiecznym miejscem, kul snajperów zbierały tam zawsze największe żniwo. Niekiedy faszyci strzelali do nas granatami odpalanymi od karabinów lub z jakiejś podobnej broni. Budziło to w nas strach, gdyż trudno było usłyszeć nadlatujący pocisk i nie można się było ukryć. Powodowały one straszliwy huk, ale — prawdę powiedziawszy — nie były groźne; wybuchając tworzyły w ziemi lej wielkości mniej więcej BANI. Nocami było przyjemnie ciepło, w ciągu dnia natomiast z nieba lał się żar i na dodatek zaczęły dokuczać komary. Nasze czyste ubrania przywieszzone z Barcelony zaroily się prawie natychmiast od wszy. Hen, na ziemi niczyjej, w zapuszczonym sadzie bieliły się na drzewach czereśnie. Przez dwa dni lało jak z cebra i wykopy wypełniły się wodą, a nasyp zmalął prawie o pół metra. Musieliśmy zatem poświęcić więcej czasu na kopanie mokrej gliny przy użyciu nędznych hiszpańskich łopat, pozbawionych stylisk i gnących się niczym cynowe łyżki.

Obiecano dla naszej kompanii moździerz — nie mogłem się go doczekać. Nocami wychodziły jak zwykle patrole. Zajęcie to było teraz bardziej niebezpieczne niż kiedyś, faszystowskie okopy miały bowiem teraz większą obsadę — nieprzyjaciel był czujniejszy. Poza tym rozwiesili oni tuż przed swoimi zasiekami blaszane puszk i przy każdym brzęku otwierali ogień z karabinu maszynowego. W ciągu dnia nasi snajperzy strzelali z ziemi niczyjej. Przeczol-gawszy się sto metrów, można było dotrzeć do ukrytego w wysokiej trawie rowu irygacyjnego i trzymać stamtąd pod obstrzałem wyłom w faszystowskim nasypie. Ustawili, my w tym rowie podpórkę pod karabin. Kto odczekał cierpliwie, ten zwykle dostrzegał w końcu przemykającą przez wyłom postać koloru *khaki*. Strzelałem kilkakrotnie. Nie wiem, czy kogoś trałem — to mało prawdopodobne, kiepski ze mnie bowiem strzelec. Cieszyło mnie natomiast to, iż faszyci nie wiedzieli skąd dolatywały pociski, a ja byłem przekonany, że wcześniej czy później dostanę któregoś z nich. Stało się jednak na odwrót — nie ja faszystę, lecz faszystowski snajper trafił mnie. Byłem już od dziesięciu dni na froncie, kiedy to się zdarzyło. Przeżycia związane z ugodzeniem kulą są bardzo ciekawe i sądzę, że warto je przedstawić szczegółowo.

Stało się to w rogu nasypu, o piątej rano. Pora ta zawsze była

niebezpieczna, świt bowiem wstawał za naszymi plecami i głowa wystawiona ponad wał odcinała się wyraźnie na tle nieba. Przeprowadzałem odprawę wartowników przed objęciem służby. Naraz, w samym środku wypowiedzanego przeze mnie zdania, poczułem — niezwykle trudno opisać co poczułem, choć chwila ta żywo tkwi w mojej pamięci.

Z grubsza rzecz ujmując, odniosłem wrażenie, jakbym znalazł się w centrum wybuchu. Nastąpił chyba wokół mnie głośny huk i oślepiający błysk. Poczułem straszliwy wstrząs — żadnego bólu, tylko gwałtowny wstrząs, taki jak po dotknięciu elektrycznych przewodów pod napięciem — i zupełną niemoc. Zdawało mi się, że zostałem czymś uderzony i wysycham do cna. Worki z piaskiem oddaliły się ode mnie znacznie. Podejrzewam, że bardzo podobne doznania występują po rażeniu piorunem. Od razu wiedziałem, że jestem trafiony, ale ten pozorny huk i błysk sprawił, iż pomyślałem, że zostałem ugodzony kulą z jakiegoś karabinu, który przypadkowo wypalił w pobliżu. Wszystko to trwało o wiele krócej niż sekundę. W następnym momencie ugięły się pode mną kolana i z łomotem walnąłem głową o ziemię, na szczęście nie skaleczyłem się. Byłem zdrętwiały i oszołomiony, czułem, że jestem bardzo ciężko ranny, chociaż nic mnie nie bolało w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Amerykański wartownik, z którym właśnie rozmawiałem, wysunął się do przodu. „O Boże! Dostałeś!” Żołnierze zebrali się wokół mnie. Powstało zwykle w takich chwilach zamieszanie — „Podnieście go! Gdzie go trafili? Rozpiąć mu koszulę!” itp., itd. Amerykanin zawołał o nóż, aby przeciąć moją koszulę. Wiedziałem, że mam w kieszeni kozik i chciałem sięgnąć po niego, ale odkryłem, iż moje prawe ramię jest sparaliżowane. Przyszło mi na myśl, że nie sprawiłem zawodu żonie — zawsze chciała, bym został ranny, w ten sposób bowiem uchronię się przed śmiercią, gdy dojdzie do wielkiej bitwy. Teraz dopiero zacząłem się zastanawiać, gdzie zostałem trafiony i czy rana jest ciężka. Nie czułem nic, miałem jednak świadomość, że pocisk ugodził mnie w przednią część ciała. Kiedy usiłowałem coś powiedzieć, zorientowałem się, że zamiast głosu wydałem cichutki pisk. Jeszcze jedna próba i udało mi się zapytać, gdzie dostałem. „W gardło” — odrzekli. Harry Webb, nasz noszowy, przyniósł bandaż i jedną z tych ma-

łych buteleczek ze spirytusem, które wydawano nam do robienia opatrunków na polu walki. Podniesiono mnie i krew chlusnęła mi ustami. Usłyszałem za plecami słowa jakiegoś Hiszpana, że pocisk przeszył na wylot moją szyję. Poczułem alkohol — w zwykłych okolicznościach paliłby on niemiłosiernie, teraz jednak wylany na ranę przyniósł błogi chłód.

Znowu mnie położono, a tymczasem ktoś przyniósł nosze. Gdy tylko dowiedziałem się, że pocisk przeszedł mi przez szyję na wylot, od razu zrozumiałem, że koniec ze mną. Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby jakiś człowiek lub zwierzę dostawszy kulą w szyję przeżył. Krew ciekła mi z kącika ust. „Mam przeciętą arterię” — pomyślałem. Zastanawiałem się, jak długo człowiek żyje z przeciętą tętnicą szyjną — chyba parę minut. Widziałem wszystko jak przez mgłę. Przez bodaj dwie minuty byłem przekonany, że nie żyję. Było to również ciekawe doświadczenie — chcę powiedzieć, że wydaje się interesujące, co człowiekowi w takich chwilach przychodzi do głowy. Moja pierwsza myśl była raczej typowa — dotyczyła żony. Druga zaś wywołała we mnie gwałtowne wzburzenie z powodu konieczności opuszczenia tego świata, który mimo wszystko uważam za całkiem niezły. Miałem dość czasu, aby odczuć to z całą ostrością. Ten głupi pech wytrącił mnie z równowagi. Co za bezsens! Dostać kulą i to nawet nie podczas bitwy, ale z powodu chwilowej nieuwagi, stojąc w tym zakichanym narożniku okopów! Zwróciłem się także myślą ku człowiekowi, który do mnie wypalił: zastanawiałem się jak wyglądał; czy był Hiszpanem, czy może cudzoziemcem; czy wiedział, że zostałem trafiony i tak dalej. Doszedłem do wniosku, że ponieważ był faszystą zabiłbym go, gdybym tylko mógł, ale gdyby został w owej chwili doprowadzony do mnie jako jeńiec — pogratulowałbym mu po prostu dobrego strzału. Nie jest jednak wykluczone, że gdy się naprawdę umiera, przychodzą wtedy do głowy zupełnie odmienne myśli.

W chwili gdy układano mnie na noszach do mojego prawego, sparaliżowanego ramienia wróciło życie i zacząłem odczuwać piekielny ból. Uznałem wówczas, że chyba złamałem to ramię podczas upadku. Cierpienie jednak uspokoiło mnie, wiedziałem bowiem, że dolegliwości nie wzmagają się przed śmiercią. Moje samopoczucie

wracało do normy i zrobiło mi się żal tych czterech biedaków, którzy pocąc się i tracąc równowagę na grząskim gruncie, nieśli na ramionach nosze. Sanitarka znajdowała się w odległości półtorej mili i trzeba było brnąć przez błotniste, i śliskie ścieżki. Wiedziałem jaki to wysiłek, sam pomagałem transportować rannego dzień albo dwa wcześniej. Liście srebrnych topoli, które gdzieniegdzie graniczyły z naszymi okopami, muskały mnie po twarzy — pomyślałem sobie, jakie to wspaniałe życie na świecie, gdzie rosną srebrne topole. Moje prawe ramię bolało jednak niemiłosiernie przez cały czas i rzucałem z tego powodu przekleństwa; szybko zresztą zaprzestałem złorzeczyć, każdy bowiem głębszy oddech sprawiał, że krew wyciekała mi ustami.

Lekarz założył na ranę świeży opatrunek, dał mi zastrzyk morfiny i skierował do Sietamo. Szpitale w Sietamo były pośpiesznie wzniesionymi barakami, w których ranni nie pozostawali zwykle dłużej niż kilka godzin, potem wysyłano ich do Barbastro bądź do Leridy. Choć byłem oszołomiony morfiną, wciąż czułem olbrzymi ból i w zasadzie nie mogłem się poruszyć, miałem też kłopoty z ciągłym przelykaniem krwi. Mimo mojego stanu zdrowia, niewykwalifikowana pielęgniarka usiłowała — co było typową metodą stosowaną w hiszpańskich lecznicach — wmusić we mnie przepisowy szpitalny posiłek, czyli ogromny obiad składający się z zupy, jajek, tłustego gulaszu itp. Sprawiała wrażenie zdziwionej, gdy odmawiałem przyjęcia jedzenia. Poprosiłem o papierosa, był to jednak następny okres „tytoniowej posuchy” i w szpitalu nie było ani sztuki. Niezadługo u mojego łóżka pojawiło się dwóch towarzyszy, którzy otrzymali zgodę na opuszczenie Unii frontu na kilka godzin.

— Czołem! Żyjesz? To dobrze. Przyszliśmy po twój zegarek, rewolwer i latarkę elektryczną. Daj nam też nóż, jeśli masz.

Zabrali wszystkie moje drobiazgi. Obchodzono się tak zawsze z każdym rannym — wszystko, co posiadał, od razu dzielono. I zupełnie słusznie, przecież zegarki, rewolwery i tym podobne przedmioty były na froncie w cenie. Gdyby odesłano je na linię walki w tornistrze rannego, zostałyby niechybnie skradzione gdzieś po drodze.

Do wieczora napłynęło już tylu chorych i rannych, że skom-

pletowano transport składający się z kilku sanitarek i wysłano nas do Barbastro. Cóż to była za podróż! Powiadano, że na tej wojnie zdrowieli tylko ludzie z obrażeniami kończyn, natomiast żołnierze ranni w brzuch zawsze umierali. Teraz już wiedziałem dlaczego. Nikt, u kogo mogło wystąpić wewnętrzne krwawienie, nie był w stanie przetrzymać tego wielomilowego podskakiwania na szutrowej, rozjeżdżonej przez ciężarówki i nie naprawianej od początku wojny drodze. Łup! Bach! Trach! Ta podróż przypominała mi wczesne dzieciństwo i okropne urządzenie na jarmarku zwane diabelskim młynem. Nie pomyślano o przymocowaniu nas do noszy. W prawej ręce miałem dość siły i trzymałem się kurczowo, pewien nieszczęśnik spadł jednak na podłogę i cierpiał Bóg wie jakie męki. Inny zaś biedak, który mógł się poruszać, siedział w rogu sanitarki i pokrył wymiocinami całą podłogę. Szpital w Barbastro był przepełniony. Łóżka stały tak blisko siebie, że niemal się stykały. Na drugi dzień załadowano część z nas do pociągu sanitarnego i odjechaliśmy do Leridy.

W Leridzie przebywałem pięć albo sześć dni. Szpital był tutaj duży i przebywać w nim zarówno chorzy i ranni z frontu, jak i zwykli cywilni pacjenci, częstokroć przemieszani jedni z drugimi. Na łóżku obok mnie leżał młody, czarnowłosy chłopak, cierpiący na jakąś nieznaną mi chorobę. Dostawał on lekarstwo, które zabarwiało mu mocz na szmaragdowe Jego „kaczka” była jedną z osobliwości tego oddziału. Pewien mówiący po angielsku, holenderski komunista dowiedziawszy się, że w szpitalu jest Anglik, zaprzyjaźnił się ze mną i przynosił mi angielskie gazety. Odniósł on poważne rany podczas październikowych walk, potem jakimś sposobem udało mu się zamieszkać w szpitalu w Leridzie i ożenił się z jedną z pielęgniarek. Z powodu odniesionych obrażeń nogę miał tak chudą, że grubością odpowiadała mojej ręce. Dwóch żołnierzy milicji, których spotkałem w ciągu pierwszego tygodnia pobytu na froncie, przyszło w odwiedziny do rannego kolegi i poznali mnie. Byli jeszcze młokosami, mieli pewnie po osiemnaście lat. Stali onieśmieleni przy moim łóżku, nie wiedząc co powiedzieć, a później, chcąc wyrazić swój żal, sięgnęli nagle do kieszeni, wydobyli z nich cały posiadany zapas tytoniu, wręczyli mi go i czmychnęli zanim zdążyłem zwrócić im ten prezent. Jakże to typowe dla

Hiszpanów! Dowiedziałem się potem, że tytoń był w mieście nieosiągalny i dostałem od chłopców cały ich tygodniowy przydział.

Po kilku dniach mogłem już wstać i pospacerować sobie z ręką na temblaku. Z niewiadomych przyczyn cierpiałem z jej powodu o wiele bardziej, kiedy zwisała. Poza tym odczuwałem jeszcze silny wewnętrzny ból wywołany obrażeniami, których doznałem upadając. Głos straciłem niemal zupełnie, ale ani razu nie dokuczała mi rana postrzałowa. To chyba naturalne. Ogromny szok spowodowany przejściem kuli sprawia, że następuje miejscowe znieczulenie. Postrzępione odłamki granatów lub pocisków armatnich, raniące zwykle mniej groźnie, byłyby zapewne przyczyną nieznośnego bólu. Na terenie szpitala był przyjemny ogród z sadzawką, w której pływały złote i małe, szaropopielate rybki, chyba płotki. Przesiadywałem tam godzinami wpatrując się w nie. Na przykładzie szpitala w Lendzie mogłem zorientować się, jak wygląda opieka lekarska na aragońskim froncie — nie wiem, czy na innych frontach było tak samo. Szpitale były w zasadzie bardzo dobre, lekarze zdolni, a leków i wyposażenia — jak się wydawało — było pod dostatkiem. Popełniano jednak dwa poważne błędy, będące — o czym jestem przekonany — przyczyną śmierci setek tysięcy żołnierzy, których można było uratować.

Przede wszystkim, każdy szpital znajdujący się w pobliżu frontu wykorzystywano w mniejszym czy większym stopniu w zasadzie wyłącznie jako punkt sanitarny. Skutkiem tego żołnierzy tam nie leczono, z wyjątkiem tych, którzy z powodu zbyt ciężkich obrażeń nie mogli się poruszać. Teoretycznie większość rannych wysyłano prosto do Barcelony, bądź do Tarragony, brak środków transportu sprawił jednak, że podróż ta trwała często od tygodnia do dziesięciu dni. Pozostawiano ich na łasce losu w Sietamo, Barbastro, Monzon, Leridzie i gdzie indziej, nie poddając ich żadnej kuracji, zmieniając jedynie niekiedy opatrunek, choć bywało, że i tej czynności zaniedbywano. Żołnierzom z okropnymi ranami po pociskach artyleryjskich, z pogruchotanymi kośćmi itp. nakładano coś w rodzaju pancerza z bandaży i gipsu. Na takim pancerzu pisano ołówkiem historię choroby i zwykle żołnierz tkwił w tym „futerale” przez dziesięć dni, póki nie dotarł do Barcelony lub Tarragony. Badanie lekarskie na trasie prawie w ogóle nie

wchodziło w grę — kilku lekarzy nie mogło podolać nawałowi pracy, przemykali się więc po prostu pośpiesznie koło łóżek, mówiąc: „Tak, tak, zajmą się tobą w Barcelonie”. Co jakiś czas obiegały szpital pogłoski o pociągu sanitarnym odjeżdżającym do Barcelony *mañana*. Drugi błąd polegał na braku wykwalifikowanych pielęgniarek. Najwidoczniej nie było w Hiszpanii przeszkolonych sanitariuszek. Przyczyną tego stanu rzeczy mógł być fakt, że przed wojną pracę tę wykonywały zakonnice. Nie mam żadnych zastrzeżeń do pielęgniarek, zawsze odnosiły się do mnie z największą życzliwością, bez wątpienia jednak grzeszyły ogromną niezajomością swojego fachu. Wszystkie wiedziały jak mierzyć temperaturę, część z nich umiała zakładać opatrunki i na tym w zasadzie kończyły się ich umiejętności. W związku z tym żołnierze — za ciężko chorzy na to, by mogli troszczyć się sami o siebie byli często w sposób skandaliczny zaniedbani. Siostry pozostawiały na wiele tygodni bez pomocy pacjentów z zaparciem i rzadko myły tyćń, którzy byli osłabieni i nie mogli tego robić sami. Pamiętam pewnego biedaka z roztrzaskaną ręką, który opowiadał mi, że nie myto mu twarzy od trzech tygodni. Nawet pościel w łózkach nie była zmieniana przez wiele dni. Jedzenie we wszystkich szpitalach było bardzo dobre — nawet zbyt dobre. W Hiszpanii, chyba jeszcze bardziej niż gdzie indziej, pokutuje tradycja, że chorych trzeba napchać ciężkim jadłem. Posiłki w Leridzie były okropne. Śniadanie podawano mniej więcej o szóstej i składało się z zupy, omletu, gulaszu, chleba, białego wina i kawy, obiad natomiast był jeszcze obfitszy — karmiono tak w czasie, kiedy większość cywilnej ludności była poważnie niedożywiona, Hiszpanie prawdopodobnie nie uznają lekkiej diety. Zarówno chorzy, jak i zdrowi otrzymują takie samo jedzenie — niezmiennie tak samo sute — tłuste potrawy przyrządzone na oliwie z oliwek.

Pewnego poranka ogłoszono, że pacjenci z mojego oddziału zostaną wysłani tego dnia do Barcelony. Udało mi się zadeszować do żony, że przyjeżdżam i wkrótce zapakowano nas do autobusów, i zawieziono na dworzec. Dopiero w chwili odjazdu pociągu sanitariusz, który jechał w nami, ni stąd ni zowąd oznajmił, że wyruszamy jednak nie do Barcelony, lecz do Tarragony. Podejrzewam, że to maszynista zmienił zdanie. „Jak to w Hiszpanii!” —

pomyślałem sobie. Również w hiszpańskim stylu było zatrzymanie pociągu, abym mógł wysłać do żony następną depeszę i nadal w tym samym stylu był fakt, że depesza ta nigdy do niej nie dotarła.

Wsadzono nas do zwykłych wagonów trzeciej klasy z drewnianymi siedzeniami, podczas gdy wielu żołnierzy miało ciężkie obrażenia i dopiero owego ranka po raz pierwszy opuściło łóżka. Niezadługo połowa z nich, czy to z powodu gorąca, czy na skutek wstrząsów, była bliska śmierci, a kilku zwymiotowało na podłogę. Sanitariusz z dużą, pełną wody butelką z kozłej skóry przeciskając się wśród rannych, którzy, podobni do trupów, leżeli wszędzie pokotem, wstrzykiwał strzyżkę płynu do coraz to nowych ust. Ta woda była wstrętna — do dziś pamiętam jej smak. Kiedy dotarliśmy do Tarragony, słońce miało się już ku zachodowi. Tory biegną tutaj wzdłuż wybrzeża, nieopodal morza. Gdy nasz pociąg wtoczył się na dworzec, odjeżdżał właśnie eszelon nabity żołnierzami z Brygady Międzynarodowej i grupa ludzi na wiadukcie machała im na pożegnanie. Był to bardzo długi skład, zatłoczony do granic możliwości. Na otwartych platformach jechały działa polowe oblepione żołnierską cizbą. Niezwykle żywo tkwi w mojej pamięci ta scena z odjeżdżającym w żółtej poświacie wieczoru pociągiem; okno za oknem pełne śniadych, uśmiechniętych twarzy, długie, nakryte brezentem lufy dział, trzepoczące purpurowe chusty — wszystkie te obrazy przesuwały się wolno obok nas, na tle zabarwionego na turkusowo morza.

— *Estranjeios* (cudzoziemcy) — powiedział ktoś. — To są Włosi.

Rzecz jasna to byli Włosi. Tylko oni mogli tworzyć tak malownicze grupy, albo z takim wdziękiem odpowiadać na pozdrowienia tłumu — z wdziękiem, którego nie umniejszał fakt, że mniej więcej połowa żołnierzy w pociągu opróżniała duszkami butelki wina. Dowiedzieliśmy się potem, że byli częścią oddziałów, które w marcu odniosły wielkie zwycięstwo pod Guadalajara. Skończył im się urlop i wieziono ich teraz na front aragoński. Obawiam się, że większość z nich zginęła kilka tygodni później pod Huesca. Ci z żołnierzy, którzy mogli chodzić, przedzierali się przez wagon, aby wiwatować na cześć odjeżdżających Włochów. Jakaś kula pomachiwała z okna, jakieś obandażowane ręce słały

komunistyczne pozdrowienie. Była to scena niczym alegoryczny obraz wojny — wypełniony świeżymi żołnierzami pociąg wyjeżdżał dumnie na front, okaleczeni żołnierze wolno stamtąd wracali, a tymczasem widok dział na otwartych platformach pobudzał serca do mocniejszego bicia, bo działa zawsze robią wrażenie, i wyzwalał zgubne uczucie, że wojna jest mimo wszystko wspaniała.

Szpital w Tarragonie był bardzo duży i tłoczyli się w nim ranni ze wszystkich frontów. Można się było tam napatrzeć na rozmaite okaleczenia. Pewne rany leczono stosując metodę, która być może pozostawała w zgodzie z ostatnimi zdobyczami sztuki medycznej, oczom jednak dostarczała szczególnie nieprzyjemnych wrażeń. Polegała ona na tym, że rany pozostawiano zupełnie otwarte i bez bandaża, osłaniając je tylko przed muchami rozciągniętą na drutach muślinową siatką, pod którą widać było czerwoną galaretę, okalającą na wpół zagojone skaleczenie. W szpitalu znajdował się żołnierz z obrażeniami twarzy i gardła, któremu założono na głowę coś w rodzaju hełmu z muślinu. Usta miał zamknięte i do oddychania służyła mu mała rurka wstawiona między wargi. Biedaczysko, wyglądał tak żałośnie; spacerował tam i z powrotem patrząc spoza osiatkowanej klatki i nie mógł mówić. W Tarragonie spędziłem trzy albo cztery dni. Wracały mi siły i pewnego dnia, idąc bardzo wolnym krokiem, zdołałem zejść aż na plażę. Byłem zaskoczony, że życie na wybrzeżu biegło zgoła normalnie: eleganckie kawiarnie wzdłuż promenady, zażywni miejscowi mieszczanie kąpiący się i opalający na leżakach, jak gdyby nie było wojny w promieniu tysiąca mil. A jednak tak się akurat złożyło, że widziałem, jak utopił się jakiś plażowicz, i to — rzecz niesłychana — w płytkim i ciepłym morzu.

W końcu, po ośmiu czy dziewięciu dniach od chwili opuszczenia frontu, zajęto się moją raną. W pokoju przyjęć, gdzie badano nowo przybyłych chorych, lekarze używając ogromnych nożyc rozcinali gipsowe pancerze założone żołnierzom z połamanymi żebrami, z uszkodzonymi obojczykami itp., w punktach opatrunkowych za linią walk. Z otworów na szyję w niezgrabnych gorsetach wystawały przestraszone, brudne twarze okolone tygodniowym zarostem. Energiczny, przystojny lekarz w wieku około trzydziestu lat, posadził mnie na krześle. Uchwyciwszy mój język za pomocą

kawałka szorstkiej gazy wyciągnął go najdalej jak tylko można, wepchnął mi do gardła lusterko dentystyczne i kazał powiedzieć „ee!”. Po tym badaniu, kiedy już język miałem zakrwawiony, a w oczach łzy, oznajmił, że jedno więzadło głosowe jest sparaliżowane.

— Kiedy odzyskam głos? — zapytałem.

— Głos? Nie, głosu nigdy nie odzyskasz — odrzekł pogodnie.

Okazało się mimo wszystko, że się mylił. Przez mniej więcej dwa miesiące nie mogłem mówić i wydawałem z siebie jedynie świst, później jednak głos mój wrócił do normy dość szybko. Drugie więzadło głosowe przejęło funkcje pierwszego. Przyczyną bólu w moim ramieniu było uszkodzenie przez pocisk splotu nerwowego z tyłu szyi. Ból był równie przeszywający jak podczas ataku ischiasu i doskwierał mi nieprzerwanie przez około miesiąc, zwłaszcza nocami, toteż nie zaznałem w tym czasie zbyt wiele snu. Palce u prawej ręki również mi na wpół sparaliżowało. Nawet teraz, po pięciu miesiącach, wciąż nie mam czucia w palcu wskazującym — dziwne to zaiste następstwo zranienia szyi.

Moja rana była w pewnej mierze osobliwością i różni lekarze przychodzili, aby ją obejrzeć. Cmokając ustami powtarzali: „Que suerte! *Que suerte*.”. Jeden z nich autorytatywnym tonem powiedział mi, że pocisk minął tętnicę „o milimetr”. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiedział. Żadna ze spotkanych wówczas osób — lekarze, pielęgniarki, *practicantes*, współpacjenci — nie omieszkała zapewnić mnie, że człowiek, któremu kula przebiła szyję i przeżył, jest wybrańcem losu. Nie mogę się oprzeć myśli, że los okazałby się jeszcze łaskawszy, gdybym w ogóle nie został trafiony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podczas wszystkich owych tygodni, które spędziłem w Barcelonie, w powietrzu wisiało coś niedobrego — panowała atmosfera podejrzeń, strachu, niepewności i ukrytej nienawiści. Po majowych walkach pozostały niezatarte ślady. Wraz z upadkiem rządu Caballero doszli ostatecznie do władzy komuniści. Sprawy porządku publicznego przeszły w ręce komunistycznych ministrów i nikt nie wątpił, że przy najbliższej sposobności przystąpią oni do rozprawy z politycznymi rywalami. Na razie jednak do żadnych porachunków nie dochodziło, a mnie nawet przez myśl nie przeszło, że na coś się zanoszą. A jednak istniało nieustanne, bliżej nieokreślone poczucie zagrożenia, świadomość nadciągania jakiś dramatycznych wydarzeń. I nie trzeba było prawie wcale spiskować aby, za sprawą owej afery, czuć się jak konspirator. Rozmowy prowadzone szeptem w kawiarnianych kątach zdawały się wypełniać całe dni, a rozmówcy łamali sobie głowy, czy osoba siedząca przy sąsiednim stoliku nie jest przypadkiem policyjnym agentem.

Cenzurowanie gazet sprawiło, że rozchodziły się różnego rodzaju złowróżbne plotki. Jedną z nich dotyczyła rzekomych planów rządu Negrina — Prieto, zakończenia wojny podpisaniem układu pokojowego. Skłonny byłem wówczas dać jej wiarę, faszyci bowiem oblegali Bilbao, a rząd wyraźnie nie podejmował żadnych działań, aby ratować to miasto. Na ulicach rozwieszono baskijskie

flagi, dziewczęta kwestowały po kawiarniach, przez radio nadawano typowe audycje o „bohaterskich obrońcach”, ale faktycznej pomocy Baskom nie udzielano. Założenie, że rząd prowadzi podwójną grę było kuszące. Późniejsze wydarzenia dowiodły, że się w tej sprawie myliłem. Chociaż wydaje się prawdopodobne, że gdyby postępowano odrobinę bardziej energicznie, Bilbao można by było uratować. Ofensywa na froncie aragońskim, nawet jeśli się nie powiodła, zmusiłaby Franco do zaangażowania części swoich wojsk. Ale rząd nie rozpoczął żadnych operacji ofensywnych, póki była na nie jeszcze pora — w rzeczywistości nie uczyniono tego mniej więcej aż do chwili upadku Bilbao. Ulotka rozpowszechniana w dużym nakładzie przez CNT i opatrzona hasłem „Bądź czujny!” sugerowała, że „pewna partia” (chodziło o komunistów) przygotowuje *coup d'etat*. Powszechnie lękano się, że nastąpi inwazja na Katalonię. Wcześniej, kiedy wracaliśmy na front, zauważyłem rozpoczęte prace przy budowie potężnych umocnień obronnych dziesiątki mil z tyłu frontu, a wokół Barcelony kopano nowe schrony przeciwlotnicze. Nierzadko wybuchała panika w obawie przed nalotami i atakiem z morza. Najczęściej były to fałszywe alarmy, ale za każdym razem wyły syreny w całym mieście, na wiele godzin wygaszano światło, a co bardziej bojaźliwi ludzie kryli się do piwnic. Wszędzie roiło się od policyjnych agentów. Więzienia wciąż zatłoczone aresztowanymi, pozostającymi tam od czasu majowych walk, podczas gdy pojedynczo i grupami aresztowano wciąż nowych ludzi — zawsze byli to rzecz jasna anarchiści i zwolennicy POUM. Jak można się było zorientować, nikomu nie wytaczano procesu i nikomu też czegokolwiek nie zarzucano — nie wysuwano nawet tak nieokreślonych oskarżeń jak „trockizm”. Ludzi po prostu wtrącano do więzień i trzymano ich tam, zwykle *incommunicado*. Bob Smilhe był ciągle za kratami w Walencji. Nie udało nam się nic ustalić, ponadto ani przedstawiciel ILP na miejscu, ani wzięty do tej sprawy adwokat nie otrzymali zgody na widzenie się z nim. Coraz większa liczba obcokrajowców z Kolumny Międzynarodowej i z innych milicji trafiała pod klucz. Zazwyczaj aresztowano ich jako dezertersów. Charakterystycznym przykładem panującej sytuacji był fakt, że nikt nie wiedział na pewno, czy żołnierz milicji jest ochotnikiem, czy też regularnym żołnierzem. Kilka miesięcy

wcześniej wszystkich wstępujących do milicji informowano, że są ochotnikami i mogą zawsze na własne życzenie otrzymać zwolnienie ze służby, gdy tylko zechcą odejść. Teraz okazało się, że rząd zmienił zdanie; żołnierz milicji stał się regularnym żołnierzem i jeśli próbował wrócić do domu, to uznawano go za dezertera. Ale i co do tego nie było pewności. Na niektórych odcinkach frontu władze nadal wydawały dokumenty zwolnienia ze służby. Na granicy niekiedy je honorowano, niekiedy nie. W tym ostatnim przypadku trafiało się od razu do więzienia. Później liczba „dezertersów” siedzących za kratkami urosła do setek. Kiedy jednak podniesiono w ich krajach wrzawę, większość została odesłana do domów.

Co krok można było spotkać na ulicach włóczących się grupami żołnierzy Gwardii Natarcia. Gwardia Cywilna wciąż okupowała kawiarnie i gmachy w strategicznych punktach, a budynki PSUC nadal były obłożone workami z piaskiem i zabarykadowane. W różnych punktach miasta znajdowały się posterunki obsadzone przez Gwardię Cywilną bądź przez Karabinierów, którzy zatrzymywali przechodniów i kontrolowali dokumenty. Wszyscy ostrzegali mnie, abym nie okazywał swojej legitymacji żołnierza milicji POUM, lecz tylko paszport i zaświadczenie ze szpitala. Nawet ujawnienie faktu służenia w oddziałach POUM pociągało za sobą przykre następstwa. Ranni i będący na przepustkach żołnierze POUM byli narażeni na drobne szykany: na przykład utrudniano im pobranie żołądka. *La Batavia* nadal się ukazywała, ale cenzura skreślała w niej nieomal wszystko. Podobny los spotkał także *Solidaridad* i inne anarchistyczne gazety. Obowiązywał nowy przepis zakazujący pozostawiania białych plam w miejscach, gdzie usunięto zakwestionowane fragmenty tekstu, i szpalty musiały być wypełnione innym materiałem. W wyniku tej decyzji częstokroć nie można było się zorientować, że coś zostało wycięte.

Ilość dostępnej na rynku żywności, ulegająca podczas wojny zmianom, osiągnęła jeden z niższych pułapów. Chleba było niewiele, a w przypadku jego tańszych gatunków dopuszczano się oszustwa doprawiając go ryżem; natomiast żołnierzom w koszarach wydawano ohydny zakalec przypominający kit. Rzadko się spotykało mleko i cukier, a tytoń był prawie nieosiągalny, wyjąwszy drogie papierosy z przemytu. Dawał się we znaki dotkliwy brak

oliwy z oliwek, która ma w Hiszpanii wiele zastosowań. Kolejki po ten towar, składające się z kobiet, stały pod nadzorem żołnierzy Gwardii Cywilnej. Gwardziści zabawiali się w ten sposób, że wjeżdżali na koniach tyłem do ogonka i tak nimi manewrowali, aby deptały kobietom po nogach. Osobny problem, choć na mniejszą skalę, stanowił w owym czasie niedostatek bilonu. Wycofano z obiegu srebrne monety, a jeszcze nie wybito nowych. Powstała tedy, luka pomiędzy dziesięciocentymówką a banknotem dwu i pół pesetowym. Ponadto, wszystkie banknoty o wartości poniżej dziesięciu peset były bardzo rzadko spotykane. Dla najbiedniejszej ludności oznaczało to jeszcze trudniejszy dostęp do żywności. Kobieta posiadająca jedynie dziesięciopesetowy banknot i stojąca godzinami w kolejce przed sklepem spożywczym, mogła potem nie kupić, gdyż sprzedawca nie miał drobnych, a jej nie było stać na wydanie wszystkich pieniędzy.

Nie jest rzeczą łatwą odmalowanie ówczesnej koszmarnej atmosfery, tego szczególnego niepokoju powodowanego coraz to nowymi pogłoskami, cenzurowaniem prasy i ciągłą obecnością uzbrojonych żołnierzy. Nie łatwo odmalować, bo nie istnieją w chwili obecnej w Anglii niezbędne czynniki składające się na taką atmosferę. Nastanie w Wielkiej Brytanii czasów politycznej nietolerancji nie jest jeszcze sprawą przesądzoną. Prześladowania za poglądy odbywają się na małą skalę. Gdybym był górnikiem, nie dbałbym o to, czy szef wie, że jestem komunistą; wciąż jednak rzadkością jest tutaj „człowiek oddany partii” — powielający metody stosowane na kontynencie — bojówkarz. I wydaje się, że takie określenie jak „eliminacja”, bądź „likwidacja” każdego, komu zdarzy się mieć odrębne przekonania, nie brzmią jeszcze naturalnie. Natomiast spowszedniały one chyba aż nadto w Barcelonie. „Stalinowcy” znaleźli się u steru i było zrozumiałe samo przez się, że wszystkim „trockistom” grozi niebezpieczeństwo. Obawiano się powszechnie czegoś, do czego jednak nie doszło: ponownego wybuchu walk ulicznych, za które, jak poprzednio, wina spadnie na POUM i anarchistów. Były nawet takie chwile, kiedy nadstawiałem ucha nasłuchując pierwszych strzałów. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby

jakiś potężny zły duch unosił się nad miastem. Wszyscy to zauważyli i wszyscy wymieniali na ten temat uwagi. Zaskakujące jest, że każdy wyrażał te odczucia nieomal tymi samymi słowami: „Atmosfera jaka tutaj panuje — jest okropna. To istny dom wariatów”. Być może jednak nie powinienem używać słowa każdy. Niektórzy przybysze z Anglii pojawiali się w Hiszpanii niczym meteory i przenosząc się z hotelu do hotelu nie dostrzegali, jak się wydaje, niczego szczególnego w panującej atmosferze. Księżna Atholl pisze (*Sunday Express* z 17 października 1937 roku):

„Byłam w Walencji, w Madrycie i w Barcelonie... panuje tam idealny porządek, bez żadnej demonstracji siły. Wszystkie hotele, w których się zatrzymałam, były nie tylko «normalne» i «przyzwoite», ale też niezwykle komfortowe, pomimo niedoborów masła i kawy.”

Oto właśnie charakterystyczna cecha angielskich turystów — są całkowicie przekonani, że na zewnątrz eleganckich hoteli nie istnieje już nic. Mam nadzieję, że znaleziono trochę masła dla księżnej Atholl.

Trafiłem do Sanatorium im. Maurina, które było jednym z zakładów leczniczych pod zarządem POUM. Znajdowało się ono na przedmieściach, w pobliżu Tibidabo, góry o dziwnej kształcie, która wznosi się stromo za Barceloną i jest tradycyjnie uważana za miejsce, z którego szatan pokazywał Jezusowi ziemskie kraje (stąd jej nazwa). Budynek sanatorium należał uprzednio do jakichś bogatych mieszczan, a przejęty został podczas rewolucji. Większość przebywających w nim żołnierzy była albo zwolniona z frontu z powodu choroby, albo też odniosła takie rany, które na stałe wykluczały ich ze służby — amputacja kończyn itp. Było tam jeszcze kilku innych Anglików: Williams z obrażeniami nogi, Staffor Cottman, osiemnastoletni chłopak odesłany z okopów z podejrzeniem o gruźlicę, Arthur Clinton, któremu do zgruchotanej lewej ręki przywiązano jeden z tych dużych drucianych wynalazków używanych w hiszpańskich szpitalach i nazywanych przez pacjentów samolotami. Moja żona nadal mieszkała w hotelu *Continental* i jeździłem do niej zwykle w ciągu dnia. Co rano zgłaszałem się do szpitala miejskiego, gdzie leczono mi rękę za pomocą prądu

elektrycznego. Osobliwa to metoda — serie kłujących elektrowstrząsów, które pobudzają do skurczów różne partie mięśni — ale chyba trochę mi pomogła; wracała mi władza w palcach i ból nieco się zmniejszył. Uznaliśmy oboje, że najwłaściwiej postąpimy, wracając możliwie szybko do Anglii. Byłem niezwykle osłabiony, straciłem prawdopodobnie na zawsze głos, a od lekarzy usłyszałem, że w najlepszym razie będę znów zdolny do służby za kilka miesięcy. Musiałem i tak wcześniej czy później zacząć zarabiać pieniądze, a pozostawanie w Hiszpanii i zjadanie żywności, której potrzebowali inni, nie miało chyba sensu. Kierowały mną jednak przede wszystkim pobudki egoistyczne. Ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki od tego wszystkiego: od okropnej atmosfery podejrzeń i nienawiści; od ulic zatłoczonych przez uzbrojonych żołnierzy; od nalotów, okopów, cekaemów; zgrzytliwych odgłosów tramwajów; herbaty bez mleka; gotowania na oliwie i niedoborów tytoniu — od niemal każdej rzeczy, która kojarzyła mi się z Hiszpanią.

Lekarze w szpitalu miejskim wydali mi zaświadczenie o niezdolności do służby wojskowej, aby jednak uzyskać zwolnienie z niej, musiałem się stawić przed komisją lekarską w jednym ze szpitali w pobliżu frontu, a później w Sietamo ostemplować moje dokumenty w kwaterze głównej milicji. Z linii walk wrócił właśnie Kopp i radość rozpierała mu piersi. Brał akurat udział w bitwie i powiedział, że Huesca będzie w końcu zdobyte. Rząd przerzucił oddziały z madryckiego frontu i doszło do koncentracji trzydziestu tysięcy żołnierzy oraz dużej liczby samolotów. Włosi, których widziałem jak odjeżdżali na linię walk z Tarragony, uderzyli na drogę do Jaca, ponieśli wiele ofiar i stracili dwa czołgi. Tak czy inaczej miasto na pewno padnie, mówił Kopp. (Niestety! Nie doszło do tego. Atak został spartaczony i doprowadził jedynie do orgii kłamstw w gazetach). Tymczasem Kopp musiał jechać do Walencji na rozmowy w Ministerstwie Wojny. Miał przy sobie list od generała Pozasa, który był teraz dowódcą Wschodniej Armii — zwykły list, polecający Koppa jako „osobę godną zaufania” i rekomendujący go na specjalne stanowisko w wydziale inżynieryjnym (Kopp był w życiu cywilnym inżynierem). Wyjechał do Walencji tego samego dnia co i ja do Sietamo, czyli 15 czerwca.

Było to na pięć dni przed moim powrotem do Barcelony. Wioząca nas ciężarówka przybyła do Sietamo około północy. Zaraz po wejściu do kwatery POUM zostaliśmy ustawieni w szeregu i przystąpiono do wydawania nam karabinów i amunicji, nie zapytawszy nawet o nasze personalia. Zanosilo się na atak i zamierzano chyba w każdej chwili sięgnąć po rezerwy. Zaświadczenie ze szpitala miałem w kieszeni, ale nie mogłem przecież odmówić pójścia z innymi. Z uczuciem trwogi ułożyłem się do snu na ziemi kładąc głowę na skrzynce z nabojami, która służyła mi za poduszkę. Teraz, kiedy byłem ranny, moje nerwy odmawiały posłuszeństwa — sądzę, że to naturalne — i perspektywa znalezienia się pod obstrzałem ogromnie mnie przerażała. Wszelako usłyszeliśmy sakramentalne *mañana* i zostawiono nas ostatecznie w spokoju. Następnego ranka okazałem zaświadczenie ze szpitala i wyruszyłem załatwiać zwolnienie ze służby. Oznaczało to podjęcie szeregu kłopotliwych i męczących podróży. Tradycyjnie odsyłano interesantów tam i z powrotem, od szpitala do szpitala — Sietamo, Barbastro, Monzon, później znów do Sietamo, aby otrzymać pieczętkę na zwolnieniu, i znów w przeciwnym kierunku, z linii walk przez Barbastro i Leridę — a oddanie całego transportu na potrzeby zdążających do Huesca oddziałów, spowodowało ogromny bałagan. Pamiętam, że spałem w różnych dziwnych miejscach: raz na szpitalnym łóżku, to znów w rowie, raz na wąskiej ławce, z której spadłem w środku nocy, to znów w czymś w rodzaju miejskiego hotelu w Barbastro. Wystarczyło oddalić się od szlaku kolejowego i już kończyły się możliwości podróżowania, pozostawały jedynie przygodne ciężarówki. Trzeba było czekać godzinami przy drodze, niekiedy trzy do czterech godzin, wśród grupiek zrezygnowanych chłopów, którzy trzymając tobołki pełne kaczek i królików, machali na przejeżdżające samochody. I kiedy wreszcie udało się zatrzymać taki, który nie był zapchany żołnierzami, bochenkami chleba lub skrzynkami z amunicją — jazda w podskokach po wybojach sprawiała, że pasażerowie byli zbici na miazgę. Żaden koń nie podrzucał mnie nigdy tak wysoko jak te ciężarówki. Podróżnym pozostawało tylko zebranie się w grupkę i wzajemne kurczowe podtrzymywanie. Czułem się upokorzony, gdyż okazało się, że byłem jeszcze zbyt słaby, aby wsiąść na ciężarówkę bez niczyjej pomocy.

Przespałem noc w szpitalu w Monzon, gdzie przyjechałem, by stanąć przed komisją lekarską. Na łóżku obok mnie leżał żołnierz z Gwardii Natarcia z raną nad lewym okiem. Był nastawiony przyjaźnie i dał mi papierosy. Powiedziałem: „W Barcelonie pewnie byśmy do siebie strzelali” i roześmieliśmy się obaj. Zaskakujące, jak bardzo atmosfera zmieniała się w miarę zbliżania się do linii frontu. Ulatniała się cała, albo prawie cała, zjadła nienawiść wynikająca z przynależności do różnych partii politycznych. Nie przypominam sobie, aby podczas mojego pobytu na froncie któryś ze zwolenników PSUC okazał mi kiedyś wrogość z tego powodu, że walczyłem w szeregach POUM. Takie zachowania były charakterystyczne w Barcelonie, bądź w miejscach jeszcze odleglejszych od toczących się działań wojennych. W Sietamo znajdowało się sporo żołnierzy Gwardii Natarcia. Wysłano ich z Barcelony, aby wzięli udział w ataku na Huesca. Wchodzili w skład korpusu, którego nie zamierzano początkowo wysłać na front i wielu z nich nigdy dotąd nie znalazło się pod obstrzałem. W Barcelonie byli panami ulicy, a tu tylko *quintos* (rekruci) i przyjaźnili się z piętnastoletnimi dziećmi, które służąc w milicji, spędziły na froncie niejeden miesiąc.

W szpitalu w Monzon, lekarz poddał mnie rutynowemu badaniu z wyciąganiem języka i wpychaniem lusterka, zapewnił tym samym pogodnym tonem, co inni, że chyba nigdy więcej nie odzyskam głosu i podpisał mi zaświadczenie. W czasie gdy oczekiwałem na to badanie, w pokoju przyjęć trwała jakaś straszna operacja bez środków znieczulających — dlaczego nie użyto tych środków, nie wiem. Ciągnęła się ona bez końca, dochodziły krzyki i kiedy tam wszedłem, ujrzałem porozrzucane krzesła, a na podłodze kałuże krwi i moczu.

Szczegóły tej ostatniej podróży wyryły się w mojej pamięci z zadziwiającą ostrością. Byłem teraz w innym nastroju niż przed kilku miesiącami, miałem większą ochotę na przyglądanie się wszystkiemu dookoła. Dostałem zwolnienie ze służby, na którym widniała pieczęć 29 Dywizji i świadectwo lekarskie z orzeczeniem: „uznany za niezdolnego”. Nic nie stało na przeszkodzie, abym wracał do Anglii. W tej sytuacji poczułem, że mogę, bodaj po raz pierwszy, przypatrzeć się Hiszpanii. Miałem spędzić jeden dzień w

Barbastro, pociąg bowiem odchodził tylko raz na dobę. Uprzednio już widziałem to miasto przelotnie i zdawało mi się wówczas, że jest częścią wojennego krajobrazu — szara, błotnista, zimna miejscowość, pełna warczących ciężarówek i obdartych żołnierzy. Jakże zadziwiająco odmienne wrażenie robiła teraz. Włóczęc się po Barbastro zacząłem dostrzegać urocze, kręte uliczki, stare, kamienne mosty, duże, wilgotne beczki wielkości człowieka w winiarniach i ciekawe sklepiki w suterrenach, gdzie rzemieślnicy wytwarzali koła do wozów, noże, drewniane łyżki oraz butelki na wodę z kozłej skóry. Przyglądałem się pewnemu człowiekowi, który robił takie naczynie ze skóry i ze zdziwieniem odkryłem coś, czego dotąd nie wiedziałem: futro znajduje się wewnątrz butelki i nie usuwa się go, tak więc w istocie pije się wyciąg z kozłej sierści. Przez wiele miesięcy gasiłem pragnienie korzystając z takiego rodzaju butelek i nie wiedziałem o tym. Z tyłu miasta płynęła płytka, zielonoszara rzeka, a z niej wyrastało prostopadłe urwisko skalne, w które wbudowano domki. Siedząc w takim domku przy oknie w sypialni, można było splunąć wprost do wody z wysokości kilkudziesięciu metrów. W otworach owego urwiska zamieszkiwała niezliczona ilość gołębi. Z kolei w Leridzie, stały rozpadające się budynki, a na ich gzymsach tysiące jaskółek uwiło sobie gniazda, których zaskorupiałe kształty przypominały z niewielkiej odległości zdobne sztukaterie z epoki rokoko. Dziwne, jak mogłem przez niemal sześć miesięcy nie zauważyć takich rzeczy. Mając w kieszeni zwolnienie ze służby, poczułem się znów prawdziwym człowiekiem, a poniekąd także turystą. Chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że oto jestem naprawdę w Hiszpanii, w kraju, który pragnąłem całe życie odwiedzić. W cichych, bocznych uliczkach Leridy i Barbastro wydawało mi się, że ujrzałem na moment coś w rodzaju odległych obrazów Hiszpanii, które żyją u każdego w wyobraźni. Białe góry, stada kóz, lochy inkwizycji, pałace Maurów, czarne karawany mułów, szare drzewka oliwne, cytrynowe gaje, dziewczęta w czarnych mantylach, wina z Malagi i Alicante, katedry, kardynałowie, walki byków, Cyganie, serenady — krótko mówiąc, Hiszpania. Ten kraj spośród wszystkich europejskich państw zawładnął moją wyobraźnią najbardziej. Szkoda tylko, że kiedy w końcu udało mi się tu przybyć, zobaczyłem jedynie jego północno-wschodni róg i to w

czasie trwającej wojny, głównie zimą.

Do Barcelony wróciłem późną porą, a taksówek nie było. Próby dotarcia do Sanatorium im. Maurina były pozbawione sensu, gdyż znajdowało się ono właściwie za miastem. Ruszyłem tedy do hotelu *Continental*, zatrzymawszy się po drodze na obiad. Przypominam sobie rozmowę prowadzoną z podtatusiałym kelnerem, na temat dębowych kubków okutych miedzią, w których podawano wino. Powiedziałem, że chciałbym kupić komplet takich kubków i zabrać je do Anglii. Kelner był uprzejmy. Tak, ładne — przytakiwał — ale teraz nie do kupienia. Przestano je produkować — przestano produkować cokolwiek. Ta wojna — same kłopoty! Zgodziliśmy się, że ta wojna to same kłopoty. Zapytał mnie uprzejmie, czy podobała mi się Hiszpania, czy zechcę tu jeszcze przyjechać. O tak, przyjadę do Hiszpanii na pewno. Spokojny ton tej rozmowy utrwalił się w pamięci z powodu wydarzeń, które nastąpiły wkrótce potem.

Kiedy dotarłem do hotelu, żona siedziała w holu. Podniosła się i ruszyła w moim kierunku w bardzo beztroski sposób, co wydawało mi się dziwne. Potem objęła mnie ręką za szyję i ze słodkim uśmiechem na użytek innych ludzi w holu syknęła mi do ucha:

— Uciekaj!

— Co?

— Uciekaj stąd natychmiast!

— Co?

— Nie stój tu dłużej! Musisz szybko wyjść!

— Co? Dlaczego? O co ci chodzi?

Ujęła mnie pod rękę i prowadziła już ku schodom. W połowie drogi spotkaliśmy pewnego Francuza — nie będę podawał jego nazwiska, wprawdzie nie miał żadnych powiązań z POUM, ale okazał nam wiele pomocy podczas wszystkich kłopotów. Patrzył na mnie z zatroskaną miną.

— Słuchaj! Nie wolno ci tu przychodzić. Uciekaj prędko i ukryj się, zanim zadzwonią po milicję.

I oto, u dołu schodów wyśliznął się ukradkiem z windy ktoś z hotelowego personelu, kto był człowiekiem POUM (przypuszczam,

że dyrekcja o tym nie wiedziała) i łamaną angielszczyzną powiedział mi, bym uciekał. Nawet teraz nie zorientowałem się, co się wydarzyło.

— Co się, do cholery, dzieje — zapytałem, gdy tylko znaleźliśmy się na ulicy.

— Nie słyszałeś?

— Nie. O czym? Nic nie słyszałem.

— POUM została zlikwidowana. Zajęli wszystkie budynki. Prawie wszyscy siedzą w więzieniu. Mówi się, że już rozstrzelują ludzi.

A więc to tak! Musieliśmy gdzieś pójść, aby porozmawiać. We wszystkich dużych kawiarniach na Ramblas roiło się od policjantów, znaleźliśmy jednak cichy lokal w bocznej ulicy. Żona opowiedziała mi, co się wydarzyło pod moją nieobecność.

15 czerwca policja nagle aresztowała Andreasa Nina w jego biurze. Tego samego wieczoru uderzono na hotel *Falcon* i zatrzymano wszystkich znajdujących się tam ludzi, w większości żołnierzy milicji na przepustce. Budynek natychmiast przemieniono na więzienie i niedługo potem wypełnił się on różnymi aresztantami. Nazajutrz ogłoszono, że POUM jest organizacją nielegalną i wszystkie jej biura, kioski z książkami, sanatoria, ośrodki „Czerwonej Pomocy” itd. zostały zajęte. W tym czasie policja zatrzymywała każdego, kto wpadł w jej ręce i o kim wiedziano, że łączy go jakieś związki z POUM. W ciągu jednego czy dwóch dni, wszyscy albo prawie wszyscy z czterdziestu członków Komitetu Wykonawczego, trafili za kraty. Być może jednemu lub dwóm udało się zbiec i ukryć, ale policja zastosowała chwyt (szeroko wykorzystywany przez obie strony podczas tej wojny) polegający na braniu żon jako zakładników, w przypadku gdy zniknął mąż. Niepodobna ustalić, ile osób aresztowano. Moja żona słyszała, że w samej Barcelonie zatrzymano ich około czterystu. Pomyślałem sobie później, że nawet wówczas liczba ta musiała być większa. Do więzień trafili najwspanialszy ludzie. W niektórych przypadkach, policja posunęła się aż do tego, że wywlekano rannych żołnierzy milicji ze szpitala.

Wszystko to budziło ogromne przerażenie. O co, do Ucha, chodziło? Mogłem zrozumieć likwidację POUM, ale za co aresztowano

ludzi? Za nic, jak można się było zorientować. Najwyraźniej decyzja o rozwiązaniu POUM działała wstecz. POUM była teraz organizacją nielegalną i dlatego każdy, kto do niej uprzednio należał, łamał tym samym prawo. Tradycyjnie już, żadnej z osadzonych za kratkami osób nie przedstawiano oskarżenia. Tymczasem komunistyczne gazety wychodzące w Walencji zapełniły się historyjkami o potężnym „faszystowskim spisku”, o łączności radiowej z wrogiem, o dokumentach podpisywanych sympatycznym atramentem itd., itp. Pisałem o tych bajkach wcześniej. Znamienny jest fakt, że ukazywały się one tylko w pismach wydawanych w Walencji. Sądzę, że się nie mylę twierdząc, iż ani o tych bzdurach, ani o likwidacji POUM nie wspomniano choćby słowem w barcelońskiej prasie komunistycznej, anarchistycznej, bądź republikańskiej. Dokładne informacje o charakterze zarzutów stawianych przywódcom POUM uzyskaliśmy po raz pierwszy nie z żadnego hiszpańskiego czasopisma, lecz z angielskich gazet, które dotarły do Barcelony dzień, a może dwa później. Nie mogliśmy wtedy wiedzieć, że rząd nie ponosił odpowiedzialności za wysunięte oskarżenia o zdradę i szpiegostwo, i że potem jego członkowie tym oskarżeniom zaprzeczają. Wiadomo było tylko z grubsza, że obwiniano kierownictwo POUM i przypuszczalnie wszystkich nas o pobieranie żołądu od faszystów. Ponadto, rozchodziły się już pogłoski o dyskretnym rozstrzeliwaniu osadzonych w więzieniach ludzi. Wiele w nich było przesady, chociaż z pewnością doszło do tego w paru przypadkach, i najprawdopodobniej taki właśnie los spotkał Nina. Po aresztowaniu przewieziono go do Walencji, stamtąd do Madrytu i już 21 czerwca dotarła do Barcelony wieść, że został rozstrzelany. Wieść ta przybrała później bardziej konkretny kształt: Nina zastrzeliła tajna policja, a jego ciało wyrzucono na ulicę. Informacje te pochodziły z kilku źródeł, wliczając w to Federica Montsenysa, byłego członka rządu. Od tamtej pory, po dziś dzień, nikt nie widział Nina żywego. Kiedy po jakimś czasie delegacje z różnych krajów indagowały rząd w tej sprawie, członkowie gabinetu wykręcali się od odpowiedzi powtarzając tylko, że Nin zniknął i nie wiadomo im gdzie przebywa. Niektóre z gazet rozpowszechniły bajkę o jego ucieczce na terytorium zajęte przez faszystów. Nie podano żadnych dowodów na poparcie tej tezy, a Irujo, minister

sprawiedliwości, oznajmił, że hiszpańska agencja prasowa sfalszowała wydany przez niego oficjalny komunikat. W każdym razie trudno sobie wyobrazić, aby tak ważnemu więźniowi politycznemu, jakim był Nin, pozwolono uciec. Jeśli zatem kiedyś w przyszłości nie okaże się, że jednak żyje, sędzę, iż powinniśmy przyjąć wersję zamordowania w więzieniu.

Doniesienia o aresztowaniach rozchodziły się nadal przez wiele miesięcy, a liczba więźniów politycznych, wyjąwszy faszystów, urosła do tysięcy. Godny uwagi jest fakt samodzielności, jaką posiadali funkcjonariusze policji niższego szczebla. Wiele aresztowań było według powszechnej opinii nielegalnych, a ci których zwolniono na mocy rozkazu szefa policji, byli ponownie zatrzymywani w bramie aresztu i odwożeni do „tajnych więzień”. Typowym przykładem takiego postępowania jest Kurt Landau i jego żona. Ujęto ich 17 czerwca i Landau natychmiast „zniknął”. Pięć miesięcy później, żona ciągle siedziała w więzieniu bez sprawy sądowej i bez wieści o mężu. Rozpoczęła ona głodówkę, co spowodowało, że minister sprawiedliwości nadesłał jej zapewnienie, że jej mąż żyje. Wkrótce potem została zwolniona i prawie natychmiast ją aresztowano i posłano za kraty. Warto zwrócić uwagę, że przynajmniej na początku policja sprawiała wrażenie, jak gdyby zupełnie nie interesowała się skutkami, jakie podejmowane przez jej funkcjonariuszy działania, mogły wywrzeć na przebieg wojny. Policjanci bez uzyskania wcześniejszej zgody skwapliwie zatrzymywali oficerów wojskowych pełniących ważne funkcje. Mniej więcej pod koniec czerwca, oddział policji wysłany z Barcelony, aresztował gdzieś w pobliżu frontu Jose'go Rovira, generała dowodzącego 29 dywizją. Jego żołnierze wysłali delegację do Ministerstwa Wojny, aby złożyła tam protest. Okazało się, że ani minister wojny, ani Ortega, szef policji, nie byli nawet powiadomieni o zatrzymaniu Rovira. W całej tej sprawie jest pewien szczegół, być może niedużej wagi, z którym jednak w żaden sposób nie mogę się pogodzić: oddziały na froncie nie były w ogóle informowane o rozwoju wydarzeń. Jak można się było przekonać, ani ja, ani nikt na linii walk, nie wiedzieliśmy nic o likwidacji POUM. Wszystkie ośrodki

dowódcze milicji POUM, ośrodki „Czerwonej Pomocy” i tak dalej, pracowały bez zakłóceń, a opodal frontu, w Lendzie — jedynie około stu mil od Barcelony — nie słyszano jakiegoś obrót. Barcelońskie gazety nie wspominały o tym ani słowem (opisująca szpiegowskie afery, prasa z Walencji nie docierała na aragoński front). Bez wątplenia jedynym z powodów aresztowania w Barcelonie wszystkich żołnierzy POUM na przepustkach, było uniemożliwienie im zawiezienia wiadomości na linię walk. Oddział, w którym 15 czerwca jechałem na pole bitwy, musiał być chyba ostatnim wysłanym tam kontyngentem. Ciągłe intryguje mnie to, jak udało się utrzymać te wydarzenia w tajemnicy. Przecież ciężarówki dostawcze jeździły i tak bez przerwy tam i z powrotem. A jednak nie ma wątpliwości, że tajemnica nie została odkryta — dowiedziałem się po jakimś czasie od wielu osób, że żołnierze na froncie o niczym nie słyszeli przez kilka dni. Powód takiego postępowania był aż nadto jasny. Zaczynał się atak na Huesca. Milicja POUM wciąż stanowiła osobną jednostkę i prawdopodobnie obawiano się, że jeśli żołnierze poznają prawdę o tym co się stało, to odmówią udziału w walce. W istocie rzeczy nic takiego się nie wydarzyło, kiedy sprawa wyszła na jaw. Wielu zapewne poległo w tamtych dniach nie dowiedziawszy się nigdy, że wychodzące na tyłach gazety nazywają ich faszystami. Niełatwo jest coś takiego wybaczyć. Wiem, że polityka nieprzekazywania złych wiadomości oddziałom na froncie była czymś naturalnym i w zasadzie można ją uznać za usprawiedliwioną. Ale wysyłanie żołnierzy do boju bez dopuszczania do nich informacji, że za plecami rozbija się ich partię, oskarża o zdradę ich przywódców, a ich przyjaciół i krewnych wtrąca do więzienia — to już zupełnie inna sprawa.

Żona zaczęła opowiadać mi, jaki los spotkał różnych naszych przyjaciół. Niektórzy Anglicy i inni cudzoziemcy przedostali się przez granicę. Williams i Stafford Cottman uniknęli aresztowania podczas obławy w Sanatorium im. Maurina i gdzieś się ukrywają. Podobnie było w przypadku Johna McNaira, który wyjechał do Francji i wrócił po zdelegalizowaniu POUM — nierozważna decyzja, ale wyrzekł się bezpiecznego miejsca na wieść o tym, że towarzysze znaleźli się w opałach. Jeśli chodzi o resztę, to pozostało po prostu wyliczanie: „mają takiego a takiego” i „takiego

a takiego". Zdawało się, że „mają” niemal wszystkich. Doznałem wstrząsu na wieść, że „mają” również George'a Koppa.

— Co! Koppa? A ja myślałem, że on jest w Walencji.

Okazało się, że Kopp wrócił do Barcelony. Otrzymał z Ministerstwa Wojny list do pułkownika kierującego pracami inżynierskimi na wschodnim froncie. Wiedział, rzecz jasna, że POUM została zlikwidowana, ale chyba nie przyszło mu do głowy, iż policja mogłaby być taka głupia, by aresztować go w drodze na front z pilną misją wojskową. Wpadł do hotelu Continental, żeby zabrać tornistry; mojej żony wtedy nie było i personel hotelowy zdoławszy zatrzymać go pod jakimś kłamliwym pretekstem zadzwonił na policję. Przyznaję, że zdenerwowałem się słysząc o aresztowaniu Koppa. Był moim bliskim przyjacielem, służyłem pod jego rozkazami przez kilka miesięcy, byłem z nim w ogniu walki i znałem jego przeszłość. Był człowiekiem, który poświęcił wszystko — rodzinę, obywatelstwo, zarobki — aby po prostu przybyć do Hiszpanii i walczyć z faszyzmem. Opuszczając Belgię bez zgody władz i wstępując do obcego wojska, w sytuacji gdy był rezerwistą belgijskiej armii, a wcześniej pomagając przy nielegalnej produkcji broni dla hiszpańskiego rządu, narażał się na lata więzienia, gdyby wrócił do swojego kraju. Na froncie przebywał od 1936 roku, droga jego kariery wiodła od żołnierza milicji do majora, brał udział w nie wiem ilu operacjach wojskowych i raz był ranny. Podczas majowych kłopotów, jak sam miałem okazję zobaczyć, nie dopuścił do lokalnej potyczki i być może ocalał dziesięć do dwudziestu istnień. I zapłacono mu za to wtrąceniem do więzienia. Trudno nie wpaść w gniew, ale z drugiej strony idiotyczne, szkodliwe działania tego rodzaju wystawiają na próbę cierpliwość.

Na razie nie „mieli” mojej żony. Chociaż pozostała w *Continentalu*, to jednak policja nie podjęła żadnych kroków, aby ją aresztować. Nie było cienia wątpliwości, że miała być przynęta. Kilka nocy wcześniej, a w zasadzie tuż nad ranem, sześciu tajniaków wtargnęło do naszego pokoju i przeprowadziło rewizję. Skonfiskowali każdy skrawek papieru, jaki posiadaliśmy, z wyjątkiem — na szczęście — paszportów i książeczki czekowej. Zabrali moje dzienniki, wszystkie nasze książki, wszystkie wycinki z gazet gromadzone od wielu miesięcy (często zastanawiam się, po co im

były potrzebne te wycinki), wszystkie pamiątki z wojny i wszystkie listy. (Przy okazji wzięli trochę listów, które otrzymałem od czytelników. Na część z nich nie odpisałem i rzecz jasna nie odpiszę, gdyż nie znam adresów. Mam nadzieję, że jeśli wśród czytających te słowa są osoby, które przesłały mi swoje uwagi na temat mojej ostatniej książki i nie otrzymały odpowiedzi, to zechcą mi łaskawie wybaczyć.) Dowiedziałem się później, że policja skonfiskowała też różne moje rzeczy, które pozostawiłem w Sanatorium im. Maurina. Nie pogardzili nawet brudną bielizną. Być może podejrzewali, że były na niej zapisane informacje atramentem sympatycznym.

Wiadomo było, że bezpieczniej będzie dla mojej żony pozostać w hotelu, przynajmniej przez jakiś czas. Gdyby próbowała zniknąć, podążyliby za nią natychmiast. Jeśli o mnie chodzi, to powinienem był się bezzwłocznie ukryć. Na samą myśl o tym wpadłem w złość. Pomimo licznych aresztowań trudno mi było uwierzyć, aby wisiało nade mną jakieś niebezpieczeństwo. Cała ta sprawa wydawała mi się całkowicie pozbawiona sensu. Był to ten sam sprzeciw wobec brania na poważnie tej idiotycznej napaści, który doprowadził Koppa za kraty. Powtarzałem sobie: dlaczego ktoś mógłby chcieć mnie aresztować? Co ja takiego zrobiłem? Nie byłem nawet członkiem POUM. Owszem, nosiłem broń podczas majowych walk, ale inni też nosili — (przypuszczalnie) czterdzieści, bądź pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Musiałem za wszelką cenę znaleźć odpowiedni nocleg. Pragnąłem zaryzykować i wrócić do hotelu. Moja żona nie chciała o tym słyszeć. Cierpliwie zaznajamiała mnie z sytuacją. To co zrobiłem, a czego nie zrobiłem, w ogóle się nie liczyło. Nie chodziło tu o obławę na kryminalistów — zapanował zwykły terror. Nie byłem winny jakiegoś określonego czynu, moim przestępstwem był „trockizm”. Fakt, że służyłem w milicji POUM w zupełności wystarczał, abym znalazł się w więzieniu. Kurczowe trzymanie się angielskiej zasady, że człowiek tak długo może czuć się bezpieczny, jak długo przestrzega prawa, nie miało sensu. Prawem faktycznie było to, co postanowiła policja. Pozostawało mi tylko przycupnąć i nie przyznawać się, że miałem cokolwiek wspólnego z POUM. Przejrzeliśmy dokumenty, które nosiłem w kieszeni. Żona podarła moją legitymację żołnierza milicji, na której widniały duże litery POUM i zdjęcie oddziału

milicji z flagą POUM w tle — za takie rzeczy szło się teraz za kraty. Mimo wszystko musiałem zatrzymać zaświadczenie o zwolnieniu ze służby. Nawet ono było niebezpieczne, gdyż odcisnięto na nim pieczęć 29 dywizji, a policja prawdopodobnie wiedziała, że jest to jednostka POUM; jednak bez tego zaświadczenia aresztowano by mnie za dezercję.

Należało teraz myśleć o wydostaniu się z Hiszpanii. Przebywanie tutaj nie miało sensu, wiadomo bowiem było, że wcześniej, czy później znajdziemy się pod kluczem. Prawdę powiedziawszy oboje bardzo pragnęlibyśmy pozostać po to tylko, aby zobaczyć jaki obrót wezmą sprawy. Przewidywałem wszakże, że hiszpańskie więzienia będą obskurne (w istocie były jeszcze gorsze niż myślałem), i że kto się tam raz dostanie, ten prędko nie wyjdzie. Poza tym czułem się podle i bolało mnie ramię. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia w angielskim konsulacie, do którego przychodzili także Cottman i McNair. Załatwienie formalności paszportowych wymagało chyba kilku dni. Przed wyjazdem z Hiszpanii należało opieczetować paszport w trzech różnych miejscach: u szefa policji, u francuskiego konsula i w katalońskim biurze imigracyjnym. Rozumie się, że szef policji stanowił zagrożenie. Była jednak nadzieja, że angielski konsul zdoła wszystko załatwić bez ujawniania naszych związków z POUM. Rzecz jasna musiała istnieć lista obcokrajowców podejrzanych o „trockizm” i najpewniej nasze nazwiska na niej figurowały. Jednak w sprzyjających okolicznościach mogłoby nam się udać dotrzeć do granicy przed jej nadejściem. Bez wątplenia czekało nas wiele kłopotów. Szczęściem była to Hiszpania, a nie Niemcy. Hiszpańska tajna policja miała parę cech wspólnych z Gestapo, ale niewiele z jego fachowości.

Tak więc rozstaliśmy się. Żona wróciła do hotelu, a ja ruszyłem w ciemność na poszukiwanie noclegu. Pamiętam, że odczuwałem przygnębienie i znudzenie. Jakże pragnąłem spędzić noc w łóżku! Nie było dokąd się udać, nie było domu, gdzie mógłbym się schronić. POUM nie stworzyła faktycznie żadnej podziemnej organizacji. Bez wątplenia przywódcy zawsze mieli świadomość, że może dojść do likwidacji partii, ale nigdy nie spodziewali się, że nastąpi polowanie na czarownice na tak dużą skalę. Byli wyzbyci podejrzeń do tego stopnia, że nawet prowadzili prace remontowe

w budynkach POUM (między innymi kino w pomieszczeniach Komitetu Wykonawczego, gdzie uprzednio był bank), aż do dnia delegalizacji. W konsekwencji nie było ani punktów kontaktowych, ani kryjówek, które, rzecz oczywista, każda rewolucyjna partia powinna posiadać. Bóg jeden wie, ilu ludzi — ludzi, którym do domów wtargnęła policja — spędzało ową noc na ulicy. Miałem za sobą pięciodniową męczącą podróż, drzemałem w różnych dziwnych miejscach, ramię bolało mnie nieznośnie, a teraz ci idioci następowali mi na pięty i musiałem znów spać na ziemi. Takimi mniej więcej myślami miałem zajętą głowę. Nie przeprowadzałem żadnych poprawnych analiz politycznych. Nigdy tego nie robię, gdy znajduję się w wirze wydarzeń. Prawie zawsze, kiedy wplątuje się w wojnę lub politykę, staram się trzymać tej zasady — mam świadomość, że nic nie oszczędzi mi trudów i nie zaspokoi głębokiego pragnienia, aby nastał koniec tych przeklętych nedorzeczności. Później dostrzegam wagę zdarzeń, lecz w czasie gdy one zachodzą chcę się po prostu z nich wyłączyć — niecna to cecha, być może.

Po długim marszu dotarłem w okolice szpitala miejskiego. Szukałem miejsca, gdzie mógłbym się położyć nie ryzykując, że wywęszą mnie jacyś policjanci i zażądają dokumentów. Próbowałem usadowić się w schronie przeciwlotniczym, ale był świeżo wykopany i ociekał wilgocią. Potem zaszedłem do ruin kościoła, który został zdemolowany i wypalony podczas rewolucji. Był to po prostu szkielet budynku: cztery ściany bez dachu, a wewnątrz kupy kamieni. Pomyszkowałem w ciemnościach i znalazłem coś w rodzaju dziupli, gdzie się położyłem. Gruz nie jest najlepszym pościelaniem, na szczęście jednak noc była ciepła i udało mi się zdrzemnąć kilka godzin.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Największy problem dla osób ściganych przez policję, w mieście takim jak Barcelona, stanowią późne godziny otwarcia sklepów i lokali. Kiedy śpi się na świeżym powietrzu, przebudzenie następuje zawsze o świcie, a wszystkie kawiarnie w Barcelonie są jeszcze zamknięte przed dziewiątą. Minęło wiele godzin, zanim mogłem się ogolić albo dostać filiżankę kawy. Dziwił nieco fakt, że w zakładzie fryzjerskim wciąż widniał wykonany przez anarchistów napis zabraniający wręczania napiwków. „Rewolucja pozbawiła nas kajdan” — głosiło hasło. Miałem ochotę powiedzieć golibrodom, że wkrótce ich znów zakują, jeśli nie będą się mieć na baczności.

Wróciłem do centrum miasta. Z budynku POUM zerwano czerwoną flagę, a w jej miejsce powiewała republikańska. W drzwiach rozsiedli się żołnierze Gwardii Cywilnej. W ośrodku „Czerwonej Pomocy” na rogu Plaça de Catalunya policjanci zabawiając się, rozbili większość z szyb. Należąca do POUM księgarnia została opróżniona z książek, a znajdującą się w dole Ramblas tablicę ogłoszeń obklejono rysunkami wymierzonymi przeciwko POUM — jeden przedstawiał maskę, a pod nią twarz ze swastyką. Na końcu Ramblas, w pobliżu molo, ujrzałem osobliwy widok: żołnierze milicji, jeszcze obszarpani i ubłoceni, prosto z frontu — siedzieli wyczerpani na rzędzie krzeseł przeznaczonych

dla pucybutów. Wiedziałem kim są — prawdę powiedziawszy — rozpoznałem jednego z nich. Byli to żołnierze milicji POUM, którzy przybyli z linii walk poprzedniego dnia i dowiedzieli się, że partia została zlikwidowana. Musieli spędzić noc na ulicach, gdyż w ich domach przeprowadzono obławę. Każdy żołnierz POUM, wracający wówczas do Barcelony, miał dwa wyjścia: albo zacząć się od razu ukrywać, albo od razu iść do więzienia — zaiste, niemiłe zgotowano im przyjęcie po trzech bądź czterech miesiącach na froncie.

Znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji. Nocą było się ściganym, a w ciągu dnia wiodło się niemal normalne życie. Wszystkie domy znane z udzielania gościny zwolennikom POUM były — lub przynajmniej mogły być — pod obserwacją. Pójście do hotelu, czy do pensjonatu stało się niemożliwe, nakazano bowiem właścicielom natychmiast meldować policji o przybyciu kogoś obcego. Oznaczało to w praktyce spędzanie nocy pod gołym niebem. Z drugiej jednak strony, w mieście wielkości Barcelony, można się było w ciągu dnia czuć w miarę bezpiecznie. Na ulicach roило się od żołnierzy Gwardii Cywilnej i Gwardii Natarcia, Karabinierów i zwykłych policjantów, nie licząc już Bóg wie ilu tajniaków, ale nie mogli przecież zatrzymywać każdego przechodnia; kto nie wyróżniał się wyglądem, ten mógł ujść uwadze. Osoby ukrywające się, musiały unikać kręcenia się w okolicy budynków POUM i nie chadzać do restauracji czy kawiarni, w których znani byli z widzenia przez kelnerów. Owego dnia, jak również i następnego, spędziłem wiele godzin zażywając kąpiele w jednej z miejskich łaźni. Uznałem to za dobry sposób na zabicie czasu, jak i na ukrycie się. Niestety, na podobny pomysł wpadło mnóstwo ludzi i kilka dni później — po moim wyjeździe z Barcelony — policja zrobiła obławę w miejskich łaźniach, aresztując sporo „trockistów” w stroju Adama.

Idąc w górę Ramblas, w połowie tej ulicy, natknąłem się na jednego z rannych żołnierzy z Sanatorium im. Maurina. Wymieniliśmy niezauważalnie mrugnięcia, jak to się wówczas robiło, i udało nam się, nie zwracając niczyjej uwagi, spotkać w kawiarni położonej powyżej, na tej ulicy. Uniknął on aresztowania uciekając z policyjnej obławy w sanatorium, a dzieląc los innych, znalazł się

na ulicy. Był ubrany w koszulę z krótkimi rękawami — umykając pozostawił marynarkę — i nie miał pieniędzy. Opowiedział mi, jak żołnierz Gwardii Cywilnej zerwał ze ściany duży kolorowy portret Maurina i nogami rozbił go na kawałki. Maurin (jeden z założycieli POUM) był więziony przez faszystów i panowało wówczas przekonanie, że został przez nich zastrzelony.

O godzinie dziesiątej spotkałem się z żoną w angielskim konsulacie. McNair i Cottman zjawili się wkrótce potem. Przede wszystkim powiedzieli mi, że Bob Smillie nie żyje. Zmarł w więzieniu w Walencji — nikt nie wiedział na pewno co było przyczyną śmierci. Pochowano go natychmiast, a miejscowemu przedstawicielowi ILP odmówiono zgody na obejrzenie ciała.

Założyłem, rzecz jasna od razu, że Smillie został zastrzelony. Tak wówczas wszyscy uważali, doszedłem jednak potem do wniosku, że mogłem się mylić. Jako przyczynę śmierci Smillie'go podano później wyrostek robaczkowy i dowiedzieliśmy się od innego więźnia, którego zwolniono, że Smillie rzeczywiście chorował w więzieniu. Być może więc wersja o wyrostku robaczkowym była prawdziwa. Odmówienie zgody Murrayowi na oględziny zwłok mogło nastąpić z powodu czystej złośliwości. Mimo wszystko muszę wspomnieć o tym, że Bob Smillie miał tylko dwadzieścia dwa lata i jeśli chodzi o jego zdrowie, należał do najbardziej odpornych ludzi jakich spotkałem. Sądzę, że był jedyną poznaną przeze mnie osobą wśród Anglików i Hiszpanów, która w ciągu trzech miesięcy spędzonych w okopach nie chorowała ani dnia. Ludzie o jego odporności zwykle nie umierają na zapalenie ślepej кишки, jeśli mają właściwą opiekę. Kto jednak widział jak wyglądają hiszpańskie więzienia — prowizoryczne więzienia dla więźniów politycznych, to jedyna nazwa, której można by użyć dla określenia tych miejsc. Aby znaleźć coś podobnego w Anglii, trzeba by się cofnąć do osiemnastego wieku. Ludzie byli stłoczeni w celach, w których brakowało miejsca do leżenia, a niejednokrotnie trzymano ich w piwnicach i innych ciemnych pomieszczeniach. Nie były to tymczasowe warunki — w niektórych przypadkach więźniowie przebywali przez cztery do pięciu miesięcy niemal bez dziennego światła. Poza tym otrzymywali ohydne, głodowe posiłki składające

się z dwóch talerzy zupy i dwóch kromek chleba. (Kilka miesięcy później jedzenie jakby się nieco poprawiło.) Nie przesadzam — zapytajcie kogokolwiek, kto z przyczyn politycznych został w Hiszpanii uwięziony. Zebrałem relacje o hiszpańskich więzieniach z wielu niezależnych źródeł i są one aż nadto zgodne, by nie dać im wiary; prócz tego sam miałem okazję zajrzeć do jednego z tych więzień. Inny angielski przyjaciel, którego osadzono później, pisze, że jego doświadczenia za kratami „pozwołyły mu lepiej zrozumieć przypadek Smillie'go”. Niełatwo mi wybaczyć śmierć Smillie'go. Był on dzielnym i utalentowanym chłopcem, który porzucił karierę na uniwersytecie w Glasgow, by stanąć do walki z faszyzmem i który, jak mogłem się sam przekonać, wykazał się na froncie bezprzykładną odwagą i zapalem; i jedyna zapłata na jaką ich było stać, to wtrącenie go do więzienia i pozwolić mu umrzeć jak opuszczonemu zwierzęciu. Mam świadomość, że w trakcie ciężkiej i krwawej wojny nie powinno się robić zbyt wiele hałasu wokół pojedynczej śmierci. Jedna bomba lotnicza zrzucona na zatłoczoną ulicę powoduje więcej cierpień, niż prześladowania polityczne na dużą skalę. Śmierć taka jak ta, doprowadza jednak do pasji z powodu jej absolutnej bezsensowności. Zginąć w bitwie — tak, tego się człowiek spodziewa; ale trafić do więzienia, bez choćby nawet zmyślnego zarzutu, lecz po prostu w wyniku tępej, zaślepionej złości i skonać w osamotnieniu — to już całkiem inna sprawa. W żaden sposób nie mogę dostrzec, aby tego rodzaju postępowanie — a przecież przypadek Smillie'go nie był wyjątkowy — przybliżało choć o krok zwycięstwo.

Owego popołudnia wybraliśmy się z żoną na widzenie do Koppa. Wolno było odwiedzać więźniów, którzy nie byli *incommunicado*, chociaż ten, kto przychodził więcej niż jeden, najwyżej dwa razy — narażał się na niebezpieczeństwo. Policja obserwowała odwiedzających i tych, którzy pojawiali się zbyt często uważano za przyjaciół „trockistów”, co mogło zakończyć się wtrąceniem ich samych do więzienia. Niejednemu już się to przytrafiło.

Kopp nie był *incommunicado* i zgodę na widzenie się z nim uzyskaliśmy bez kłopotów. Kiedy wpuszczano nas przez stalową bramę do więzienia, dostrzegłem hiszpańskiego żołnierza milicji,

którego snałem z frontu, wyprowadzanego przez dwóch gwardzi-
stów. Spotkaliśmy się wzrokiem — i znów to upiorne mrugnięcie.
Pierwszą osobą, którą zobaczyliśmy wewnątrz budynku był pewien
Amerykanin, żołnierz milicji. Wyjechał on do domu kilka dni
wcześniej, dokumenty miał w porządku, aresztowano go jednak
na granicy — pewnie dlatego, że ciągle nosił sztruksowe bryczesy
i w ten sposób rozpoznano, iż służył w milicji. Wyminęliśmy się
jak zupełnie obcy ludzie. Było to straszne. Znaliśmy się od wielu
miesięcy, dzieliłem z nim miejsce w okopie, pomagał transportować
mnie z Unii walk, gdy zostałem ranny. Inaczej jednak nie można
było postąpić. Strażnicy w niebieskich mundurach mieli oko na
wszystko. Rozpoznanie zbyt wielu osób mogłoby się okazać fatalne
w skutkach.

Tak zwane więzienie okazało się w istocie położonymi na par-
terze salami sklepowym. W dwóch pomieszczeniach o powierzch-
niach dwudziestu metrów kwadratowych, stłoczono mniej więcej
stu ludzi. Przypominały one swoim wyglądem londyńskie wię-
zienie Newgate w osiemnastym wieku. Ten sam potworny brud,
natłok ciał, brak mebli — tylko goła kamienna posadzka, jedna
ławka i kilka poszarpanych kocy — oraz to samo nikłe światło,
dochodzące przez okna zasłonięte stalowymi, falistymi żaluzjami.
Na obskurnych ścianach były nabazgrane rewolucyjne hasła: *Visca*
POUM!, *Viva la Revolucion!* itp. Od wielu miesięcy pomieszczenia
te służyły jako śmietnik, na który wyrzucano więźniów politycz-
nych. Dochodził ogłuszający gwar rozmów. Była pora widzeń
i zgromadziło się tylu ludzi, że trudno się było poruszać. Prawie
wszyscy odwiedzający należeli do najuboższej warstwy robotniczej.
Kobiety rozwijały żalosne zawiniątka z jedzeniem przyniesionym
dla swoich wtrąconych za kraty mężów bądź synów. Wśród wię-
źniów było kilku rannych żołnierzy z Sanatorium im. Maurina.
Dwóch z nich miało amputowane nogi, innego zaś przywieziono bez
kuli, poruszał się więc skacząc. Był też mniej więcej dwunastoletni
chłopiec — widocznie aresztowano nawet dzieci. Więzienie zionęło
obrzydliwym smrodem, który zawsze powstaje, gdy na małej po-
wierzchni stłoczy się wielu ludzi i nie zapewni im się właściwych
urządzeń sanitarnych.

Kopp idąc ku nam torował sobie drogę przez tłum łokciami. Jego pulchna, rumiana twarz w zasadzie się nie zmieniła. Mimo, że przebywał w tym plugawym miejscu, mundur miał czysty i udało mu się nawet ogolić. Wśród więźniów był jeden oficer w mundurze Armii Republikańskiej. Obaj salutowali sobie przedzierając się przez ciżbę; w tym geście było coś komicznego. Kopp zdawał się promieniować dobrym humorem. „Cóż — powiedział wesoło — chyba nas wszystkich rozstrzelają”. Słowo „rozstrzelają” wywołało u mnie jakby wewnętrzne drżenie. Niedawno pocisk przeszył moje ciało i uczucie, jakiego wtedy doznałem, żywo tkwiło w mojej pamięci. Nawet myśl, że mogłoby to samo spotkać kogoś, kogo się dobrze zna — była niemiła. Byłem wówczas przekonany, że całe kierownictwo POUM, nie wyłączając Koppa, będzie rozstrzelane. Dotarły już pierwsze pogłoski o śmierci Nina i wiedzieliśmy też, że POUM jest oskarżona o zdradę i szpiegostwo. Wszystko wskazywało na to, że szykuje się olbrzymi proces oparty na sfabrykowanych dowodach, a po nim nastąpi masakra czołowych „trockistów”. Jakież to okropne widzieć przyjaciela w więzieniu i być świadomym, że nie można mu pomóc. Bo przecież nic się nie dało zrobić. Nawet apele do belgijskich władz nie miały sensu, Kopp bowiem przyjeżdżając tutaj złamał prawo w swoim kraju. Ciężar rozmowy przyjęła na siebie żona — mój świszczący głos nie byłby słyszalny w panującej wrzawie. Kopp opowiadał o więźniach, z którymi się zaprzyjaźnił, o strażnikach — część z nich okazała się porządnymi ludźmi, choć byli i tacy, którzy obrzucali obelgami i bili co bardziej nieśmiałyh więźniów — i o jedzeniu, które nazywał „pomyjami”. Szczęściem pomyśleliśmy o przyniesieniu papierosów i paczki z żywnością. Później wspomniał o dokumentach zabranych mu podczas aresztowania. Był wśród nich list z Ministerstwa Wojny do pułkownika kierującego robotami inżynieryjnymi na wschodnim froncie. Policja skonfiskowała pismo i odmówiła jego zwrotu; podobno znajdowało się ono w biurze szefa policji. Gdyby się je udało odzyskać, sytuacja Koppa mogłaby się zupełnie odmienić.

Od razu pojąłem, jak duże znaczenie mógł mieć ten dokument. Oficjalny list tego rodzaju, zawierający rekomendacje Ministerstwa

Wojny i generała Pozasa, potwierdziłby szczere zamiary Koppa, Trzeba było jednak najpierw dowieść, że taki list istnieje. Gdyby został otwarty w biurze szefa policji, bez wątpienia jakiś szpicel by go zniszczył. Jediną osobą, która być może, była w stanie odebrać ten dokument był adresat pisma, oficer. Kopp pomyślał już o tym i napisał list, który zgodnie z jego prośbą miałem wynieść ukradkiem z więzienia i nadać. Rozumie się, że pewniej i szybciej było doręczyć list osobiście. Żonę pozostawiłem z Koppem, a sam wybiegłem z więzienia i po długim poszukiwaniu znalazłem taksówkę. Nie miałem czasu do stracenia. Dochodziła godzina pół do szóstej, a pułkownik kończył pracę zapewne o szóstej. Tymczasem na drugi dzień nikt mógłby być już Bóg wie gdzie — mógł być zniszczony, mógł się zapodziać w stercie akt, których przypuszczalnie przybywało w związku z aresztowaniem coraz to nowych osób. Biuro pułkownika znajdowało się w departamencie wojny, w okolicy nabrzeża. Kiedy w pośpiechu pokonywałem stopnie, pełniący przy bramie służbę żołnierz Gwardii Natarcia zagroził mi drogę długim bagnetem i zażądał dokumentów. Pomachałem mu przed oczami świadectwem zwolnienia; wyraźnie nie umiał czytać i przepuścił mnie, będąc pod wrażeniem niepojętej tajemnicy „świszka papieru”. Wewnątrz znajdował się centralny dziedziniec okolony ogromnym, skomplikowanym labiryntem, na każdym piętrze były setki biur. Tymczasem, jak to w Hiszpanii, nikt nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest pokój, którego szukałem. Powtarzałem nieprzerwanie: *El coionel* taki a taki, *jefe de ingemoros, Ejercito de Este!* Wszyscy się uśmiechali i z wdziękiem wzruszań ramionami. Kto tylko miał coś do powiedzenia na ten temat, odsyłał mnie w innym kierunku: w górę tymi schodami, w dół tamtymi, kilometrowymi uliczkami korytarzy, które okazywały się ślepe. A czas płynął. Czuję się jakbym śnił koszmarne sen: gnałem tam i z powrotem na różne kondygnacje, mijałem krzątających się dziwnych ludzi, zaglądałem przez otwarte drzwi do biur, w których panował rozgardiasz, stukały maszyny do pisania i porozrzucane były wszędzie papiery — a czas uciekał i czyjeś życie być może wisiało na włosku.

Mimo wszystko zdążyłem i, ku mojemu zdziwieniu, zostałem przyjęty — wprawdzie nie przez pułkownika lecz przez jego adiutanta bądź sekretarza. Wyszedł do mnie do poczekalni wąty zezowaty oficerek, o dużych oczach, ubrany w szykowny mundur. Zacząłem wyłuszczać mu moją sprawę: przychodzę w imieniu mojego przełożonego, majora Jorge Koppa, skierowanego z ważnym zadaniem na front i aresztowanego po drodze przez pomyłkę. List do pułkownika był poufnym dokumentem, który należy bezzwłocznie odzyskać. Służyłem pod rozkazami Koppa przez wiele miesięcy, mogę o nim powiedzieć, że jest pierwszorzędnym oficerem, został zatrzymany oczywiście na skutek błędu policji, która musiała go pomylić z kimś innym itp., itd. Szczególny nacisk kładłem na doniosłość misji Kippa wiedząc, że jest to mój główny argument. Dziwnie musiała brzmieć ta opowieść, gdyż swój łamany hiszpański przeplatałem językiem francuskim, gdy tylko zabrakło mi słów. Najgorsze było to, że głos straciłem niemal od razu i jedynie dzięki nadludzkiemu wysiłkowi mogłem wydawać z siebie coś w rodzaju skrzeczenia. Obawiałem się, że zamilknę na dobre, a oficerek zmęczy się łowiąc _ słowa. Zastanawiałem się potem często, co myślał o moim dziwnym głosie — czy uważał, że byłem pijany, czy może sądził, że mam nieczyste sumienie.

W każdym razie wysłuchał mnie cierpliwie do końca i wielokrotnie kiwał głową potakująco. Tak, bardzo możliwe, że zaszła pomyłka. Bezspornie trzeba tę sprawę zbadać. Mañana — powiedział wreszcie. Zaprotestowałem. Tylko nie mañana! Sprawa nie cierpi zwłoki. Na Koppa czekają na froncie. I znów oficerek jakby się zgodził ze mną. Lecz oto zadał pytanie, którego się lękałem:

— W jakich oddziałach służył ten major Kopp?

To okropne słowo musiało paść:

— W milicji POUM.

— POUM!

Szkoda, że nie potrafię oddać trwogi w jego głosie. Należy pamiętać, co wówczas mówiono o POUM. Szpiegomania osiągnęła punkt szczytowy. Bodaj każdy republikanin przynajmniej przez pewien czas gorąco wierzył, że POUM była potężną organizacją

szpiegowską na faszystowskim żołdzie. Powiedzenie czegoś takiego oficerowi Armii Republikańskiej, to tak jakby ktoś zjawił się w *Cavalry Club* (w dniach popłochu związanego z „Czerwonym listem”) i oznajmił wszem i wobec, że jest komunistą. Ukośnym spojrzeniem czarnych oczu omiół moją twarz. Nastąpiła długa pauza i potem wycedził:

— A pan utrzymuje, że byliście razem na froncie. Zatem pan też służył w milicji POUM?

— Tak.

Odwrócił się i zniknął w pokoju pułkownika. Do moich uszu dobiegały odgłosy rozmowy prowadzonej podniesionymi głosami. „No to koniec” — pomyślałem. Nigdy już nie odzyskamy listu Koppa. Poza tym musiałem się przyznać, że służyłem w milicji POUM. Ani chybi zadzwonią na policję, zostaną aresztowani i w ten sposób przybędzie im do kolekcji jeszcze jeden „trockista”. Jednak oficer wkrótce wyszedł, nałożył czapkę i srogim spojrzeniem nakazał mi pójście za nim. Szliśmy do biura szefa policji. Odległość była spora i jej przebycie zajęło nam dwadzieścia minut. Oficerek sztywno stąpał przede mną i wybijał nogami marszowy krok. Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani jednego słowa. U wejścia do biura policji kłębił się tłum odrażających typków, którzy rzecz jasna byli policyjnymi szpiczlami, informatorami i różnego rodzaju agentami. Oficerek wszedł do środka i rozpoczęła się długa, burzliwa dyskusja. Słysząc było krzykliwe, pełne wściekłości głosy — wyobraźnia podpowiadała mi, że wykonują gwałtowne gesty, wzruszają ramionami, uderzają w stół. Najpewniej policja nie chciała wydać listu. W końcu jednak oficeruk ukazał się zza drzwi, na twarzy miał wypieki, ale w ręce trzymał dużą urzędową kopertę. Był to list Koppa. Osiągnęliśmy mały sukces, który, jak się później okazało, ani na jotę nie zmienił niczego. List został w porę dostarczony, jednak wojskowi zwierzchnicy Koppa nie byli w stanie wyciągnąć go z więzienia.

Oficer przyrzekł mi, że list będzie doręczony. A co z Koppem? — zapytałem — Czy nie uzyskamy dla niego zwolnienia? Wzruszył ramionami. To już całkiem inna sprawa. Nie wiedzieli za co był aresztowany. Obiecał mi tylko, że podejmie odpowiednie kroki. Nie było więcej o czym rozmawiać, przyszła pora na rozstanie. Wy-

mieniliśmy zdawkowe ukłony. Lecz oto zdarzyło się coś dziwnego i wruszającego. Oficerek zawahał się chwilę, a potem podszedł i uściskał mi dłoń.

Trudno mi opisać, jak bardzo ten gest chwycił mnie za serce. Niby drobiazg, ale trzeba wziąć pod uwagę ówczesną atmosferę — okropną atmosferę podejrzeń i nienawiści, rozpowszechniane wszędzie kłamstwa i plotki, plakaty krzyczące z płotów, że ja i mnie podobni jesteśmy faszystowskimi szpiegami. I trzeba też pamiętać, że staliśmy przed biurem szefa policji naprzeciw szajki donosicieli i prowokatorów, z których każdy mógł wiedzieć, iż poszukuje mnie policja. Przecież ów gest był niczym publiczne podanie ręki Niemcowi podczas I wojny światowej. Przypuszczam, że oficerek uznał poniekąd, iż nie jestem faszystowskim szpiegiem — tak czy inaczej miło z jego strony, że mi uściskał dłoń.

Odnotowałem to skądinąd błahe zdarzenie, dlatego, że zawiera się w nim coś typowo hiszpańskiego — jakiś przebłysk wspaniałomyślności, którą Hiszpanie potrafią okazać w najtrudniejszych chwilach. Mam wiele przykrych wspomnień z tego kraju, ale niewiele z nich dotyczy samych Hiszpanów. Jedynie dwukrotnie, jak pamiętam, poważnie się na nich zezłościłem. Patrząc jednak z perspektywy czasu na obydwie te przypadki, sędzę, że nie miałem racji. Bez wątpienia wyróżniają się oni wielkodusznością, swojego rodzaju szlachetnością, które to cechy nie przynależą do dwudziestego wieku. To właśnie one sprawiają, że istnieje nadzieja, iż w Hiszpanii nawet faszyzm może przybrać łagodniejszą formę. Tylko nieliczni mieszkańcy tego kraju posiadają rysy charakteru potrzebne nowoczesnemu totalitarnemu państwu — diabelną obojętność i konsekwencję. Swoistą ilustracją powyższych stwierdzeń może być rewizja, którą policja przeprowadziła w pokoju mojej żony kilka dni wcześniej. W gruncie rzeczy żałuję, że nie byłem świadkiem tego ciekawego zdarzenia, choć z drugiej strony chyba dobrze się stało, że mnie nie było, gdyż mógłbym stracić nad sobą panowanie.

Policja dokonywała rewizji w sposób charakterystyczny dla OGPU bądź Gestapo. Tuż nad ranem załomotano do drzwi, wkroczyło sześciu mężczyzn, zapalili światło i zajęli „strategiczne” miejsca w pokoju, najpewniej według z góry przygotowanego planu.

Potem przeszukali z niezwykłą skrupulatnością dwa pomieszczenia (do pokoju przylegała łazienka). Opukali ściany, unosili maty, sprawdzali podłogę, przeciągnęli rękami po zasłonach, zajrzeli pod wannę i pod grzejnik, opróżnili wszystkie szuflady i walizki, obmacali każdą część garderoby, patrząc też na nią pod światło. Skonfiskowali najmniejsze nawet papierki łącznie z zawartością kosza na śmieci i nie wyłączając naszych książek. Kiedy znaleźli francuskie tłumaczenie *Mein Kampf* Hitlera opętała ich dzika podejrzliwość. Gdyby się tylko na tej książce skończyło, nasz los byłby przesądzony. Wiadomo przecież, że kto czyta *Mein Kampf*, ten musi być faszystą. Jednakże w następnej chwili, wpadła im w ręce napisana przez Stalina broszura pod tytułem „*Metody walki z trockistami i innymi dwulicowcami*”, która ich nieco uspokoiła. W jednej z szuflad natknęli się na wiele paczek z bibułkami papierosowymi. Rozpakowań je i każda z osobna bibułka została poddana oględzinom, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma na nich jakichś zapisów. Wszystkie te czynności zajęły policjantom blisko dwie godziny. Jednakże ani razu podczas trwania rewizji nie przeszukali łóżka. Moja żona leżała przez cały czas w pościeli. A przecież pod materacem mogło się znajdować pół tuzina erkaemów, nie mówiąc już o trockistowskim archiwum pod poduszką. Jednak policjanci nie zbliżyli się do łóżka, nawet pod nie nie zajrzeli. Nigdy nie uwierzę, że OGPU pracuje podobnie. Trzeba pamiętać, że policja była niemal w całości pod kontrolą komunistów, a ci jej przedstawiciele należeli prawdopodobnie do partii komunistycznej. Lecz byń także Hiszpanami i usunięcie kobiety z łóżka nie przyszło im nawet do głowy. To zaniedbanie sprawiło, że cała ich praca była psu na budę.

Owej nocy McNair, Cottman i ja spaliśmy w gęstej trawie na skraju opuszczonego placu budowy. Noc była zimna, jak na tę porę roku i nie zazналиśmy zbyt wiele snu. Nie zapomnę długich posepnych godzin, kiedy włóczyliśmy się po drogach, nim można było otrzymać filiżankę kawy. Po raz pierwszy od mojego przybycia do Barcelony poszedłem zwiedzać katedrę — nowoczesny kościół, jedną z najrzadszych budowli na świecie. Wieńczyły ją cztery ząbkowane iglice przypominające kształtem butelki po winie. W odróżnieniu od większości kościołów, katedra ta nie została

zniszczona podczas rewolucji — jak powiadano — ze względu na jej „artystyczną wartość”. Sądzę, że anarchiści nie wysadzając tego kościoła w powietrze, gdy mieli taką możliwość, wykazali się złym gustem. Rozwiesili za to między jego iglicami czerwono-czarną flagę. Tamtego popołudnia udaliśmy się z żoną po raz ostatni na widzenie do Koppa. Nie mogliśmy już nic dla niego zrobić, zupełnie nic — pozostawało jedynie pożegnać się i przekazać hiszpańskim przyjaciołom pieniądze, aby przysyłali mu jedzenie i papierosy; wkrótce po naszym wyjeździe z Barcelony zmieniono mu jednak status na *incomunicado* i nie mógł otrzymywać nawet paczek żywnościowych. Idąc owego wieczora w dół Ramblas przechodziliśmy obok Cafe' Moka, którą nadal okupował duży oddział Gwardii Cywilnej. Odruchowo wszedłem do środka i wdałem się w rozmowę z dwoma opartymi o bar, uzbrojonymi w karabiny żołnierzami. Zapytałem gwardzistów, który z ich kolegów pełnił tutaj służbę podczas majowych walk. Nie wiedzieli i demonstrując typową dla Hiszpanów ignorancję nie byli w stanie udzielić odpowiedzi, jak można się tego dowiedzieć. Powiedziałem, że mój przyjaciel Jorge Kopp jest w więzieniu i pewnie wytoczą mu proces w związku z jego udziałem w majowych wydarzeniach, i że żołnierze, którzy przebywali w tej kawiarni w maju wiedzieli, że Kopp nie dopuścił do przelewu krwi i dzięki niemu sporo ludzi nie straciło życia; powinni zatem pojawić się w sądzie i złożyć odpowiednie zeznania. Jeden z moich rozmówców, żołnierz o nieciekawym ociężałym wyglądzie, co chwilę nadstawiał ucha, aby wyłowić moje słowa z ulicznego gwaru. Drugi zaś okazał się zupełnie innym człowiekiem. Powiedział, że słyszał o czynie Koppa od kolegów; Kopp jest porządnym facetem. Ale nawet wówczas miałem świadomość, że moje zabiegi są pozbawione sensu. Przecież jeżeli w ogóle dojdzie do procesu, to Kopp będzie sądzony, podobnie jak we wszystkich tego rodzaju sprawach, na podstawie sfabrykowanych dowodów. W przypadku gdyby go rozstrzelano (a niestety może się tak zdarzyć) wryją mu na nagrobku napis: *buen chico* — słowa poczciwego gwardzisty, który był częścią haniebnego systemu, lecz pozostał na tyle człowiekiem, by docenić szlachetny uczynek.

Wiedliśmy zaiste szalone życie. W ciągu nocy byliśmy przestępcami, ale za dnia stawaliśmy się zamożnymi angielskimi tury-

stami — przynajmniej za takich chcieliśmy uchodzić. Golenie, kąpiel i wyglansowane buty, nawet po nocy spędzonej pod gołym niebem, potrafią zmienić człowieka nie do poznania. Najbezpieczniej było teraz upodobnić się w możliwie największym stopniu do bogatych mieszczan. Bywaliśmy często w eleganckich dzielnicach, gdzie nikt nie znalazł naszych twarzy, chodziliśmy do drogich restauracji zachowując się wobec kelnerów jak typowi Anglicy. Po raz pierwszy w życiu zacząłem pisać na murach. W kilku restauracyjnych korytarzach nabazgrałem *Visca POUM!*, stawiając jak największe litery. Mimo, że faktycznie się ukrywałem, jednak nie miałem wówczas uczucia, że zagraża mi jakieś niebezpieczeństwo. Cała ta sprawa wydawała się jednym wielkim absurdem. Nadal nie pozbyłem się angielskiego przekonania, że „oni” nie mogą kogoś aresztować, jeśli ten ktoś nie złamał prawa. Nie ma bardziej ryzykownego poglądu, kiedy dochodzi do politycznego pogromu. Wydano nakaz aresztowania na McNaira i można się było domyśleć, że i reszta z nas znalazła się na liście. Nie ustawały zatrzymania, obławy, rewizje. Praktycznie wszyscy nasi znajomi, z wyjątkiem tych, którzy przebywali na froncie, siedzieli już w więzieniu. Policja przeszukiwała francuskie statki, które niekiedy zabierały na pokład zbiegów i aresztowała podejrzanych o „trockizm”.

Dzięki uprzejmości angielskiego konsula, który zapewne miał pełne ręce roboty w owym tygodniu, udało nam się pomyślnie załatwić formalności paszportowe. Wiedzieliśmy, że im szybciej wyjedziemy, tym lepiej. O pół do ósmej wieczorem miał odejść zgodnie z rozkładem pociąg do Port Bou, czyli można się było spodziewać, że odjazd nastąpi o pół do dziewiątej. Ustaliliśmy, że żona zamówi wcześniej taksówkę, potem spakuje bagaże, zapłaci rachunek i opuści hotel w ostatniej możliwie chwili. Jeśliby stała się obiektem zbytnej uwagi personelu hotelowego, niechybnie dano by znać policji. Dotarłem na dworzec mniej więcej o siódmej, by się dowiedzieć, że pociągu już nie ma — odjechał za dziesięć siódma. Maszynista jak zwykle postąpił według własnego widzimisię. Na szczęście udało się w porę ostrzec żonę. Następny pociąg odchodził wczesnym rankiem. McNair, Cottman i ja zjedliśmy obiad w małej restauracji w pobliżu dworca. Z ostrożnej rozmowy z jej właścicielem wynikało, że jest on członkiem CNT i żywi do nas

przyjazne uczucia. Wynajął nam trzyosobowy pokój i „zapomniał” zawiadomić policję. Po raz pierwszy od pięciu nocy spałem bez wierzchniego ubrania.

Następnego ranka żonie udało się wyśliznąć z hotelu. Pociąg ruszył z godzinnym opóźnieniem. Skorzystałem z okazji i skreśliłem długi list do Ministerstwa Wojny, w którym przedstawiłem przypadek Koppa. Napisałem, że aresztowano go bez wątplenia przez pomyłkę, że jest bardzo potrzebny na froncie, że wiele osób może zaświadczyć o jego zupełnej niewinności itp.; itd. Ciekawy jestem, czy ktokolwiek przeczytał ten list, nabazgrany (wciąż miałem częściowo sparaliżowane palce) na kartkach wyrwanych z notatnika i pełen błędów z powodu mojej słabej znajomości hiszpańskiego. W każdym razie ani list, ani żadne inne starania nie przyniosły rezultatów. Kiedy piszę te słowa — sześć miesięcy po tamtych wydarzeniach — Kopp ciągle jeszcze siedzi w więzieniu (jeśli nie został rozstrzelany) bez aktu oskarżenia i bez rozprawy sądowej. Na początku otrzymaliśmy od niego dwa albo trzy listy przemycone przez zwolnionych więźniów i nadane z Francji. Wszystkie one były podobnej treści. Opisują ciemne, brudne pomieszczenia, podłe jedzenie w zbyt małej ilości, ciężkie choroby spowodowane więziennymi warunkami i odmowy władz udzielenia pomocy lekarskiej. Każda z tych informacji została potwierdzona przez kilka innych źródeł — francuskich i angielskich. Niedawno Kopp zniknął w jednym z „tajnych więzień”, skąd nie dochodzą już żadne wiadomości. Jego los podzieliły dziesiątki lub setki obcokrajowców i Bóg wie ile tysięcy Hiszpanów.

W końcu przekroczyliśmy granicę. Obyło się bez kłopotów. W pociągu był wagon pierwszej klasy i wagon restauracyjny — nigdy dotąd nie widziałem takiego wagonu w Hiszpanii. Do niedawna jeździły po Katalonii pociągi, w których nie było podziału na klasy. Po przedziałach chodziło dwóch policjantów zapisując nazwiska cudzoziemców. Kiedy ujrzeli, że siedzimy w wagonie restauracyjnym, zostawili nas w spokoju — widać nasza powierzchowność wzbudzała szacunek. Dziwne, jak wszystko się zmieniło. Jeszcze sześć miesięcy wcześniej, za „panowania” anarchistów, trzeba było wyglądać jak proletariusz, aby pozyskać sobie szacunek. Jadąc do Hiszpanii na trasie z Perpignan do Cerberes,

pewien francuski handlowiec siedzący w moim przedziale, doradzał mi całkiem poważnie: „Powinien pan zmienić wygląd. Proszę zdjąć kołnierzyk i krawat, bo inaczej zerwą je panu w Barcelonie”. Niewątpliwie przesadzał, ale ludzie mieli takie właśnie wyobrażenie o Katalonii. A na granicy straż anarchistów zawróciła elegancko ubranego Francuza i jego żonę, tylko dlatego — jak sądzę — że miałem zbyt „burżuazyjny” wygląd. Teraz wszystko było na odwrót, Burżuazyjna powierzchowność była dla wielu ratunkiem. Podczas kontroli paszportów sprawdzano nasze nazwiska w spisie podejrzanych, lecz dzięki nieudolności policji nie byliśmy tam odnotowani; nie figurował tam nawet McNair. Zrewidowano nas od stóp do głów, ale nic obciążającego nie znaleziono. Obszukujący mnie karabinierzy natrafili wprawdzie na moje świadectwo zwolnienia ze służby, lecz nie wiedzieli, że 29 dywizja była jednostką POUM. Przekroczyliśmy tedy szlaban i po sześciu miesiącach znów byłem na francuskiej ziemi. Wiozłem z Hiszpanii tylko dwie pamiątki: butelkę z kozłej skóry i jedną z tych maleńkich żelaznych lampek, w których aragońscy chłopcy palą oliwą z oliwek, i które prawie do złudzenia przypominają kształtem terakotowe kaganki używane przez Rzymian dwa tysiące lat temu. Zabrałem ją z jakiejś zrujnowanej chaty i teraz dziwnym trafem odnalazła się w moim bagażu.

Okazało się, że wyjechaliśmy w ostatniej chwili. Pierwsza gazeta, jaka nam wpadła w ręce, donosiła o aresztowaniu McNair'a za szpiegostwo. Hiszpańskie władze odrobinę się pośpieszyły z tą enuncjacją. Na szczęście oskarżeni o „trockizm” nie podlegają ekstradycji.

Ciekawy jestem, co w pierwszej kolejności robią ci, którzy wydostali się z państwa dotkniętego wojną i stawiają stopę w kraju, gdzie panuje pokój. Ja rzuciłem się przede wszystkim do trafiki i kupiłem tyle cygar i papierosów, ile tylko zdołałem upchać po kieszeniach. Potem poszliśmy wszyscy do bufetu i zamówiliśmy herbatę — była to pierwsza herbata ze świeżym mlekiem, którą piliśmy od wielu miesięcy. Minęło kilka dni zanim oswoiłem się z myślą, że mogę kupić papierosy, kiedy tylko zapragnę. Ciągłe mi się wydawało, że zastanę zamknięte drzwi trafiki, a na wystawie napis No hay tobacco.

McNair i Cottman jechali dalej do Paryża. Natomiast moja

żona i ja wysiedliśmy na pierwszej stacji, w Banyuls, aby trochę odpocząć. Kiedy w Banyuls dowiedziano się, że przyjeżdżamy z Hiszpanii nie zgotowano nam zbyt serdecznego przyjęcia. Parokrotnie musiałem wdawać się w takie oto rozmowy: „Przyjechaliście z Hiszpanii? Po której stronie walczyliście? Po rządowej? Aha!” — i zaraz następowało znamienne ochłodzenie. To małe miasteczko było chyba jednolicie profrankistowskie, bez wątpienia przyczynili się do tego różni faszystowscy zbiedzy z Hiszpanii pojawiający się tam od czasu do czasu. Kelner w kawiarni, do której chodziłem, Hiszpan, zwolennik Franco, obrzucał mnie groźnymi spojrzeniami, kiedy podawał mi aperitif. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała w Perpignan, gdzie nastawienie do zwolenników hiszpańskiego rządu było przychylne i gdzie różnorakie republikańskie frakcje knuły przeciw sobie intrygi niemal jak w Barcelonie. Była taka kawiarnia, w której słowo „POUM” zjednywało od razu przyjaciół wśród Francuzów i przywoływało uśmiech na twarz kelnera.

W Banyuls spędziliśmy chyba trzy dni. Były to dziwnie niepokojne dni. W tym cichym rybackim miasteczku, z dala od bomb, cekaemów, kolejek po żywność, propagandy i intryg powinniśmy byli odczuć głęboką ulgę i wdzięczność. Niczego takiego jednak nie zaznaliśmy. To, co widzieliśmy w Hiszpanii, nie zeszło na drugi plan i nie uzyskało właściwych proporcji teras kiedy byliśmy daleko — wręcz przeciwnie — z gwałtownością wróciły niedawne wspomnienia i stały się jeszcze bardziej żywe niż dotąd. W myślach, w rozmowach, w snach ciągle pojawiała się Hiszpania. Od wielu miesięcy powtarzaliśmy sobie, że „gdy tylko wyjedziemy z Hiszpanii”, to zatrzymamy się gdzieś nad Morzem Śródziemnym, nacieszymy się trochę ciszą, a może też posiedzimy na brzegu z wędką. I oto teraz, gdyśmy się już w takim miejscu znaleźli, ogarnęła nas po prostu nuda i rozczarowanie. Było chłodno, dmiały nieprzerwanie wiatr wzburzył morze; niesione przez mętne, wezbrane fale, otoczone pianą popioły, korki i rybie wnętrzości uderzały o skalisty brzeg w zakolu portu. Brzmi to jak szaleństwo, ale oboje pragnęliśmy wrócić do Hiszpanii. Chociaż nikomu by ten powrót nie pomógł, raczej przysporzyłby poważnych kłopotów, chcieliśmy jednak znaleźć się znów w Barcelonie i iść z innymi do więzienia. Obawiam się, że nie powiodło mi się ani w części

oddanie tego, czym w tamtych dniach była dla mnie Hiszpania. Przedstawiłem pobieżnie niektóre zdarzenia, lecz nie potrafię opisać uczuć jakimi dzięki nim nappełniło się moje serce. Wszystko pomieszało się z widokami, zapachami, dźwiękami i nie sposób tego zarejestrować piórem: woń okopów, górskie brzaski rozlewające się szeroko w przestrzeni; poświstywanie kul, huk i błysk granatów; niebo rozjaśnione zimną poświatą barcelońskich poranków; stukot butów na koszarowym placu podczas grudniowych dni, kiedy ludzie jeszcze wierzyli w rewolucję; i kolejki po żywność, i czerwono-czarne flagi, i twarze hiszpańskich żołnierzy milicji; tak, przede wszystkim twarze tych żołnierzy, których poznałem na froncie, i którzy są rozsiani Bóg wie gdzie — część poległa w walce, część odniosła rany, część siedzi w więzieniu, choć mam jednak nadzieję, że większość z nich jest bezpieczna i cieszy się dobrym zdrowiem. Pozdrawiam ich wszystkich. Wierzę, że wygrają wojnę i usuną z Hiszpanii cudzoziemców: Rosjan, Włochów, Niemców i innych. Ta wojna, w której odegrałem tak mizerną rolę, pozostawiła mi głównie złe wspomnienia, a jednak nie żałuję, że wziąłem w niej udział. Ktoś, kto napatrzył się na podobne do hiszpańskich tragedie — a wojna w tym kraju, bez względu na jej wynik, była wstrząsającą tragedią, niezależnie od samej rzezi i ludzkich cierpień — wcale nie musi ulec rozczarowaniu i stać się cynikiem. Rzecz dziwna, ale wszystkie przeżycia wzmogły we mnie, a nie umniejszyły — wiarę w ludzką przyzwoitość. Mam nadzieję, że moja relacja nie rozmija się zbyt z prawdą. Opisując tego rodzaju wydarzenia niepodobna choćby częściowo unikać błędów i fałszów. Trudno o pewność co do czegokolwiek, z wyjątkiem wypadków, które się widziało na własne oczy. I świadomie czy nieświadomie każdy piszący angażuje się po czyjejs stronie. Jeśli nie uprzedzałem o tym na wcześniejszych stronach tej książki, to czynię to teraz: pamiętajcie o mojej stronniczości, o nieścistościach i przeinaczeniach wynikających nieuchronnie z faktu, że byłem świadkiem jedynie części wydarzeń. Wszystkie te uwagi odnoszą się również do każdej innej książki, w której uwzględniono ten okres wojny.

Poczucie, że powinniśmy coś zrobić, choć w istocie nic zrobić nie było można, sprawiło, że opuściliśmy Banyuls wcześniej niż planowaliśmy. Z każdym przebytym kilometrem w drodze na pół-

noc Francji, wszystko stawało się bardziej zielone i delikatniejsze. Za nami zostały góry i winnice, a wjeżdżaliśmy znów między łąki i wiązy. Kiedy w drodze do Hiszpanii przejeżdżałem przez Paryż, wyglądał on posępnie i zdawał się chylić ku upadkowi. Jakże odmienny był wtedy od miasta, które pamiętałem sprzed ośmiu lat, gdy ceny były niższe, a o Hitlerze nikt nie słyszał. Połowa kawiarni, do których chodziłem, była zamknięta z powodu braku gości, wszyscy mieli myśli zaprzątnięte drożyzną i strachem przed wojną. Teraz, po powrocie z biednej Hiszpanii, nawet Paryż wydawał się wesoły i kwitnący. W pawilonach światowej wystawy kipiało życie, nam jednak udało się ominąć to miejsce.

A później Anglia — południowa Anglia, chyba najbardziej wypiełgnowany zakątek świata. Dopływając do wyspy od tej strony, zwłaszcza gdy objawy choroby morskiej łagodnie ustępują i siedzi się na pluszowej poduszce w kabinie promu, trudno uwierzyć, że gdzieś coś się dzieje. Trzęsienie ziemi w Japonii, głód w Chinach, rewolucja w Meksyku? Nie martw się, butelka mleka będzie stała jutro rano na progu, *New Statesman* wyjdzie w piątek. W dań były przemysłowe miasta, krzywizna ziemskiego globu zasłoniła chmury dymu i nędzę. Tutaj, na południu, wciąż była taka Anglia, jaką zapamiętałem z dzieciństwa: tonące w dzikich kwiatach kolejowe rozjazdy, rozległe łąki, gdzie duże lśniące konie w zamyśleniu podskubywały trawę, leniwie płynące strumyki oblamowane wierzbami, zielone korony wiązów, ostróżka w przydomowych ogródkach; a potem gęsta, śpiąca dżungla londyńskich przedmieść, barki na mulistej rzece, znajome ulice, afisze zapowiadające mecze krykieta i królewskie zaślubiny, mężczyźni w melonikach, gołębie na Trafalgar Square, czerwone autobusy, granatowe mundury policjantów — Anglia spała głębokim snem. Czasami ogarnia mnie lęk, że nie ockniemy się z tego snu, że wyrwie nas z niego dopiero huk bomb.